

7 4369
KAŻDY TOM MOŻNA NABYWAĆ OSOBNO.

R

BIBLIOTEKA NARODOWA

WYDANIE F. H. RICHTERA.

TOM 8.

ŻYDOWSCY.

PRZEZ

ZYGMUNTA KACZKOWSKIEGO.

I.

F. H. R.

LWÓW: NAKŁADEM F. H. RICHTERA.

Przedplaty nie wymaga się żadnej.

BIBLIOTEKA NARODOWA

Wydanie F. H. Richtera.

Cena jednego tomu 1 złr. 20 ct. czyli 24 sr. gr.
oprawnego 1 złr. 70 ct. w. a. czyli talar i 4 sr. gr.

Wydawnictwo to podjęto głównie w tym zamiarze, ażeby obfite skarby polskiej literatury narodowej, które dotąd nie wszystkim były dostępne, podać narodowi po raz pierwszy w starannem i pięknem a oraz taniem wydaniu.

Ograniczając się tylko na dziełach pisarzy znakomitych i powszechnie cenionych, przyniesie „Biblioteka narodowa“ cały szereg tomów, które razem stanowić będą wyborową bibliotekę i staną się z czasem najpiękniejszą ozdobą w każdym domu polskim.

Z tej właśnie przyczyny nie wiąże się to wydawnictwo z góry żadnym programem stałym ani co do rodzaju dzieł, ani też co do terminu ich wydawania, ale nakładca starać się będzie o to, ażeby tomy następowały dość szybko po sobie, a oraz nastęrczały przyjemną różnaitość i to w taki sposób, by każdy tom stanowił ile możności zamkniętą dla siebie całość.

Co do wyboru dzieł będzie najusilniejszym staraniem wydawcy, ażeby „Biblioteka narodowa“ podawała jak najwięcej utworów nowych i nieznaných jeszcze, wszelako w braku tychże przedsiębrane będą także przedruki dawniejszych ale wyczerpanych już w handlu księgarskim dzieł znakomitych, których przygotowaniem do nowego wydania zajmą się sami, żyjący jeszcze autorowie.

Każdy tom będzie można nabywać osobno, i nikt nie potrzebuje się obowiązować do pobierania wszystkich tomów. Przedpłaty nie wymaga się żadnej.

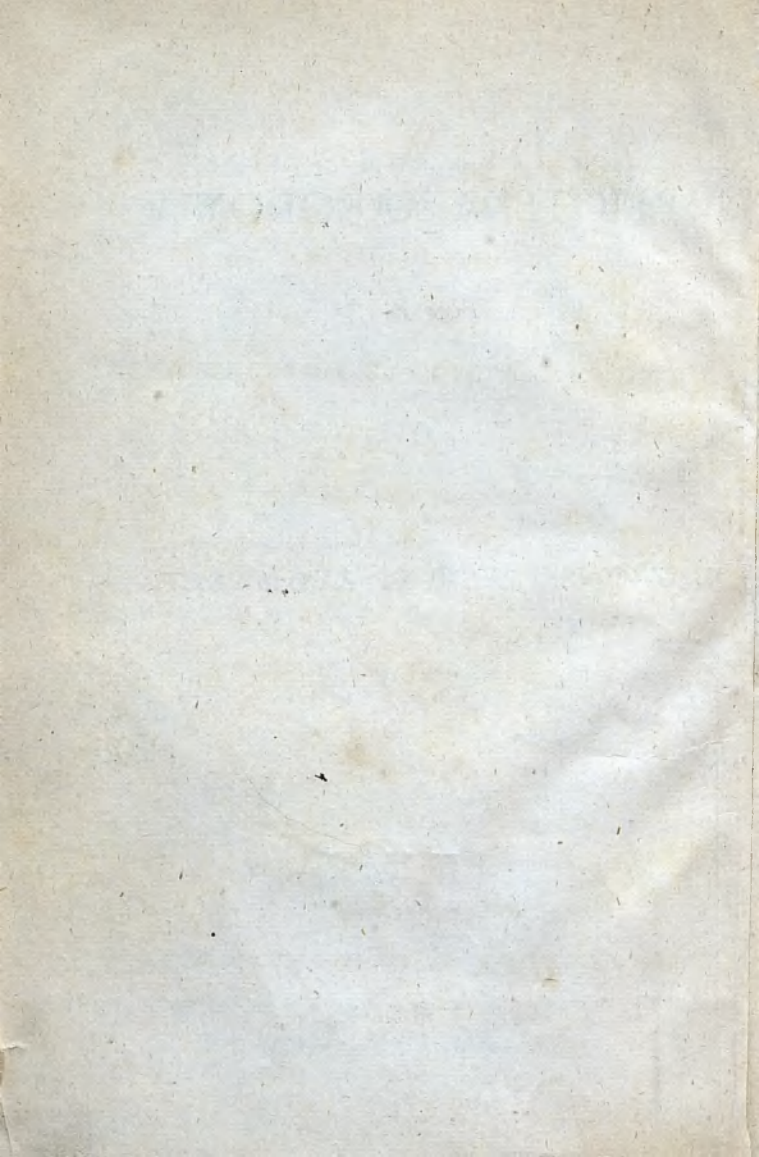


Obacz następną stronę okładki.

BIBLIOTEKA NARODOWA.

TOM 8.

KACZKOWSKI ZYGMUNT. ŻYDOWSCY.



ŻYDOWSCY.

KRONIKA RODZINNA

SPISANA PRZEZ

ŻYGMUNTA KACZKOWSKIEGO.

„Dam chwałę Bogu: a powiem prawdę, niechaj
„boli jako chce.“

Ze starego rękopismu.

TOM I.

Prętywa Stawus

WE LWOWIE,

NAKŁADEM F. H. RICHTERA.

1872.

5-1125

A. J. WIZIEWICZ I S^A KOŁOMYJA.



5X-02/h52/6



23.05.

21-

L ogólna
działu 126. } Tom 1⁴

W 192872
23865 1

Z drukarni Narodowej W. Manickiego.

OD AUTORA.

Powieść niniejsza wyszła z pod pióra i wyszła także z druku wśród niepomysłnych okoliczności.

Autor, wezwany w roku 1860 przez założycieli „Kółka Rodzinnego“ do współpracownictwa, miał pierwotnie zamiar, zestawić kilka zwyczajnych charakterów z przeszłości i przypomnieć, jak się pod owe czasy przedstawiała i jaką u nas potęgą była miłość Ojczyzny; jedyną zaś jego dążnością być miało rozbudzenie uspięnego pod ową chwilę ducha narodowego i oczyszczenie go z naleciałości tchnących materjalizmem. Był on

VI

zarazem tego przekonania, że w owej chwili, zapowiadającej przejście w nową fazę narodowego rozwoju, pomiędzy idealizmem, który w sprawach politycznych nas zawsze gubił, a materjalizmem, który jeszcze nigdy nikogo nie zbawił, należało jako przyszłego przywódcę postawić realizm, który pełen czci dla wszystkiego, co wzniosłe i piękne, lecz brzydzący się bałwochwalstwem dla bezdusznej materji, potrafiłby nas bez strat i zawodów zaprowadzić do celów, równie odpowiednich naszym ideałom, jak materjalnie pożytecznych.

Atoli poczynająca się już wówczas agitacya, mająca także na celu rozbudzenie ducha narodowego, postępowała bardzo różnemi krokami. Nim jeszcze kilka rozdziałów tej powieści wyszło z pod pióra, już pierwotna jej dążność została prześcigniętą; niebawem zaś wystąpili budziciele tacy, którzy zamiast rozbudzać uspione uczucia miłości i zgody, ofiary i poświęcenia, jęli podżegać złości i nienawiści, zapalać swary stronnnicze i osobiste, i rozrzucać nasiona wojny domowej. Powieść przeto, pisana dla sytuacji tak szybko się zmieniającej, wypadło przedłużyć, przeciągnąć w czasy późniejsze i objąć w jej ramy namiętności naj-

VII

świeższe i swary dnia bieżącego. Autor, pisząc dla chwili, musiał wyłamać się z obowiązków względem formy i sztuki, aby zamierzonego dosięgnąć celu. Wszakże i to już pozostało bez skutku. Rozhukany tymczasem prąd ruchu pędził niepowstrzymanie jak niekieleżany orkan na morzu, druzgocąc lub obryzgując wszystko, co mu stało na drodze. Zaczęły się orgye społeczne i polityczne, literackie i publicystyczne. Natenczas ustąpili wszyscy z drogi, którzy „pewnym rodzajem męstwa nigdy się nie pochlubią“, zakrzepły wszystkie pióra poważne, umilkły wszystkie głosy spokojne. „Kółko Rodzinne“ ustąpiło z placu; powieści w niem drukowanej nikt nie czytał, kto czytał, zapomniał, rękopis zaginął, z drukowanych nawet zaledwie jeden ocalał egzemplarz.

Autor, który oddawna już zamknął swój zawód pisarski, nie jest wcale zdania, ażeby którakolwiek z prac jego, a najmniej ta była godna nowego wydania. Przedewszystkiem bowiem tendencyjne powieści nigdy wiele nie warte, jak skoro się przestarzeją, nie mają żadnej wartości. Prócz tego, od owego czasu zmieniły się wzajemne stosunki sił działających na naszej scenie społecznej i politycznej daleko więcej, niżeli się

VIII

ludziom zbliżona na nie patrzącym wydaje. Jedna warstwa społeczna, mająca wówczas jeszcze tradycyjną żywotność i spójność, pochyliła się całkiem ku rozprężeniu i upadkowi; natomiast inna, wówczas jeszcze całkiem bezwładna, dobiega się różnie żywotności, uważania i wpływów. Historyczny widokrąg narodu, którego obręb nakreślał wówczas granice wszystkim politycznym ideom, zacieśnił się dziś, Bóg daj tylko chwilowo, lecz znacznie; na tak ścieśnionej arenie wystąpiły na jaw drobne cele prowincjonalne; odpowiednio tym celom potworzyły się drobne stronnictwa; tworzą się nawet jakieś partie nibyto polityczne, które nie mając do tego od innych części swego własnego organizmu żadnego mandatu, wchodzą w związki federacyjne z potęgami obcemi bardzo wątpliwej siły a jeszcze wątpliwszej przyszłości. Życie pulsujące dziś w podwiązanych arteriach więzi społecznej, prawie nic nie ma wspólnego z tętnami owego ducha, który podówczas wzdymał pierś całego narodu i zagrzewał krew jego do czynów dziejowych. Toż i duch wiejący w tej książce nie ma nic wspólnego z tym duchem obecnym, który się błąka pomiędzy zagrody i płoty, zatykając dziury w mostach, naprawiając

IX

dachy kościołów i zajeżdżając od czasu do czasu do miast zagranicznych, aby mu potwierdzono jego rachunki i przyłożono pieczęć na jego postanowieniach. Książka niniejsza, prześcignięta swojego czasu zanadto szybkim rozwojem politycznych idei, prześciga teraz powolnie toczące się wszystkie uczucia, myśli i dążności.

Znaleźli się jednakże ludzie, którzy powieść tę odszukali i mieli podziwu godną cierpliwość przeczytania jej od początku do końca — a przeczytawszy ją, powzięli zdanie: że chociaż się fakta w historyi nie powtarzają, jednakże mogą jeszcze przyjść czasy takie, kiedy społeczność nasza znajdzie w tej książce niektóre ziarnka pożywne i pożyteczne; a gdyby nawet i to się nie stało, to zawsze książka pisana w czasach niezwykłych i odbijająca na swych stronicach ścieranie się prądów niezwykłych, powinna pozostać w literaturze jako owoc swojej epoki. Jednocześnie znalazł się także wydawca, który objawił odwagę wzięcia na siebie nakładu. W obec takich zdań i objawów, autor chętnie się wziął do przejrzenia wydrukowanego rękopismu z jak najszczerszym zamiarem przysposobienia starannie poprawnego wydania. Lecz zabrawszy się do tej pracy, spo-

strzegł niebawem, że gdyby to wszystko wykreślił, co mu się dzisiaj wydaje przestarzałem, nie-
trafnem lub źle napisanem, z całej książki zaledwieby kilkanaście kartek zostało. Nie pozostało mu zatem nic innego, jak poprawić tylko niektóre usterki, które z pośpiechu dziennikarskiego druku wynikły, i oddać tę książkę wydawcy ze wszystkimi jej pierwotnemi wadami — a natomiast dodać szczere życzenie, aby da Bóg jaknajprędzej nanowo rozpoczęty ruch umysłowy jeszcze raz ją prześcignął i rozstratował, a zasypując ją bujnemi owocami swej pracy, wieczne zgotował jej zapomnienie.

Paryż, wrzesień 1871.

W S T Ę P.

Przy sprzedaży majątku Grodowisk, który w roku 1852 przeszedł w ręce niemieckie, została sprzedaną szafa pełna starych papierów. Owoczesny właściciel, człek nowożytny, zaczem wolen od wszelkich staroświeckich przesądów, uznał ją za grat niepotrzebny i kazał razem z innymi gratami sprzedać przez licytacją. Za kilkanaście złotych kupił ją jeden z moich przyjaciół; a nie mając sam cierpliwości do decyfrowania tego rodzaju dziejowych zabytków, rozkazał ją kilka lat temu władować na furę i do mnie odesłać. Oddychając chętnie od czasu do czasu starych szpargałów pleśnią, choćby tylko dla tego, ażeby potem tem wdzięczniej ocenić wartość świeżego powietrza, wziąłem się zaraz do przejrzenia jej treści; i znalazłem w niej daleko więcej, niżeli się zwykle w takich szafach znajduje, których nie mało już przeszło przez moje ręce. Wprawdzie

w górnej połowie nie znalazłem nic takiego, coby było godnem szczególniejszej uwagi; były to bowiem same majątkowe transakcye, intercyzy i działy; pomiędzy niemi parę przywilejów królewskich na starostwa, kilkanaście instrukcyi poselskich, kilkadziesiąt aktów grodzkich nie wielkiej wagi, a zresztą same zbożowe rejestry. Ale za to w szufladach dolnych znalazłem kilkaset listów, kilka dzienników, przez przodków tej rodziny własnoręcznie pisanych, i kilkanaście kalendarzy, wypełnionych notatkami po wszystkich stronicach próżnych. Materyały te sięgają w czasy bardzo dalekie; ale od drugiej połowy XVIII. wieku idą już w pełni i dochodzą aż do roku 1852. Przejrzane pilnie, przypominają one kilka zdarzeń publicznych dość ważnych — a przytem dają bardzo dokładną historią tej rodziny, która przez cały ten czas posiadała wyżej wymienioną fortunę. Znotowałem tedy te dzieje i zachowałem je do użytku w czasie późniejszym.

Ale zapoznawszy się zbliska z historią ojców i dziadów, niepodobna jest patrzeć obojętnie na życie i czyny ich wnuków. Ztąd poszło, iż się starałem zaznajomić z tem wszystkiem, co się działo w tej rodzinie od roku 1852, a co było ciekawszem, obaczyć na własne oczy. Tym sposobem mogłem tę kronikę przedłużyć — i dociągnąć ją wreszcie aż do dnia wczorajszego.

Rzecz ta, acz nieudolnem spisana piórem, spodziewam się, iżby powinna obudzić choć jakiegokolwiek zajęcie.

Tuszę to o niej nie dlatego, iż obejmuje historią jakiejś starożytnej rodziny, ale dlatego, iż przedstawia, jak się charaktery, opinie, uczucia i losy ludzi jednego rodu z upływem czasów zmieniały.

Nie idzie mi tu bowiem wcale o samą alboliteż o jedną rodzinę, ale o ducha czasu, który przez rodziny objawiał i objawia się w społeczeństwie.

Nie pojmuję też tutaj rodziny w jej najciaśniejszym pojęciu. Historia pojedynczej rodziny, zamkniętej w sobie i ograniczonej na siebie, chociażby imię jej było nie wiedzieć jak sławne i świetne, może być tylko zajmującą bajeczką; albowiem losy jej są narodowi, myślącemu o sobie, obojętne zupełnie. Tylko taka rodzina, która się zawsze i wszędzie czuje być częstką, i odtępnia w sobie każdą miłość i boleść, każde zwątpienie i każdą nadzieję tej wielkiej naszej rodziny, której wszyscy nosimy nazwisko, może mieć prawo do zajmowania sobą uwagi publicznej.

Z takiego też stanowiska przedstawiając ten przedmiot, spodziewam się wreszcie, iż człowiek myślący trzeźwo o naszej terażniejszości, ze słu-

sznym względem na przeszłość i przyszłość, znajdzie tu potrąconą niejedną kwestyą obyczajowo-społeczną, której rozwiązanie właśnie się teraz poczyną lub kończy, a od którego-to rozwiązania zależy niejedna żywotna siła naszej przyszłości.

DZIEJE BAJECZNE.

Rodzina szlachecka Żydowskich należy do najdawniejszych w Polsce. Pieczętowała się herbem Grabie i wyprowadzała jak wiele innych swój ród z Arki Noego, lecz po staremu pisała się z Żydowa. Rodziny szlacheckie w Polsce rozmaita chodziły koleją. Są między niemi takie, które z ciemności wynurzyły się w historią dopiero w wieku XVIII. albo i później, a pomimo to niebawem najwyższych dostąpiły zaszczytów; i przeciwnie są inne, które istniały od wieków, a nigdy trwalej nie doczekały świetności. Do tych ostatnich należeli Żydowscy. Już w wieku XIII. znajdujemy o nich wzmiankę dziejową, gdzie na przywileju księcia Henryka z r. 1239 *inter presentes milites* wymieniony jest *Javorius de Żydów, iudex curiæ nostræ*. Za Władysława Jagiełły Domarat z Żydowa hetmani z chwałą wyprowadzonej przez siebie chorągwi i dank królewski odnosi

pod Grunewaldem. W kilka miesięcy potem pasowany jest na rycerza. Za Kazimierza Jagiellończyka Dobiesław z Żydowa bije się przez cały swój wiek mężki przeciw Krzyżakom, starostuje po zamkach i grodach, posługuje po kilkakroć do Cesarza i do Wenetów — a na starość zakłada w Małej-polsce wieś Grodowiska. Odtąd Panowie z Żydowa na wzór swoich braci z Potoka, Tarnowa, Tęczyna lub Ossolina, zaczynają się zwać Żydowskimi; lecz mimoto służą dalej ojczyźnie.

Jakoż niebawem odznacza się z nich Jan, sędzia grodzki krakowski, o którym swojego czasu mnóstwo po Polsce biegało facecyi. Miał bowiem przedewszystkiem innem zawsze dobrą fantazyą, a dowcip tak ostry, iż się mógł nim pomierzyć choćby i z samym panem Mikołajem Reyem z Nagłowic. Jednego dnia wchodzi do antykamery królewskiej i zastaje tam jak zwyczajnie wielką liczbę dworzan i szlachty. Dowcipnego każdy rad wita dowcipem, więc i jego jakiś pusty młodzieniec zapytał: Mości panie Sędzio! czy za cudzołóstwo jest kara śmierci? — Nie! Mości panowie, — rzecze na to Sędzia, — bo was tu przecie wszystkich widzę z głowami. — Otwierają się drzwi, wchodzi Jordan, Wojewoda Bracławski, i powitawszy drugich, rzecze do niego z uśmiechem: — Mości panie Żydowski! cóż tam słychać w Je-

ruzalem? — A na to Sędzia: — Żle, Mości panie Wojewodo! żydzi zawsze myją swe brudy w Jordanie. — Tak bywał zawsze na zawołanie i nigdy nie stracił fantazyi, jako zacnemu mężowi przystało; toż za to nieraz, kiedy był dobrej myśli, cały królewski dwór trząsał się na jego skinienie od śmiechu. Ale był przytem mężem poważnym, nieskazitelnie cnotliwym, a sędzią dziwnie surowym i trafnym. Najzawilsze sprawy rozstrzygał kilkoma słowami, a kiedy się tego domagało prawo, nie przepuścił i bratu. Raz brat jego cioteczny, Imci pan Marchocki, człowiek wielce bogaty, lecz mało sumienny a chciwy, zajechał był dobra sąsiedzkie i miał o to proces. Sądząc się u niego a mierząc ludzi swym własnym łokciem, był pewnym, że wygra, i męczył go o spieszne ferowanie wyroku. Znudzony Sędzia rzecze mu wreszcie: — Przyjdź do mnie jutro a znajdziesz wyrok już napisany. Przyszedł Marchocki, a byłoto właśnie święto trzech króli; zaczęł go Sędzia zaprowadzić przed drzwi, na których starym zwyczajem były kręda napisane trzy litery C. M. B. — Cóż to ma znaczyć?—pyta Marchocki.—To jest wyrok dla ciebie: *Cedat Marchocki Bonis*. Z cnót swoich miał pan Jan wielkie poważanie u ludzi i starożytnie swe imię bardzo pięknie potomności zalecił. Ale dawno to mówią, że człek sprawiedliwy na sędziowskim

urzędzie nie utyje; toż i on na nim nie utył. Do poważania dla niego każdy się przyznawał publicznie; lecz potajemnie niejeden pod nim nurtował. Przyjaciół miał wielu, lecz niepomocnych; nieprzyjaciół mało, ale szkodliwych. Czerniono go i gryziono na wszystkie strony: tutaj za dowiecip, tam za prawdomowstwo, gdzieindziej za sprawiedliwość. Ztąd daleko więcej doznał w swem życiu zgryzoty, niżeli pociechy. Mimoto wszakże wytrwał na swoim urzędzie do śmierci i do grobowej deski był jednakowym. Tacy bywali wówczas wszyscy...

Ale już nie takimi mieli się rodzić na przyszłość. Sądownictwo zaczęło się psować, sumienia się rozwalniały, przekupni sędziowie już byli za pasem. Przeczuwając to Jan, co innego też swoim zalecił następcom. Oznaczył przytem, czemby się powinni zajmować na przyszłość. Wszystko to jest spisane w jego testamencie, który w odpisie znalazł się w szafie papierów grodowskich. Z tego testamentu dowiaduję się jeszcze o jednej tradycji rodzinnej Żydowskich, należącej do dziejów bajecznych. Oto jeden z ich przodków, niewiadomego nazwiska, a żyjący ile się zdaje jeszcze w wieku XII, był niezmiernie chciwym marnego zysku. Toż dostawszy od króla kawałek ziemi *jure militari*. mniej na niej osadzał chłopów a więcej żydów,

bo ci mu więcej przynosili korzyści. Pomału żydzi wyrugowali chłopów i cała osada się zapełniła żydami i została nazwana Żydowem. Jego następcy, ludzie innej fantazyi, wielce się tem sromali; lecz trudno było temu poradzić. Nie mając innej posiadłości, musieli siedzieć w Żydowie i pisać się ze Żydowa. Ale kiedy się wreszcie król Kazimierz ulitował nad nimi i nadał im inny kawałek ziemi, na którym założyli wieś Grodowiska, najpierwszą ich rzeczą było, nie przypuszczać żadnego żyda do wsi i nigdy nic nie zrobić takiego, co by trąciło żydem. Tego się wszyscy jak najświęciej trzymali aż do czasów ostatnich — i to przedewszystkiem pan Jan w testamencie swoim następcom zaleca. Dalej tak pisze: — „Pług i szabla, a kiedy jest wokacya po temu, stuła i komża, daj Boże! inuła, to niechaj będą WMPanów rzemiosła. Palestry nie ganię; zacne to jest *officium*; ale po *experyencyach per me ipsum* zrobionych, nie namawiam do tego. Schudłem na tym urzędzie, choć mi doma pług orał, a jeszcze mi za to płacono cierniami. Do urzędów, *tam* królewskich, *quam* publicznych, także nie namawiam. Lichy jest z tego pożytek a tentacyi wiele. Lepsza służba w polu. Ale kiedyby przyszły czasy spokoju, trudno siedzieć bezczynnie. Lenistwo miejcie sobie w obrzydzeniu na zawsze i nie szukajcie dla niego

żadnej obmowy, bo go nie nie obmówi. Byli i mego czasu tacy, co siedzieli przez całe życie w domu i ssali łapy jak niedźwiedź — a omawiali się temi słowy: Na wojnę nie idę, bom chor i nie sprostać mi już wojennym niewczasom; urzędu nie biorę, bo lichy król, nieprzyjaciel narodu, niewarto pod nim sprawować urzędu. Anożto judaszowska obmowa! Żaden król nie jest tak lichy, ażeby pod nim nie można sprawować urzędu; są też urzędy dla króla, są dla narodu, a wybór nietrudny. *Tamen* zawsze czynnym być trzeba: z królem, dopóki można; a dalej z narodem. To WMPanom *ante omnia* zalecam. *Ergo* jak mówię: pługą nie rzucać, bawić się nim uczciwie a pracowicie, ażeby nie potrzeba gęby rozdziawiać na beneficya, i być też zawsze wolnym człowiekiem. Faworów się strzedz jak ognia, bo to marność światowa a ciężkie brzemie na plecach, jeśli też nie plugawe. W domu skromniutko, a na wojnę sowito; pokornie przed Panem Bogiem i ludźmi dobrej woli, a jeżem przeciw złośnikom: to moja rada, którą WMPanom daję z Bogiem *in saecula saeculorum*. dopóki ten ród nasz trwać będzie. Amen.“ I tych rad także trzymało się ściśle jego potomstwo. Ziemianie a żołnierze, przedewszystkiem żołnierze. Toż gęsto bywali w tym rodzie mężowie cnót przednich i znamienitych.

Krzysztof Żydowski, żyjący za Jana Kazimierza, całe życie strawił na wojnach. Mówiono o nim, że mu pancerz przyrósł do ciała, i zwano go pospolicie; Mężem żelaznym. Dowiedział się o nim król Michał, uszanował, ukochał i konferował mu starostwo sokolnickie. Ale Krzysztof nie przyjął. Domyślali się jego przyjaciele, iż dlatego tego starostwa nie przyjął, że było małe i nieintratne, a przytem znacznie od Grodowisk odległe, i udzielili tego domysłu królowi. Namyslił się król i postanowił mu nadać starostwo krośnieńskie. Mógł on przyjąć każde starostwo, bo jako *panem bene merentium* przyjmowali je wszyscy, a tem bardziej mógł przyjąć krośnieńskie, które było jednym z największych i tylko po hetmańskich chodziło rękach. Ale on i tego nie przyjął i rzekł: — „Nie służyłem jako zaciężny, tylko jako sługa ojczyzny, i żadna mi się za to nie należy nagroda. Gdybym przyjął jakąkolwiek, więcejbym stracił niż zyskał, bo za grosz marny zaprzedałbym zacną i niczem nie nagrodzoną zasługę.“ Nie wiedząc, co już z nim począć narzeczcie, chciał mu król dać kasztelanią; ale i tę zrekuzyował. Dzisiaj za takie rekuzy możeby się gniewano; ale król Michał tylko tem więcej powziął dla niego szacunku. Pojechał też Krzysztof do niego, podziękował za afekt i przyprowadził

swojego syna ze sobą, który już z nim bywał na wojnach, ale jeszcze Warszawy nie widział. Tam go królowi przedstawił i rzekł: — „Nie gniewaj się, Miłościwy Panie, żem żadnego faworu od ciebie nie przyjął. Przyjąć niczego nie mogłem, bo takie w naszym rodzie jest przykazanie. Ale oto przedstawiam ci mego syna Adama, którego, jeśli go wyrostkiem odumrę, racz mieć w swojej opiece.“ —

Jednak i Adam nie potrzebował niczyjej opieki. Ożenił się z Szydłowską, dziedziczką bogatych włości, i jej posagu użył bardzo chwalebnie, bo dwie chorągwie własne poprowadził pod Wiedeń. Bił się potem pod Parkanami, lecz nieszcześnie, bo się dostał w niewolę. Męczony w carogrodzkiem więzieniu, ażeby przyjął wiarę bisurmańską, pozostał wiernym Chrystusowej nauce i był tak szczęśliwym, że swoje stałość przypłacił śmiercią...

Syn jego Błażej pojechał za nim, zwłoki jego wykupił i we czci synowskiej wiozł je do Polski; lecz napadnięty przez żołnierstwo wołoskie, i zwłoki ojcowskie utracił, i sam dostał się do niewoli, w której lat kilkanaście przejeżdżał. Powróciwszy do Polski, zastał Jana III już w grobie, Augusta II. na tronie, a Polskę zalaną nielitościwie burmistrzującymi po niej Sasami. Aczkolwiek dłu-

goletniem więzieniem tak był zbolący, iż mógł się śmiało usunąć od wszelkiej służby publicznej, uczynił jednak przeciwnie. Przedewszystkiem przysiągł przed obrazem Chrystusa Pana, dopóty nie spocząć w pocziwej pracy, dopóki ostatni Sas nie ustąpi z granic uciśnionej Rzeczypospolitej. Zaczem się stał jednym z najczynniejszych propagatorów przeciwko uciskom saskim. Natchniony świętem uczuciem miłości ojczyzny, nieopisane wytrzymał trudy, chociaż był bardzo wątłym na zdrowiu. Zmieniając co chwila odzież, przekrzyżował on całą Polskę wzdłuż i na poprzek, budząc uspionych ze snu a martwych sercem z kamiennego pogrzebu. Tu jako pielgrzym wracający ze ziemi świętej, tam jako mnich kwestujący, dziś jako kupiec rozwożący towary, jutro jako szlachcic ubogi szukający służby, przewoził tajne korespondencye panów z Rusi do Wielkopolski, z Mazowsza na Żmudź i Litwę — a wstępując po dworach, zaściankach i chatach, wszędzie kołł boleści, ożywiał serca, wznosił umysły i wskrzeszał zamarłą nadzieję. Z zawiązkiem konfederacji tarnogrodzkiej doczekał się wreszcie tych nadziei ziszczenia, a wtedy miecz przypasał do boku, podniósł trud nowy i stał się jednym z najwaleczniejszych żołnierzy. Wyswobodzona została w końcu ojczyzna z pod obcego najazdu — i ode-

tchnęła po Niemyim sejmie swobodnie. Ale Błażej mimo to nie oddawał się zbyt uciechom; kochając swem sercem nowe przewidywał nieszczęścia, kilka lat jeszcze w pobożnej przeżył żałobie — a umierając, gorącemi zalał się łzami: — O! moja biedna ojczyzno! jakież będą twe losy w przyszłości! —

Ale to są dzieje bajeczne...

DZIEJE PRAWDZIWE.

OD ROKU 1760.

Wieś Grodowiska leży pomiędzy Wisłoką a Sanem, w położeniu górzystem, nie bardzo pięknem i nie bardzo wdzięcznem. Ziemia tam lekka, składająca się z glinki i piasku, w położeniach niższych pomieszana z pruchnicą, na pagórkach obejmująca cokolwiek marglu i wapna. Grunt taki jest urodzajny; wydaje wyborne żyta i koniczyny, rodzi obficie ziemniaki, udaje się nawet na nim jęczmień i pszenica. Ale tylko bardzo oględne i umiejętne gospodarstwo może go przy urodzajności utrzymać; kilka lat nieprzezornego łakomstwa na zboże wyplenia go zwykle na lat kilkanaście. Z tem wszystkiem Grodowiska bywały swojego czasu bardzo intratne. Był to bowiem majątek jak na te okolice dość znaczny; składał się z siedmiu wiosek, z czterech folwar-

ków, obejmował przeszło tysiąc dwieście morgów ornego pola i około dwa tysiące morgów lasu, miał gorzelnię, browar, tartaki, młyny i blichy, co wszystko przy licznej pańszczyźnie łatwe i znaczne przynosiło dochody. Toż dawni jego właściciele zaopatrzyli go po ojcowsku, wymurowali pałac duży w guście saskim, pobudowali oficyny i stajnie, pozakładali sady, ogrody, pasieki. Nie zapomnieli także o upiększeniach i nasadzili drzew mnóstwo, z których stuletnie świrki i wiązy a kilkuset-letnie dęby i lipy, to poustawiane rzędami, to luźnie porozrzucane po ogrodowej przestrzeni, na obcym nawet przechodniu poważne sprawiają wrażenie. Pomiedzy temi drzewami widać było tu jakąś starożytną chińską altanę, tam chatkę pustelniczą mchami i trzcinaą okrytą, w głębi staw gęstem zarośnięty sitowiem, w oddaleniu na wzgórzach biały błyszczący kościółek, fundowany przez pobożnego Błażeja a mieszczący pod sobą święte kości i prochy styranych na usługach ojczyzny pradziadów. Dokoła obszernego ogrodu idzie mur niegdyś żelaznymi zjeżony kolcami, dziś zarośnięty nieprzebytymi głógami, po nad które powystrzelały do góry berberesy olbrzymie i przegiąwszy się przez nie zwieszają drobniutkie kwiatki i liście ku ziemi... Dość, że ta dawna szlachecka siedziba nie tylko wygląda po staremu zamczysto

i dworno, ale zarazem tak silnie uderza swoją starożytnością, iż na jej widok pomimo woli tęskne się z piersi wydobywa westchnienie, a niecierpliwe usta pragną zapytać: Któż te pustynie z taką miłością ozdobił? Gdzież są ci, którzy tu dawniej mieszkali?

W roku 1760 mieszkał tu pan Jozafat Żydowski. Był to starzec natenczas siwowłosy, poważny, niskiego wzrostu, szerokich pleców, krótkiego karku i cokolwiek otyły. Życie jego wypadło za Sasów, więc je przeżył po sasku: był człowiekiem swojego czasu. Ale był dobrym człowiekiem. Żył wesoło, ale fortuny nie tracił; oszczędnym był, ale nie skąpym. Doskonałym był mężem, zawsze w serdecznych afektach dla swojej ukochanej jejmości, zawsze z konsyderacją dla niej do śmierci, a kiedy ją Bóg do swojej powołał chwały, postawił jej marmurowy nagrobek, ufundował dwanaście mszy świętych rok rocznie za jej duszę, i nigdy żadnej z nich nie opuścił. Po jej śmierci, miłość, którą miał dla niej, przeniósł na dzieci, a miał ich dwoje: córeczkę, którą młodo wydał za męża i wyposażył gotówką — i syna Bernarda, który, acz jeszcze wiotki, przerósł już był ojca o jakie pół głowy. Trzymał się zawsze ściśle rodzinnych przykazań; żyda nie cierpiał w swych dobrach, poddanych nie obciążał a zubożałych wspomagał,

w braku wojny służył ojczyźnie na rozmaitych urzędach. Nie zważał na to nic, że urzędowanie jego żadnej narodowi nie przynosiło korzyści; on wypełniał swój obowiązek. Trzymał zresztą natenczas z królem, bo chociaż król był lichy, nie był przecież nieprzyjacielem narodu. Ale kiedy po śmierci Augusta III. zanosko się na wybór Poniatowskiego, pan Jozafat stanął jeżem przeciwko niemu; nie dlatego, że Piast, ale że się na wolny tron obcą forytował pomocą. Złączył się więc z najzacniejszych obywatelami ojczyzny: z Potockimi, Branickimi, Radziwiłłami... i nie żałując zdrowia ani szkatuły, poszedł szydłem przeciwko familii. Kroniki owoczesne piszą, że dokazywał zawzięcie pomiędzy szlachtą — i jeżeli południowa część województwa sędomirskiego była tak stanowczo Poniatowskiemu przeciwną, to było to jego robotą. Zaczem na czele licznego poczetu szlachty na elekcyą wyruszył. Ale z elekcyi musiał uciekać... tak jak wszyscy, bo *nec Hercules contra plures*.

Branicki, Sołtyk i inni ujechali do Węgier, a on do Grodowisk. I zasiadł w domu, przypatrząc się ze smutkiem tym czarnym chmurom, które się zaczęły wieszać nad naszą nieszczęśliwą ojczyzną. Niebawem powracali owocześni wychodźcy do kraju, Stanisław August osiadł spokojnie na

tronie, i zaczął się ustalać powoli jakikolwiek porządek rzeczy. Nowy król, łaknący przedwszystkiem popularności i miłości narodu, usiłował swych nieprzyjaciół rozmaitymi środkami ugłaskać. Królewskie fawory, dygnitarstwa, urzędy, starostwa, posypały się jak grad pomiędzy malkontentów — a im kto się okazał niebezpieczniejszym królowi, tem mógł być pewniejszym jakiegoś ukontentowania od niego. Tym trybem i panu Jozafatowi dostała się kasztelania słońska. Otrzymawszy zawiadomienie o tem, długo się nad swoim obowiązkiem namyślał. Lecz namysłiwszy się, rzekł:

— Przyjmę, bo sam jeden przeciwko tobie stać nie mogę. Przyjmę, bo to nie twój urząd, lecz narodowy. Ale mnie przecie tem bzdurstwem nie kupisz.

I przyjął. Ale pomimo to był zawsze w dobrem porozumieniu z dawną partją saską a teraz już narodową, otrzymywał od niej nieprzerwane nowiny, szerzył je między bracią, budził dobrego ducha, nie żałował spiżarni i piwnicy dla gości, aby się też bliżej ze sobą stykały pocziwe serca i lepiej porozumiewały umysły; a kiedy wreszcie konfederacya barska wybuchła, on był najpierwszy, który do Sędomierza poleciał. Biegąc tam, wziął i Bernarda, który już był młodzieńcem dwudziestoletnim, nabrał koni i ludzi ze sobą,

ba! i dłużek jakiś na Grodowiska zaciągnął i nie pytał nic na to, że swoją fortunę Bożej zostawiał opiece. Pierwsza ojczyzna nad wszystko! Kiedy ona będzie w dobrem zdrowiu, to synom jej chleba nie braknie; a kiedy ona w ucisku, nie warto jeść, nie warto i żyć na tym świecie; — to były jego ostatnie słowa, kiedy wyjeżdżał z pod kolumnady pałacu.

Jakoż przystąpiwszy do konfederacyi, chociaż stary i ciężki, służył jej wedle sił swoich przez całych lat pięć. Kiedy mu ręka osłabła, to obwiązywał ją paskiem św. Franciszka, bardzo na słabość ręki skutecznym; a kiedy i pasek święcony już nie pomagał, to zasiadał w radach i konsyliarzował. Bernard zaś bił się bez paska, bo był młody i krzepki, i bił się chwalebnie *usque ad finem*. Zważywszy środki ówczesne tych walecznych żołnierzy, brak broni i koni, pieniędzy i ludzi, pomocy a nawet otuchy, wytrwałość ich zdaje się dzisiaj bajeczną. Ale taka to była natenczas miłość u ludzi: gorąca, jawna, nieprzeparta, niezwy- cieżona, a taka miłość stanie za wszystko...

Po skończeniu konfederacyi, kiedy już ostatnie resztki jej sił zostały rozbite i jej ostatnie fortece dostały się w ręce nieprzyjaciela, było najwięcej takich, którzy już całkiem stracili nadzieję; ale byli i tacy, którzy jeszcze i wtedy jej

nie stracili. Do tych ostatnich należała sama Jeneralność, a z nią trzymał i Bernard, który dosłużwszy się szablą i głową rangi pułkownika, czuł to w swem sercu, że gdyby wszyscy byli tacy jak on, to jeszczeby nie było czego rozpaczać. Jeneralność, nie mając już nadal przytułku dla siebie w obrębie państw austriackich, wyniosła się do Bawaryi — z nią chciał się i Bernard wynosić. Ale go jego ojciec powstrzymał.

„Chwałę tę szlachetną persewerancyą waćpana, Mości pułkowniku — pisał do niego ojciec, już znajdującego się w Białej i oczekującego na pieśniadze i listy z Grodowisk — ale przedstawiam, że Jeneralność się illuzjami unosi, a służyć ojczyźnie albo-li też illuzyom, to nie jest jedno i to samo. Jeżeli zresztą Jeneralności się uda za obcych potencyi pomocą, w którą ja jednak nie wierzę, zrehabilitować tę naszą upadłą sprawę, to uda się jej to i bez ciebie, a ojciec twój, siedmdziesięcioletni i mocno stargany starzec, nie wyżyje tu między Niemcami bez ciebie — i nie wyżyją tu Grodowiska bez ciebie, które ażeby się nadal w naszym utrzymały imieniu, jak to wiesz dobrze, nie jednej potrzebują pracy i reparacyi.“

Ten list nawrócił Bernarda do domu.

Tak w roku 1773 zasiedli obadwa na swej ojcowiznie. Stracili już prawie wszystko, co tylko mogli utracić: ojczyznę, nadzieję, połowę zdrowia i połowę fortuny; ale pomimo to byli spokojni, jako woda stojąca. Pan Bóg zarządził wypadkami wedle swej woli, ale oni wypełnili swój obowiązek. Uczucie dopełnionego obowiązku zastępowało im wszelkie rodzaje szczęścia, których im losy przeciwnie nie pozwoliły dostąpić. Z takim uczuciem można być wszędzie szczęśliwym, w ubóstwie i w nędzy, w fortocy i na Sybirze...

Tak byłby zacny staruszek przeżył zapewne, jeżeli nie szczęśliwie, to przynajmniej spokojnie, jeszcze lat kilkanaście, ale mu życia ukrócił następujący wypadek. Jak Stanisław August po swoim na tron wstąpieniu, tak postępuje zazwyczaj rząd każdy, ujmując sobie faworami znamienitszych obywateli.

Po wcieleniu Galicyi udzielano tytułu hrabi każdemu, kogo rok 1772 zastał piastującego urząd koronny, albo sprawującego starostwo grodzkie. Nie myślał o tem niczego już nie pragnący dla siebie staruszek; ale pomimo to dała się słyszeć jednego dnia trąbka pocztarska przed kolumnadą pałacu w Grodowiskach, a niebawem stary lecz pilny w swej służbie Sebastian wprowadził pocztyliona, ubranego z wielką paradą do

sali. Tam siedział staruszek w poręczowym krześle i lulką się bawił; przystąpił tedy do niego pocztylion i wręczył mu list wielki, zaopatrzony pieczęcią. Spojrzawszy na list, pan Jozafat prawie się przestraszył, i spytał drżącymi usty:

— Cóż to jest, mój kochany?

— Pismo od pana prefekta — odpowiedział wesoło pocztylion — niech Jaśnie Wielmożny pan sam czyta, bardzo to Jegomości ucieszy.

Ale staruszek trzymał nierozpieczętowany list w ręku i myślał nad nim; a wreszcie, kazał zaprosić pana Bernarda. Przyszedł Bernard, ojciec opowiedział mu rzecz, i swoje domysły, i swoje chęci.

— Na każdy wypadek trzeba przeczytać — rzekł Bernard.

Rozpieczętowano i przeczytano. Bernard trzymał otwarty list w ręku i milczał; staruszek załamał ręce i zawołał:

— A czemżeż sobie zasłużyłem na taką łaskę. Zaczem się zerwałem, oddałem pocztylionowi list ten napowrót, dodałem do niego kilka dukatów i rzekłem:

— Oddaj to, mój kochany, panu prefektowi i powiedz mu, że nie przyjmuję i nie przyjadę.

Pocztylion stał przez chwilę przy drzwiach niepomалу zdumiony; ale zręczny Sebastian mruknął na niego, a tak obadwa wyszli razem ze sali.

Kiedy ojciec ze synem zostali sami, staruszek rzekł: — Cóż w tem rozumiesz?

— Stało się tak — rzecze Bernard — jak się stać było powinno, ale bodajby nie było z tego jakich przykrości, bo czasy króla Michała i naszego pradziada Krzysztofa już dawno minęły...

— Ech! co mi zrobia! — zawołał z oburzeniem Kasztelan — dobrodziejstwo nie obowiązek, wolno go dać albo nie dać, wolno przyjąć albo nie przyjąć. A zresztą... ja już i tak jedną nogą w grobie i mam sobie wszystko za hetkę pętelkę!

Czy nowy duch, czy chwilowo trwożliwa myśl przemówiła z Bernarda, dosyć że rzekł: — Ale ja jeszcze obydwiema nogami na ziemi!

— Ty? — powtórzył staruszek i spojrzał mu w oczy, zaczem dodał: — To prawda; ale ażaliżbyś i ty nie poszedł w grób ze mną, kiedyby tego była potrzeba?

— Pójdę mój ojcze! choćby i w grób — zawołał Bernard i ścisnął ojcowskie ramiona. I znowu spokój był w Grodowiskach.

Ale już nie na długo. Nazajutrz bowiem było to właśnie św. Bernarda, imieniny Kasztelanica, i najechało się dużo gości do Grodowskiego pałacu. Staruszek był dobrej myśli, bawił się z sąsiadami, ale o wczorajszem zdarzeniu nic nie wspo-

minał. Opowiadał tylko *per ambages* o rozmaitych nowożytnych honorach, o zacności polskiego szlachectwa, jako jest pierwszym klejnotem na świecie, i jako go, kromia cnoty i zasług około ojczyzny, nie przyozdobić nie może. Sąsiedzi tego nie rozumieli; ale zrozumieli niebawem, kiedy wszedł do sali jadalnej dragon od pana prefekta i doręczył Kasztelanowi pisemną cytacyą, aby się osobiście stawił w obwodowym urzędzie. Stało się to właśnie podczas samego obiadu, staruszek już był po kilku kielichach, więc go to jeszcze tem bardziej wzburzyło. Zerwał się jak oparzony z krzesła: — Mnie! do urzędu! hej! Sebastyan! za drzwi z tym.... Ale nim tych słów kilku domówił staruszek, już nie było kogo wyrzucać za drzwi. Zaczem się uspokoił, pił na fantazyą i mówił: — Już ja jak widzę nie doczekam się grobu w spokoju. Niedawno skończyłem wojnę z Moskwą i regałami, teraz mi przyjdzie zaczynać ją z Niemcami. I spodziewam się, że mnie WMPanowie nie opuścicie! —

Rozgłośnie krzyki się rozniosły dokoła stołu, zachmurzyło się niebo i biły srogie pioruny do późna w noc.

Nazajutrz był znowu taki sam dzień jak wczorajszy — i wszyscy goście zostali. I znów był obiad huczny i wesoły. Kasztelan siedział na

końcu stołu, wznosił coraz-to nowe przezdrowia, a wierny Sebastian stał za nim i podawał mu omszone butelki. Szóste już zdrowie wniósł był Kasztelan i właśnie zawołał: *Et post sex nulla lex!* — kiedy w tem otworzyły się drzwi z wielkim łośkotem, i wpadło przez nie do sali kilku nieznanym ludzi w mundurach, a sam prefekt na czele. Zapomniał się do tego stopnia nieznający swych obowiązków urzędnik, iż wpadł zaperzony i zaczął brzydkimi słowy lżyć Kasztelana. Na jego widok i słowa zerwał się z krzesła staruszek, nabiegł krwią cały i zawołał: — Hej! Sebastian! a podaj-no mi gwintówkę! — Wśród ogólnego zdumienia z jednej, a hałasu z drugiej strony, nikt tego nie słyszał, nikt nie rozumiał. A tymczasem usłużny Sebastian już przybiegł z gwintówką. Wyrwał mu ją staruszek z ręki, wymierzył i palnął...

Wszystko to się stało w jednym momencie. Dym się rozniósł po komnacie, — wśród dymu widzenie zniknęło; — przestraszony Bernard wybiegł czempředzej do sieni, aby obaczyć, czyli kto nie raniony. Nikt nie został ranionym — i to go uspokoiło. Lecz kiedy powrócił do sali, zastał wszystkich gości zgromadzonych około tego miejsca, gdzie siedział ojciec — a jego samego wyciągniętego w przerażającej postaci w krzeselku.

Nie rozumiejąc, co to znaczy, przypadł spieszenie
ku niemu z pomocą, — ale napróżno. Ojciec jego
już nie żył. Zabiła go apoplexya.

Natenczas jeszcze umierali ludzie z oburzenia
i sromu...



OD ROKU 1773.

Sprawiwszy ojcu pogrzeb odpowiedni jego wysokiej godności, na który się całe województwo zjechało, i uspokoiwszy się w chrześcijańskiej pokorze po jego śmierci, Bernard znalazł się w położeniu dość przykrem. Konfederacya barska nadwerężyła bardzo ich rodzinny majątek, wyczerpnęła wszystkie pieniężne i gospodarskie zapasy, a nadto jeszcze obciążyła Grodowiska znacznymi długami. Ś. p. ojciec jego, człowiek bardzo oględny i gospodarny przez całe życie, uniesiony w ostatnich czasach gorącą miłością ojczyzny, stracił był wszelką oględność i nie tylko że pozaciągał długi takie, którym przysługiwała hipoteczna oblata, lecz nadto pozadłużał się jeszcze u żydów. Kiedy Bernard te wszystkie długi policzył, przekonał się, iż przenosiły one połowę wartości Grodowisk. Popłacić je z intrat, prawie nie było sposobu; a jakiegokolwiek innej pomocy ani mógł

się spodziewać. Kraj był podówczas niesłychanie zniszczony, żadnego handlu, żadnego kredytu; ztąd wartość wsi jest bardzo niska — a teraz jeszcze o tyle niższa, o ile je zaczęły obciążać coraz-to nowe podatki. Dość, że bardzo źle było około Bernarda; Grodowiska były w największem niebezpieczeństwie. Myśl o tem, że je może utracić, przejmowała go niewymowną boleścią. Nie chodziło mu przytem o materyalne korzyści, o posiadanie, znaczenie, wygody życia. Eh! cóż tam tych parę folwarków! Młody był jeszcze, miał dopiero lat trzydzieści, był zdrow i krzepki, był pułkownikiem, świat był szeroki, ludzi na nim nie wiele: ażaliż trudno mu się było na nim pomieścić i zasługą a pracą zdobyć choćby i dziesięć folwarków? — Ale Grodowiska były już przeszło półczwarta wieku w posiadaniu jego praojców, oni je założyli, zabudowali, przyozdobili, kości tam swoje złożyli; i ta praca, te żywe dzieje, ten grób, ten panteon jego rodziny, miał dopiero za jego życia wyjść z jego imienia? i on, wierny ich syn, z ich kości kość, ze krwi ich krew, miał pójść i poniewierać się po cudzych służbach i cudzych zagonach? — Niedawno temu stracił swoją wielką ojczyznę, po niej została mu druga mniejsza ojczyzna, a nią były Grodowiska; po stracie tamtej, miałże i tę jeszcze utracić? — Bernard

rozmyślał nad tem bardzo boleśnie. A w końcu tak postanowił: — Nie ustąpię do ostatniego oddechu. Będę pracował ze wszystkich sił; Bóg niechaj rządzi, ja wypełnię mój obowiązek.

Jawszy się z nateżeniem pocziwej pracy, zaraz był lepszej myśli. Nie miał jeszcze pewnych widoków, że się wyratuje, ale już wtedy tak sobie mówił: — Zaczniemy wierzyć, przecie się jakoś do czasu wyproszę, mniej litościwych będę spłacał potrosze; a tak kiedy obaczę, że pracuję i płacę, że płacę długi takie, o które-bym się mógł procesować, że płacę kartki ojcowskie, których-bym mógł całkiem nie płacić, przecie mnie uszanują i będą mieli cierpliwość. — I tak się stało. Zacni byli ludzie na świecie i umieli zacność szanować. Bernard pracował i spokój miał w pracy.

W spokoju serca przyszła mu myśl jeszcze inna. Widział, że ludzie się żenia; dlaczegoż-by i on nie miał się ożenić? Widział, że przez ożenienie się jakokolwiek ratują; dlaczegoż-by i on nie miał się tak ożenić, ażeby się poratował? — Żenienie się dla posagu jest brzydkie, jest plugawe, jest-to brud społeczeństwa; ale ożenienie się roztropne chwaliło się zawsze i słusznie. Ożenienie się takie było daleko łatwiejszem wtenczas, niż dzisiaj. Przychodziło ono zazwyczaj prawie samo ze siebie. Albowiem wtenczas już wprowadzie

możnowładztwo upadło, a nawet i starodawne szlachectwo pod naciskiem nowych splendorów zaczęło się mieszać z żywiołami rozmaitego znaczenia; nazwiska, o których ani Paprocki ani Okólski, ani nawet Niesiecki, nie wiedzą, zaczęły wypływać pomału na jaw i okrywać się splendorami; ale pomimo to jeszcze się nowożytna arystokracja nie rozsiadła w opinii publicznej narodu. Arystokracji tej, która się wiąże z ludźmi jakichkolwiek splendorów, byle-by przy nich były pieniądze, jeszcze naówczas nie znano. Społeczeństwo było jeszcze wedle starego zwyczaju podzielone na stany, pomiędzy którymi, oprócz wiejskiego ludu i mieszczan, rozróżniano najpierw magnatów, potem domy senatorskie, dalej szlachtę herbowną i dobrze osiadłą, a wreszcie szlachectwo drobne. Każdy stan taki żenił się zwykle tylko u siebie. Przy kojarzeniu małżeństwa uważano na ród, a przytem na osobiste przymioty; większa lub mniejsza fortuna bywała zwykle rzeczą podrzędną. Wierzano bowiem w szczęście zbudowane na cnocie i w łaskę cnoty u Pana Boga; więc kiedy dobrana para dawała rękojmię cnót domowych i obywatelskich, nikt o tem nie wątpił, że tam ni szczęścia, ni chleba nie braknie. I z Bożej woli nie brakowało nigdy obojga...

Z tego względu miał Bernard wcale niezłe widoki przed sobą. Był młody i piękny. Wysoki wzrostem, jasne miał włosy, duże błękitne oczy, nos orli, wąs piękny i gładki, jak Polakowi przystało. Był wychowany starannie, umiał kilka języków, piękną miał swadę i obyczaje polerowane i gładkie. Pochodził z starożytnego rodu, zacnego gniazda, był Kasztelanicem, ba! nawet i sam już nieobojętne położył zasługi około ojczyzny, a w domu okazał się zacnym, prawym i szanującym cienie swych ojców. Mógł się tedy ożenić w jakim domu kasztelańskim z łatwością. W domu takim znalazł-by się i posag — a jeżeli-by go nie było przy ślubie, to-by się pomoc znalazła, która częstokroć więcej jest warta niż posag. Zaczął się tedy wychylać z domu, szukając żony. Ale jeździł w Ruś i w Podole, w Krakowskie i na Mazury — i nic nie wynalazł. Chwalono go wszędzie i kochano; ale tu mu się panna nie podobała, tam znowu on pannie się nie podobał, a kędy indziej krzywiono się nawet na niego za to, że hrabią nie został. Nie należy dziwić się temu, albowiem wtenczas już się zaczęło ludziom potrosze przewracać w głowie. Takie niepowodzenie smuciło trochę Bernarda, a nie miał, czemby się pocieszył. Zapomniał wszakże o starem przysłowiu: — Kraść daleko a żenić się blisko. Doskonałe to jest przy-

słowie. Gdyby był o niem pamiętał, może-by się był jeszcze za życia ojca ożenił...

Albowiem o granicę od niego leżał majątek, tej samej objętości co Grodowiska, a zwał się Starodzięki. Ale był to majątek dwakroć i trzykroć intratniejszy i lepszy. Leżał nad brzegiem rzeki, więc miał grunt wcale wyborny, a oprócz tego las miał dębowy i trzysta morgów łąk na porzeczu. Dęby to grosz gotowy, a łąki w tych stronach to wielki skarb dla gospodarza. Z tego względu Starodzięki zwracały już i pod owe czasy powszechną na siebie uwagę i uchodziły nie za szlachecką, ale za pańską fortunę.

Tymczasem właścicielem tego majątku był szlachcic taki, jakich jest w Polsce tysiące. Nazywał się Tobiasz Wapnowski, z starożytnego pochodził rodu, miał też i kolligacye; ale był skromny i cichy nad podziw. Niskiego był wzrostu, chuderlawy, rudawy, już szpakowaty, chorowity cokolwiek, ale dosyć ruchliwy i żywy. Za czasów najlepszych i najweselszych mało gdzie się wychylał z domu. Żołnierzem nie był, sejmików i kondescencyi nie lubił, zjazdów szlacheckich unikał, i ledwie że się dał czasem do kompromisu uprosić; lecz mimo to bardzo pięknie służył ojczyźnie, a jeszcze piękniej cierpiącej się wysługiwał ludzkości. Konfederacya barska miała w nim jakby swego furyera;

co stamtąd ludzi, co koni, co gotowych pieniędzy odebrali w darze Puławski, Bierzyński i Sawa, tego-by nikt nie policzył. Prócz tego przez cały czas wojny konfederackiej Starodzieki były ciągłym szpitalem. Był na to osobny odstawiony budynek, w którym często po kilkadziesiąt rannych leżało. I ażeby się tam dostać, nie koniecznie trzeba było być konfederatem, ani nawet Polakiem, dość było być człowiekiem. Po każdej bitwie w tych stronach stoczonej pan Skarbnik sam jeździł na pobojuwisko i zabierał ze sobą każdego, ktokolwiek z zbolełej piersi ludzkim do niego odezwał się jękiem. Tak w jego szpitalu leżał Polak obok Moskala, katolik obok kalwina, Mazur obok Kałmuka lub Kabardyńca. Pielęgnowała ich sama pani Skarbnikowa, która jeszcze żyła natenczas, ze swoją najstarszą córeczką Salusią; ale i Skarbnik sam po kilka razy na dzień odwiedzał chorych, a przechodząc się między tapczany, z założonemi na krzyżach rękami i głową spuszczoną ku ziemi, jako miał zwyczaj, powtarzał chorym w każdej izdebce: — Kochajcie się ludzie i pomagajcie sobie nawzajem, jako Pan Bóg przykazał; kiedy się kochać będziecie i sobie pomagać, to wam Bóg da, że i wojen nie będzie. — Mieli też ci nieszczęśliwi pielęgnowanie staranne, był przy nich felczer, była apteka, był i kapłan pod ręką, zgoła wszelka możliwa

pomoc i pociecha duchowna. Jakoż niemało ludzi, którzy-by byli marną zginęli śmiercią na pobożowskich, po lasach albo po chatach wieśniaczych, tam poprzychodzili do zdrowia i ściskając kolana swojego dobrodzieja, wesoło powracali do domów. Inni, których nieodzowne doścignęły wyroki, umierali przynajmniej z błogosławieństwem Bożem — i prawie zawsze się to zdarzało, że umierający kalwin albo syzmatyk, widząc ile we wierze katolickiej jest miłosierdzia dla cierpiącej ludzkości, rewokował swe błędy i oddawał Bogu duszę oczyszczoną z grzechów zupełnie. Dlatego też Skarbnik odznaczył dla tych nieszczęsnych osobny kawałek ziemi i kazał ich grzebać razem jednego przy drugim, stawiając każdemu krzyżyk z napisem jego nazwiska. Jakkolwiek krzyże te popruchniały za czasem i nie zostawiły śladu po sobie, cmętarzyk ten jednak widać do dziś dnia, i pokaże go każde dziecko w Starodziegach, nazywając „konfederackim pogrzebem.“ —

Takim był przyjacielem ludzkości pan Tobiasz. Ale nie dosyć na tem. Udzielając się obcym, nie zapominał także o swoich. Żołnierzem nie był, sejmiki mijał, zjazdów nie frekwentował ani ich przyjmował u siebie; byli też ludzie, którzy go ani z twarzy nie znali, ale byli to tylko ludzie szczęśliwi. Mało kto z nieszczęśliwych, któryby go

nie znał. Gdziekolwiek bowiem pojawiło się jakie nieszczęście, daleko czy blisko, proszony czy nieproszony, zawsze się tam zjawiał pan Tobiasz. Zgorzał kto, stracił sprzęty, dobytki i inwentarze: jeszcze się jego zgłiszcza dymiły, jadą już fury od pana Tobiasza z mąką, z omastą i zbożem, a za nimi kilka krów pięknych i woły i konie. Zachorował który z sąsiadów, nie mógł się trudnić sam gospodarstwem, marniała jego fortuna: jest już pan Tobiasz, obima rządy, dyspozycye wydaje i często z własnej szkatuły czyni potrzebne nakłady. Została się po kim sierota, nie miała się kędy przytulić: pan Tobiasz już ją przywiózł do siebie, opiekował się nią jak ojciec, wychowywał swym kosztem i potem żenił albo wydawał za mąż, pocziwie jej wyprawiając wesele. Przychodził potem taki poratowany do niego, dziękował za dobrodziejstwa: on nigdy podziękowania nie przyjął, odpowiadając: — Nie dziękuj mi, panie bracie, a dziękuj, Bogu, bo to jego robota; i nie oddawaj mi tego, jeżeli łaska, Bóg mi to odda sowicie. —

Widząc go tak hojnym, dziwili się nieraz sąsiedzi, skąd-by brał na to dostatków? — a tymczasem przypływały one same do niego. Majątek jego, jak się już powiedziało powyżej, był sam ze siebie bardzo intratnym; a oprócz tego, jakieżto był z niego gospodarz! Jego ziemie orne były

tak wyprawione i znawożone, że się czerniły jak
 aksamit do słońca; łąki wszystkie poprzeryzane
 rowami, lasy pookopywane i pielęgnowane jak
 najpiękniejsze ogrody. Gospodarskie budynki zamu-
 rowane jak miasto, stodoły jak kościoły, stajnie
 jako koszary, gorzelnia jak ratusz, a browar przy
 niej i sytnia miodu jak klasztor. A wszystko to
 z muru i pod dachówką, jak w mieście. W tych
 stajniach bydła tyrolskie, konie ogromne jak fryzy,
 owce cienko-wełniste, a wszystko krągłe, wesołe
 i żwawe, jak nigdzie. Za gospodarskimi budyn-
 kami ciągnęły się sady wielkie jak lasy, a pasieka
 jak wioska. A tymczasem pomiędzy tem wszyst-
 kiem, tak wspaniałem i sutem, jego domek miesz-
 kalny siedział jak grzybek przy ziemi. Wybudowany
 był z drzewa, dosyć obszerny i czysty, ale skrom-
 niutki, cichutki i przygarbiony, jak on sam. Koło
 niego maleńki wirydarz na kwiatki, maleńki mu-
 rek z brzoskwiniami przy sobie, kilka okienek na
 lepsze włoszczyzny, sadzaweczka na rybki, ot! i
 już wszystko. W tym domku mieszkał pan Tobiasz
 i rzadko go kiedy opuszczał. Wstawał rano przed
 wschodem słońca, i mówiąc poranne pacierze, zaraz
 do gospodarstwa wychodził, bo pańskie oko konia
 tuczy, jak wtedy mawiano. Sam on też bywał
 przy wszystkim, przy karmieniu i pójle, przy
 zaprzęganiu i wyjeździe na pole. Nikt go nigdy

nie widział, ażeby którego sługę uderzył; nikt go nie słyszał, aby złzył kogo; ale pilnował wszystkich i zawsze tak dopilnował, że wszystko szło jak w zegarku. Ztąd jego dochody, ztąd takie wielkie dostatki. On zawsze pierwszy zasiał, on pierwszy zebrał i schował. Schował dobrze i dobrze omłócił, więc też i sprzedał najłatwiej. Nigdy sprzedawać nie potrzebował, więc zawsze sprzedał najdrożej. A przytem, jak miękkim był dla nieszczęścia, tak znowu twardym był w interesach. Nie od niego-to było coś za bezcen wyłudzić i nie jego unudzić, a łakome żydki musieli się nieraz dobrze natanćować około niego, nim targu dobili. Nie łatwym też był do pożyczania pieniędzy. Darmo dał, ale pożyczać nie lubiał; a kogo-kolwiek miał za stratnego, temu nigdy nie pożyczył, a wtedy mówił: — Darowizny nie przyjmiesz, bez prowizyi ci nie dam, a dawać na prowizyą, to grzech. — I nie dał. Ztąd lekkoduchy nazywali go dusigroszem. On nim nie był. A jeżeli był, to kto w takie uczciwe sposoby wydusza grosz i wydusza go na to, aby się nim dzielił z ubóstwem, tego postawić wysoko i błogosławić, ażeby żył jak najdłużej i był wzorem dla wszystkich.

Od chwili pierwszego rozbioru Polski a razem i śmierci swej żony, co prawie na jedną dobę wypadło, pan Tobiasz się znacznie odmienił.

Posmutniał bardzo, zgarbił się jeszcze więcej, przycichł, ba! nawet już prawie umilkł zupełnie, i odtąd już ani krokiem nie wychylał się z domu. Słudzy opowiadali o nim, że bardzo wiele się modli, a czasem zasuwa się w kącik samotny i płacze. Biedny, pocziwy Tobiasz! Miękkie to serce krwawiło się wtedy w boleści. Byłoby może umarło.... Wszelako miało choć jakąkolwiek około siebie pociechę. Skarbnik miał dzieci i dobre dzieci: jednego syna, który się chował we Lwowie i bardzo się pięknie prowadził, i trzy córeczki, z których najstarsza Salusia miała już lat dziewiętnaście a może nawet dwadzieścia.

Salusia była bardzo piękna. Szczupłutka i dosyć smukła, miała włos ciemny, oczy szafirowe, nosek równiutki, a płeć tak delikatną, że na niej było znać wszystkie żyłki niebieskie. Na pierwszy rzut oka miała coś w sobie jakby spazmatycznego; lecz była zdrową, usta miała jak wiśnie, ząbki jak perły, spojrzenie jasne, tylko cokolwiek melancholiczne. Salusia była bardzo dobra. Od najmłodszego dzieciństwa swego była oblubienicą całego dworu, potem najskrzętniejszą opiekunką szpitalu, dzisiaj się stała aniołem-stróżem całej tej licznej rodziny. Do niej się udawały wszystkie instancye, przez nią zanosiły się prośby, z jej rąk wychodziły wszystkie jałmużny.

Bernard znał się od dawna z panem Tobiaszem. Jego nieboszczyk ojciec bardzo wysoko go cenił, często odwiedzał, a nawet w czasach konfederacyi znaczną sumę pieniędzy od niego pożyczył: *Quinquaginta sex millia flpol.* stało w księgach oblaty na Grodowiskach, na rzecz ojca Salusi. Na owym fatalnym obiedzie u Kasztelana Skarbnik nie był, ale na pogrzeb jego przyjechał. Odprowadził ze czcią zwłoki jego do grobu, a po pogrzebie wziął Bernarda do siebie. Tam go pocieszał i examinował o interesa i zamysły na przyszłość, a wyrozumiawszy stan rzeczy, radził pilnowanie zagona i ofiarował pomoc w potrzebie. Podziękował mu Bernard serdecznie, ale pomocy nie przyjął. Widział przytem Salusię, ale nic w niej nie widział; był jeszcze cały we łzach po śmierci ojca. Potem podróżował cokolwiek, a kiedy do domu powrócił, to gospodarstwa pilnował i nigdzie nie wyruszał. Dopiero po obrobionej wiośnie, przy której nieraz sam sto pięćdziesięcioma pługami jakby jaką dywizyą komenderował, z nadejściem św. Jana, zwykłego terminu wypłat, znów do Starodzieńk pojechał, ażeby zawieźć Skarbnikowi prowizyą. Skarbnik obaczywszy pieniądze na stole, bardzo się zdziwił, wzbraniał się przyjąć i mówił:

— Panie bracie! masz może naglejsze potrzeby, jako to początkowy gospodarz i po takich nieszczęściach; weź to, oddasz mi później. —

Ale Bernard, mający ambicyi tak podostatkiem, że mógł-by był jej jeszcze komu drugiemu udzielić, a do tego słyszawszy więcej o Skarbnika dusigroszostwie, niżeli o jego dobroczynności, — jak tylko zasłyszał słowa: „masz może naglejsze potrzeby“, — posunął ku niemu pieniądze i dodał:

— Każdy dług równo jest nagły, jak skoro termin przychodzi. —

Skarbnik zgarnął pieniądze i schował. Bernard się odwrócił od niego, a wtedy po raz wtóry obaczył Salusię. Piękna ta dziewczyna uderzyła go swoją pięknością; dobra ta dziewczyna podbiła go swoją dobrocią. Bernard był także pięknym i dobrym, i sprawił na niej takie same wrażenie, jak ona na nim.

Kiedy Bernard powrócił do domu, nie mógł spać całą noc. Wstawszy rano, wszędzie widział Salusię. Kładąc się spać, żałował, że nie był dnia tego w Starodziekach. Ale za to pojechał nazajutrz.

Trochę spokojniej przyjęła to uczucie Salusia, bo nie wiedziała sama, czem ono było, co z niem począć i jakie mu dać nazwisko. Ale tak samo jak Bernard nie mogła sypiać po nocach, co chwila się jej zdawało, że Bernard przyjeżdża, i bardzo smutną była, gdy nie przyjechał.

Tak w kilka tygodni zawiązała się pomiędzy temi dobrymi dziećmi miłość, lecz miłość szczerą, serdeczną, głęboką, zakładającą fundamenty na całą wieczność.

Ale niestety! była to miłość z obu stron bez najmniejszej nadziei.

Oboje to czuli z głębokim smutkiem i wiedzieli, dlaczego tak czują. Wedle ich wiedzy nieprzebyte stały temu związkowi na drodze przeszkody. Przedewszystkiem bowiem rodzina Bernarda była cokolwiek wyniosłą, prowadziła częściej dwór pański niżeli szlachecki, a nawet sam Bernard, choć w gruncie serca bardzo pokorny i skromny, już dla samego upadku swego w interesach nosił się trochę wysoko; a tymczasem pan Tobiasz był nieprzepartym prorokiem pokory i ubóstwa, panów unikał, a nawet wręcz ich nie lubił. Powtóre Bernard był obdłużonym, a pan Tobiasz o ludziach mających długi bardzo nieprzychylne wyrażał opinie. Nakoniec jeszcze Bernard był konfederatem, a pan Tobiasz i konfederatów nie lubił, a chociaż ich zapomagał, jednak zawsze o nich powiadał: — O Boże, Boże! krwi tyle wylali, tyle dobytków zniszczyli i pociągnęli rozbiór Polski za sobą! — Pan Tobiasz, z samej miłości dla ludzi, czasem sobie dziwaczył. Ale ztąd poszło, że oboje młodzi nie mieli dla siebie żadnej nadziei. I ko-

chali się bez nadziei; najpiękniejsza to miłość na świecie!

Tymczasem wieść o tych afektach rozeszła się już była pomiędzy sąsiady. I przyjeżdżali do Bernarda nieproszeni goście i nieproszone dawali mu rady: — Panie bracie! a na co ci tego? Wapnowscy, to szlachta, ale.... i to i owo. Ożenisz się, to się nie zapomóżesz, bo Wapnowski to skąpiec. A nie ożenisz się, co też jest bardzo podobnem, piękna rzecz będzie, dostać od panny Wapnowskiej rekuzę! — Bernard rozmyślał nad tem i prawie im słuszną przyznawał. Ale jeździł wciąż do Starodzień, bo nie mógł nie jeździć. A ci sami ludzie przyjeżdżali także do pana Tobiasza i mówili jemu: — Panie bracie! słyszeliśmy, że młody pan Grodowski tentuje o twoją córkę. Zaczny jest człowiek, trudno o nim co złego powiedzieć. Ale to pan, wielka w nim buta, a całe konfederacka fantazya; więc i dla twojej córki tam szczęścia nie będzie, i jeszcze twój grosz, zapracowany tak krwawo, przepłynie przez Grodowską pomiędzy ludzi. — Co Skarbnik o tych radach rozumiał, nie wiedzieć....

Ale Bernard o tych radach wiedział, bo coś sam z nich zasłyszał, a coś mu dopowiedziała Salusia. Więc rozpacz go obimała dwoista. Przez miłość zaniedbał się w gospodarstwie i już był

prawie pewnym zabójstwa, a zabiwszy się na fortunie, trudno się miał czego innego spodziewać, jak zabójstwa w miłości. Ale powiedział sobie: — Bogdajby mnie już zabito oburącz! — I jeździł wciąż do Starodzień, chociaż już tylko na płacz i na jęki. Tak siadywali zazwyczaj oboje, spowiadając się sobie z swych bólów, i oczekując lada dzień chwili, w której ich Skrabnik w swoje nielitościwe ręce pochwyci i jako grom lipę dwoistą na dwie części rozedrze. I bardzo już na to się zanosilo. Albowiem stary nigdy nie spuszczał ich z oka. Kiedy siedzieli w bawialnej komnacie, on prędkim krokiem przechadzał się po jadalnej; kiedy rozmawiali głośno, on biegał prędko i jakby się niecierpliwił; a jak tylko troszeczkę przycichli, on zaraz stawał i widocznie ich podsłuchiwał. Czasem wpadał do ich komnaty, stawał jak posąg na progu i patrzył na nich jak w tęczę; dziwny miał wyraz twarzy natenczas, a Bernardowi się zdało, jak gdyby mówił do niego: — Czego ty chcesz w moim domu? — Kiedyindziej przy kominie zasiadał, drewek na ognisko dorzucał i patrzył na nich z pod brwi krzaczystych jak Jowisz; a jak tylko łyzy w ich oczach obaczył albo usłyszał westchnienia, zaraz się zrywał i prędkim krokiem uciekał. Bernardowi się zdało, że wtedy i jemu już tylko uciekać. I dreszcz ich wtedy

przechodził oboje, i żegnali się zmarznięci jak lód, a Salusia mówiła: — Bądź zdrow, może już nigdy się nie obaczym.

Aż dnia jednego, siedzieli jak zwykle na kanapie oboje i głośno rozmawiali ze sobą, lecz smutno. Na to wszedł Skarbnik — a oni umilkli. On siadł przy kominie i milczał; i oni także milczeli, chociaż mieli sobie jeszcze tyle do powiedzenia. Z powodu tego przymusowego milczenia boleść ścisnęła serce Salusi, westchnęła ciężko i łzy jej potoczyły się po licach. Na to zerwał się Skarbnik; przyskoczył do nich — a oni oboje struchleli. On zaś tymczasem chwycił Bernarda za rękę i Salusię za rękę, i podał je sobie nawzajem; zaczęł położyć obydwie ręce na ich obydwie głowy i jakby je popchnął ku sobie, ale prędko je odjął i zasłonił twarz swoją, bo mu się łzy rzuciły do oczu. Na taki niespodziewany zwrot rzeczy Salusia ryknęła płaczem, a Bernard szlochał głośno jak dziecko, i wtem oboje rzucili się ojcu do kolan. A ojciec stał nad nimi i mówił przez łzy:

— Cicho dzieci, cichutko! żeby źli ludzie nie usłyszeli, że tyle jest szczęścia pomiędzy nami. —

Poczem wybiegł, prędko z komnaty. Ale niebawem powrócił i przyniósł ze sobą worek skórzany tak ciężki, że ledwie go mógł udźwignąć, a przy

nim jakiś papier złożony we czworo. Położył to oboje na stole, otworzył papier, pokazał Bernardowi skrypt jego ojca, razem z workiem posunął ku niemu i rzekł:

— Weź to, weź, i popłać długi, a staraj się prędko urządzić, bo szkoda czasu. —

Bernard sam nie wiedział, jak miał dziękować.

— A kiedyż ślub? — zapytał Skarbnik.

— Choćby i jutro, — rzekł Bernard.

— Jutro nie, — powiedział pan Tobiasz, — ale jak można najprędzej, żeby nam nie przeszkodzili źli ludzie. — Staruszek już wtedy często wspominał złych ludzi, musieli mu nieraz do żywego dokuczyć. Było też ich w samej rzeczy coraz więcej na świecie....

Takim postępkami Skarbnik odbudował Bernarda materyalnie, uszczęśliwił jego, dziecko swoje i siebie, a nad to wszystko sporządził sobie w swym zięciu wiernego przyjaciela na wieki. Dlaczegoż dziś ludzie nie postępują tak samo? — Żyjąc w wielkiej złądinną niedoli i znosząc cierpień bez końca od wrogów, taką szczerością, prostotą serca i wzajemną pomocą przynieśli-by sobie niezmiernie wiele osłody. Dlaczegoż się coraz bardziej oddalają od siebie, stają się sobie coraz więcej obcymi, patrzą na siebie z pod oka, wywyższają się jedni nad drugich, przysiadają się

wzajem, a nim kto od swego brata doświadczy jakiegokolwiek pomocy, kością w gardle mu stanie to dobrodziejstwo! — Przypatrując się temu zdaleka, człowiek prostego serca nie może wyjść z zadziwienia, straszliwa obejmuje go groza, upada na kolana przed Bogiem i mówi: — O Panie! miej zlitowanie nad nimi, oni już zaprawdę nie wiedzą, co czynią.

Ślub Bernarda i Skarbnikówny odbył się na św. Katarzynę, bez wielkiego hałasu, lecz po staremu z dość licznym łaskawych gości napływem. Po ślubie ci sami sąsiedzi, którzy niedawno usiłowali to małżeństwo rozerwać, cieszyli się teraz, że doszło. I życzyli szczęścia teściowi i państwu młodym i mówili: — Będziecie bardzo szczęśliwi, boście też bardzo poczcivi. — Czy mówili to ze szczerości, czyli z obłudy, Bogu tylko wiadomo.

Ale państwo młodzi byli istotnie bardzo szczęśliwi. Dostawszy posag tak hojny i dany z szczerego serca, Bernard stanął od razu na nogach. Pospłacał wszystkie długi co większe i co naglejsze, i jeszcze mu został grosz jakiś pod ręką do gospodarstwa niezbędnie potrzebny. Bernard umiał tego grosza użyć roztropnie, pomimo swobodnego oddechu nie zaniedbał się w pracy, a nadto jeszcze ukochana Salusia dopomagała mu dzielnie w utrzymywaniu tego wszystkiego, co on

nagromadzał. Tak pracowali oboje, a Pan Bóg błogosławił ich pracy. W niedługim czasie wypłaciła mu się jego żoneczka wdzięcznie za jego miłość i skrzętność, i przyniosła mu synka, a potem jedną córeczkę i drugą. Dawał Pan Bóg dzieci, dawał też i na dzieci. Bernard zaczął pomалу robić fortunę. Łatwo się wtedy przychodziło do tego, prawie niechcący. Czasy o wiele się pod tym względem polepszyły; otworzyły się jakiekolwiek drogi handlowne do Niemiec, gorzałka i tuczne woły zaczęły dobrze popłacać, pszczołka i szkapka przynosiły grosz piękny, a czasem przypływały nawet czerwone złote za zboże; bo jak dziś tak i wtedy częste we Francyi, w Niemczech i Anglii bywały głody, a Ameryka nie umiała ich jeszcze zasycić. Kto tedy miał jakąkolwiek wieś niezłą, nie zaniedbywał się w pracy, a żył wedle swego stanu, temu sama ze siebie się pomnażała fortuna. Bernard żył sobie pocziwie, prowadził dom dosyć otwarty, zasilił w potrzebie sąsiada, nie pożałował nawet obcemu; ale też za to tem pilniej pracował, a kredkę miewał zawsze w kieszeni. Tak założył bytowi swemu stateczny fundament; a jak tylko to było zrobione, już potem nie wiedzieć skąd brały się rokrocznie nowe skórzane wory w żelaznej skrzyni. Jakoż w lat dziesięć był już bogatym — a w lat kilkanaście zaczął już roz-

myślać o swoim bogactwie może cokolwiek więcej, niż trzeba. Człowiek niestety! jest słabym — a Bernard był najpospolitszym pod owe czasy człowiekiem. Jego nieboszczyk ojciec był jeszcze po staremu z jednej sztuki wylany, ale on już po trochę łatany, jako czas ze sobą przynosił. Jakoż nieraz, w czasach tych wielkich powodzeń, dziwne przychodziły mu myśli. Raz chciał jakieś wielkie dobra kupować, zamki budować, znaczenie swego imienia podnosić; drugi raz chciał się do Warszawy na mieszkanie wynosić, pałac tam zakupywać, bawić się, hulać; taka zabawna była wtedy Warszawa, a tak smutno w Małej-Polsce i na Rusi czerwonej! Kiedyindziej znowu roіło mu się jechać do Wiednia, w tej stolicy zamieszkać, naprawić, co ojciec zepsuł, odrzucony tytuł odzyskać lub okryć się jakimkolwiek splendorem. I Bóg sam wie tylko, jakie-by był popełnił waryactwo.... ale jeszcze to wtedy nie tak łatwo było o waryactwa, jak dzisiaj. Bernard przetrawił swą młodość rozsądnie i zacie, a tak strawiona młodość jest silnym przeciwko wszelkiemu obłąkaniu puklerzem; oprócz tego miał przy sobie anioła-stróża, kobietę, pełną rozsądku i serca, a to jest puklerz jeszcze daleko silniejszy. Wskutek tego skończyło się na tem, iż Bernard za część zbytecznych pie-

niędzy dwie wsie zakupił, jedną na posag dla jednej córki, a drugą dla drugiej; ze swoich zaś niedorzecznych projektów tylko ten jeden wykonał, iż swego syna, któremu na chrzcie dano nowożytnie imię Seweryna, wychowawszy go w domu pośród Francuzów i Niemców, z początkiem czteroletniego sejmku zawiózł do Warszawy na wychowanie. Nie było to ani bardzo roztropnie, ani dla dziecka korzystnie, zwłaszcza że go nie oddał do szkoły kadetów, tylko na pensyę prywatną, ale było to zawsze lepiej, niżeli gdyby go był zawiózł do Wiednia.

Tymczasem z tego wywineły się ważne wypadki. Albowiem Bernard, mając tam syna, jeździł do Warszawy po dwa razy do roku, a tym sposobem nie tylko że się oderwał od swoich nie zawsze rozsądnych pomysłów, ale nadto związał się nanowo rozumem i sercem z sprawami Polski. Sejm czteroletni obudził w nim bardzo żywe zajęcie, i niewiele już wtedy trzeba mu było, aby się był całkiem tutaj wyprzedał, a przeniósł za Wisłę; kiedy zaś przyszło do postanowienia konstytucyi, którą później ogłoszono w dniu trzecim maja, dawny konfederacki pułkownik uniósł się dla Stanisława Augusta tak krewkiem uczuciem wdzięczności, iż mu oddał w usługi swojego syna.

Jakoż dnia 10. kwietnia r. p. 1791 przypuszczony jest do pocałowania ręki królewskiej, a syn jego Seweryn przyjęty jako paź do antykamery. —

Niezmiernie zadowolony powrócił Bernard do domu i odtąd nie żył już niczem innem, jak tylko Warszawą. Gospodarstwo, pieniądze, dostatki, tytuły, splendory, znaczenia, wszystko to poszło w ką, jako u Polaka być zwykło, kiedy tego wymaga ojczyzna. Powstanie konfederacyi Targowickiej ciężkim napełniło go smutkiem, a kiedy niebawem potem wojna wybuchła, wielka powstała w nim niecierpliwość. Odezwała się w nim żyłka konfederacka, chciał-by był iść, rekonfederować się po staremu i bić się. Wstrzymał się jednak, bo miał lat pięćdziesiąt, włosy już siwe, żonę i dzieci, a Polska miała armią dość liczną i nie było widać niebezpieczeństwa. Ale kiedy po wojnie zaczęto armią rozpuszczać; kiedy Madaliński, acz umieszczony na rejestrze *cessandorum*, broni nie złożył i poszedł w załębki z Prusakiem; kiedy nareszcie przerznął się ku Krakowu i do Krakowa zbiegało się wszystko, co żyło: toż i on rzucił się swojej żonie do kolan, ryknął płaczem jak dziecko, ale rzekł mężnie:

— Kocham ciebie Salusiu więcej, niż siebie samego.... ale ~~jest~~ jest ktoś, kogom powinien jeszcze więcej kochać od nas obojga. Zaczem bądź zdro-

wa i niechaj cię Bóg ma w swojej świętej opiece.

Z odwagą i siłą staropolskiej matrony zniosła pułkownikowa to postanowienie swojego męża, i położywszy obydwie ręce na jego głowie, dała mu swoje błogosławieństwo. I Bernard poszedł i bił się; chociaż miał lat pięćdziesiąt, i włosy siwe i żonę kochaną i dzieci....

OD ROKU 1794.

Seweryn wychował się w antykameryzy królewskiej. Licha-to była szkoła — a przynajmniej liche z niej wyniósł korzyści. Wprawdzie się tam niepomалу ogłądził, nabrał form zgrabnych i wielkoświatowych, wyćwiczył się w językach francuskim i włoskim, pojęcia swoje bardzo rozszerzył a nawet dowcip sobie wyrobił, który na dworze królewskim był w modzie; ale wszystko to nie rodziło w nim takich owoców, jakich każdyby szukał napewno w synie Bernarda. Fatalne już poczynwały się czasy; ludzie zaczęli się psować, więcej narabiać głową niż sercem, hołdować rozmaitym opiniom publicznym, a w skutek tego oświata i dowcip nie zawsze już były rękojmią obywatelskiej zacności i miłości ojczyzny. Tak także Seweryn. Acz wiotkie jeszcze pachole, miał już swe zdanie i rezonował o wszystkim; miał nawet swą wolę i zdawał się kroić na samo-

dzielny charakter; ale jak zdania jego nie zawsze były zgodne z rozsądkiem, tak i Bóg wiedział jeszcze, jaki-to miał się z niego wyrobić charakter. Kiedy w roku 1791 król się oświadczył za narodem, on trzymał także z narodem; kiedy konfederacya Targowicka wybuchła, on przeciw niej rezonował; lecz kiedy król do tej konfederacyi przystąpił, on króla usprawiedliwiał. Z wybuchem zaś insurrekcyi w Krakowie sam nie wiedział co myśleć; ale mu się daleko więcej podobał awanturniczny Madaliński, niżeli spokojny Kościuszko. Kiedy pod koniec kwietnia powstała Warszawa i poczęły się wojny uliczne i mordy, on im się tylko przypatrywał ciekawie; lecz kiedy w maju lud się oburzył i zaczął sprawiedliwość wyrządzać krzywdom narodu, on się wzburzył przeciw ludowi i bił na lud, na Kościuszkę i na xiędza Hugona, choć ten ostatni był uproszony przez jego ojca na opiekuna dla niego. Dnia 10. maja w południe, kiedy wieszać zaczęto, Sewerynek był pierwszy koło ratusza na Starem Mieście i docisnął się z swoim kolegą jak najbliżej szubienic....

Wyprowadzono pierwszego Ankwicza. Okazały ten mąż, ubrany tylko w zielony kaftanik, tak jak siedział w więzieniu, wyszedł z zadziwiającą powagą i przytomnością pod szubienicę i z taką samą powagą wylazł na drabinę. Chciał

ztamtąd mieć mowę do ludu, a nawet ją już rozpoczął. Ale lud zagłuszył go wrzaskiem: — Śmierć zdrajcom ojczyzny! na hak z nim, na hak! — Natenczas Ankwicz dobył złotej tabakiery z kieszeni, zażył z niej z krwią najzimniejszą tabaki, zaczęł ją oddać mistrzowi i rzekł: — „Weź Asan na pamiątkę odemnie — a nie męcz mnie długo.“ Jakoż zaraz sam sobie założył stryczek na szyję — i za chwilę już nie żył. Widząc to Sewerynek, trącił łokciem swego koleżkę i rzekł: — Podobą mi się. Gdyby mnie wieszano, i ja bym tak zginął.

Niebawem wyprowadzono Zabiełłę; ale ten był już w drodze półmartwy. Powieszono go jak chustę na płocie. A Sewerynek rzekł: — K.... pan Zabiełło, nie wart i szubienicy. — Zaczem szli oba ku Bernardynom, bo i tam także wieszano....

Niebawem potem dostała mu się misya dość ważna. Oto Michał Poniatowski, brat Króla a xiążę Prymas Królestwa, żyjąc od tego czasu w ustawicznym strachu, a chcąc ratować i Króla i siebie, wdał się był z Prusakami w konszachty i wyprawił do nich listy z zawiadomieniem, któredy mają na Warszawę uderzyć. Przypadkowym sposobem przejęły te listy placówki polskie, i zaraz rozniosła się wiadomość o tem po całej Warszawie. Lud zburzył się nanowo, zgromadził się pod oknami

xięcia Prymasa i zaczął kopać dół na szubienicę. Z wiadomością o tem wpadł do króla Kościuszko. Seweryn był dnia tego na służbie i sam drzwi otwierał Panu Naczelnikowi. Stanął też pode drzwiami, aby coś słyszeć. Ale słyszał tylko słowa urywane. Naczelnik mówił: — „Najjaśniejszy Panie! nie masz już dla niego żadnego ratunku.“ — „Przez Pana Boga żywego!“ — zawołał Król Jegomość z przestraczem, uderzył w ręce i mówił coś dalej, ale tego trudno było dosłyszeć. W tej chwili zaszleściła jedwabna roba Pani Grabowskiej, szelest tak znany wszystkim szambelanom i paziom, że niepodobna się było na nim omylić. Pani Grabowska coś mówiła, Król mówił, i Kościuszko coś mówił, lecz krótko i zaraz wyszedł. W gabinecie trwała jeszcze przez parę minut narada; ale za chwilę sam Król Jegomość drzwi otworzył z impetem i spytał: — „A kto jest na służbie?“ — Poczem patrzył po twarzach wszystkich. a zlustrowawszy ich, rzekł: — „Sewerynie! chodź tu.“ — Seweryn wszedł do gabinetu i zastał tam panią Grabowską i xięcia Podkomorzego, ale oboje milczeli. Tymczasem Król, własnoręcznie napisawszy karteczkę i dołożywszy do niej jakieś małe pudełeczko, zapieczętował to razem i oddał Sewerynowi: — „Pobiegnij z tem do xięcia Prymasa i oddaj to samemu do ręki.

Zaczekasz i respons przyniesiesz. Nie zatrzymywać się nigdzie po drodze i iść, jakby na przechadzkę. Sprawivszy się dobrze, otrzymasz sowitą nagrodę.“ — Seweryn pobiegł, a chociaż dobrze wiedział, z czym idzie, szedł najspokojniej. Przed prymasowskim pałacem zastał wrzący tłum ludu, ale się zręcznie przezeń przecisnął. W antykamerze była zebrana cała prymasowska liberya; twarze powystraszane okrutnie; myśleli pewnie, że kiedy prymasa powieszą, to i im się dostanie. Xiążę Prymas zdał się być sam; stał na środku komnaty i patrzył zdaleka przez okno, z kąd go dochodziło szemranie zgromadzonego ludu, jakby pszczoł w ulu. Słyszając skrzypnięcie drzwi, odwrócił się raźnie, a obaczywszy pazia, rzekł jeszcze rażniej: — „Od Króla? i cóż tam?“ — Seweryn oddał pakiecik, a w tém wyszedł z drugiej komnaty prymasowski spowiednik, x. Meyer, który czy-to przez zapomnienie, czy nie mając jeszcze dość czasu do rozebrania się po spowiedzi, miał komżę i stułę na sobie. Tymczasem xiążę Prymas odczytał karteczkę, poczem strzepnął z niej piasek złocisty i jeszcze raz ją odczytał — i stał przez oka mgnienie w zamyśleniu. Lecz prędko potem przystąpił do stołu, położył na nim tabakierę, wsypał do niej z owego pudełka proszek, zamknął ją, zamieszał i zażył silnie po dwakroć tak, że

Seweryn to widział. x. Meyer załamał ręce i tak skamieniał na miejscu. Zaczem xiążę Prymas siadł w krześle wygodnem i rzekł do Seweryna: — „Widziałeś?” — „Widziałem.” — „Idź-że do antykamery i zaczekaj, a za chwilę będziesz miał respons.” — Seweryn wyszedł. — I czekał w pierwszej antykamerze przez kwadrans, albo może i dłużej. Przez ten czas przybiegało po kilku posłów od Króla, ale żadnego nie wpuszczono; bo x. Meyer wybiegł był zaraz za Sewerynem i nie kazał wpuszczać nikogo. Tylko panią Grabowską wpuszczono. Prawie w też pędy za nią przybiegł x. Hugo. Nie chciano go wpuścić, ale poroztrącał służbę i przebiegł pierwszą antykamerę; obaczywszy w drugiej Seweryna, zatrzymał się przed nim. — „A co Wasze tu robisz?” — „Z listem od króla.” — „To ciebie wysłano?” — zawołał x. Podkanclerzy, — „zaczekaj tu na mnie”; — i wbiegł do komnaty. Tak znowu minął jaki kwadrans lub więcej. Poczem x. Hugo otworzył drzwi i rzekł do Seweryna: — „A proszę.” — Seweryn wszedł, a x. Podkanclerzy zatrzymał go przy pierwszych drzwiach i wskazawszy mu ręką na xięcia Prymasa, rzekł silnym szeptem: — „Patrz! tak umierają zdrajcy ojczyzny.” — Seweryn spojrzał w miejsce wskazane — a tam w temże samem krześle poręczowem siedział jeszcze zawsze xiążę

Prymas, ale nogi miał wyciągnięte przed siebie, głowę zwieszoną na piersi, a twarz opuchłą tak mocno, jak gdyby miała pęknąć za chwilę. Seweryn milczał — a x. Hugo przypatrywał mu się przez oka mgnienie. Zaczem go znowu ujął za rękę i poprowadził do dalszych komnat. W komnatach tych okna już były pootwierane, na znak, że trup jest w mieszkaniu; ale lud na to nie zważał, pracując z podwójnemi siłami nad postawieniem szubienicy. Tymczasem x. Hugo stanął naprzeciw Seweryna i rzekł: — Mam listy od ojca. — Od ojca? — zawołał żywo Seweryn, — jakże im się tam w Grodowiskach powodzi? — Ojciec Waćpana, — rzecze na to x. Podkanclerzy, — nie jest w Grodowiskach, tylko tam, gdzie każdego zacnego obywatela obowiązek dziś woła. Ojciec Waćpana jest w polu i bije się z nieprzyjaciołmi ojczyzny. — Mój ojciec się bije? — zawołał Seweryn i zamyślił się nad tem. — A Waćpana ręka jeszcze za słaba? — zapytał x. Hugo. — Ręka u mnie nie jest za słaba, odpowiedział Seweryn, a opuszczając oczy ku ziemi, dodał: — ale ja jestem w służbie królewskiej. — A na to x. Podkanclerzy ze smutkiem: — Daj Boże! aby w tej służbie było coś jeszcze z Waćpana; ale wątpię. — Milczał przez chwilę, patrząc na niego, a potem dodał: — A może masz słuszość,

że się nie sposobisz do żadnej służby. Może już niedalekie te czasy, kiedy żadnej służby nie będzie potrzeba — a wtedy będziesz mógł żyć sobie spokojnie i przeżyć całe życie bydlęciem. — Na te słowa krew uderzyła Sewerynowi do twarzy i chciał coś mówić; ale w tem dał się jakiś nowy szmer słyszeć w pierwszej komnacie, więc zamilkł i wyszedł. A kiedy wychodził, spotkał Króla, który przyszedł odwiedzić swojego brata po śmierci...

Wiadomość o ojcu, który pomimo lat pięćdziesięciu bił się dla miłości ojczyzny, a nareszcie tych kilka słów x. Hugona, sprawiły silne wrażenie na Sewerynie. Przez kilka dni bardzo był niespokojnym i chwiał się. Jakoż gdyby był wtedy miał tylko trochę więcej ufności w x. Hugonie, byłby może wstąpił na inną drogę. Ale on niestety! wszędzie chciał mieć swoje zdanie, choć jako żak nie rozumiał niczego, a ztąd nie miał do nikogo ani ufności, ani miłości. Szukając tedy poza ojczyzną a tylko w sobie samym, w swoim własnym a już bardzo zepsutym człowieku, pociechy, znalazł ją łatwo, ale ją znalazł najgorszą. Uspokoił się bowiem prędko i pozostał przy swoim paziostwie, niechaj się dzieje co chce. Seweryn był już wtedy na bardzo złej drodze....

Wszakże w pół roku potem ten wielki dramat się skończył. — Polska upadła — wojska się

rozprószyły — Król wyjechał do Grodna, a jego dwór się także rozprószył. Seweryn błąkał się jeszcze jakiś czas po Warszawie, nie umiejąc podzielić ani uciechy wrogów, ani rozpaczy rodaków. Był jakby obcym pośród własnego narodu. Uczuł się wreszcie obcym, zabrał się całkiem i do Grodowisk wyjechał. —

W Grodowiskach zastał już ojca, ale jakimże-to go zastał! Poczciwy ten człowiek ledwie był do poznania. Zestarzał się o jakie lat dzieśnięć lub więcej, — nie cielesnie, bo zawsze jednakowo wyglądał, ale moralnie. Umysł jego jeszcze zdawał się być dość trzeźwym, ale fantazya całkiem złamana; boleść ją tak złamała. A boleść to była wielka, olbrzymia, największa, jaka być może na świecie; ledwie raz w kilkanaście wieków spuszcza Bóg taką boleść na ludzi. Nie dziw, że pod nią upadają — nieszczęśni! Ale błogosławieni są ci, którzy taką boleść uczują. I błogosławieni ci, którzy pod nią upadną. Anielskie-to serca! Utracą wszystko na ziemi i utopiają się w łzach; ale podniosą się duchem wysoko, miłościwymi sercami swemi tron Boży podeprą i ztamtąd jako gwiazdy pierwszego rzędu na wieki wieków przyświecać będą swym wnukom....

O! biedny Bernard! jakże on się teraz odmienił! Już o wszystkim zapomniał, co należało

do ziemi. Jego konie wyniosłe, jego owce wełniste, gorzelnie, browary, skrzynie pełne pieniędzy, łąny kołyszące się pszenicą i żytem — wszystko-to nie zwracało nawet jego uwagi na siebie. Najwykwintniejsze nie smakowały mu potrawy, najśłodsze go nie nęciły napoje. On był wciąż w zamysleniu, jego twarz była jak gdyby kirem okryta, a jego oczy zdawały się być wywrócone na wewnątrz. Tak wstawał rano i zaraz szedł do kościółka, gdzie teraz codziennie msza święta się odprawiała dla niego. Tam, przed obrazem Chrystusa Pana upadającego pod krzyżem, przy grobach swoich pradziadów modlił się cały poranek. Powracał potem i siadał na osobności w krzeselku, zanurzał się w myślach aż do bezprzytomności i nieraz tak całe trawił godziny. Czasem w dzień piękny wychodził w ganek, opierał się o kolumnę i zatapiał swój wzrok w dalekim widoku kraju, gdzie długiem pasmem zieleniły się łąki, złote kołysały się niwy, brzegami bujne snuły się lasy, a w dali widać było jakąś rzekę niebieską; a za nią jeszcze daleko piękniejsze krainy, kołyszące się jak wyspy cudowne w mgłach niebieskawych.... Wszystko to była Polska, rozszarpana teraz w kawałki, obcymi przygnieciona zagony; a najwierniejsze jej dzieci, jedno w grobach polowych, drugie w nędzy i bólu, a trzecie po całym świecie

w rosypce.... Bernard patrzył w ten kraj, taki piękny, taki uroczy — tak nieszczęśliwy! I zwolna oddech zaczął mu się ścisnąć w piersiach, ciemno robiło się w głowie, a dwie łzy stawały w jego błękitnych źrenicach, dwie łzy tak wielkie, jak dwie perły uryańskie. Widzieć było tego starego żołnierza, tego barczystego olbrzyma, ze łzami w oczach, i nie zapłakać, trzeba było być chyba kamieniem....

Tak go widywała jego ukochana małżonka i szanując jego łzy, które stały za najrzewniejszą modlitwę, nigdy mu w niej nie przeszkadzała. Ale dopóty stała opodal od niego, dopóki on sam jej nie spostrzegł. A wtedy podawała mu rękę i prowadziła go zwykle do dzieci. Biedna kobieta! sądziła go podług siebie i zawsze myślała, że kiedy go nic rozweselić nie zdoła, to go dzieci pocieszą. Ale jego nie cieszyły nawet i dzieci..... Najmniej zaś mógł go pocieszyć syn jego. Z początku nic; z początku myślał nieszczęsny ojciec, że niedaleko odleciało jabłko od jabłoni, i tylko z żalem się zbliżał do niego i mówił:

— Biedne dzieciątko! w jakież-to czasy wypadło twoje życie! Będziesz zbierał bogate plony, a nic nie uzbierasz; będziesz pożywał chleb pracy twojej, a przez łzy go nie przełkniesz; będziesz żył długie lata, a umrzesz, jak gdybyś tylko prześnił

to życie w boleściach płaczu. — I płakał nad nim. I sam byłby w nim może nic innego nie ujrzał, jak tylko dziecko swe własne, kochane lecz nieszczęśliwe. Ale baczniejsza od niego, przejrzała go matka. I obaczyła w nim monstrum, małeńkie wprawdzie, ale pod wielu względami dość brzydkie. W samej istocie usposobienie ówczesne Seweryna było to coś monstrualnego. Libertyn i niedowiarek, jakich jeszcze w Polsce dotychczas nie było, drwiący filozof, epikurejczyk, był przytem napojony zasadami arystokracji, tej arystokracji najlichszej, która się zasadza na pogardzie dla niższych a na lokajstwie dla wyższych. Takim zdawał się być zwyczajnie. Lecz przytem całkiem niespodziewanie wyskakiwały czasem z niego jakieś demagogiczne zasady, zrównania ludzi, powrotu do stanu natury, rzeczypospolite europejskie, amerykańskie i Bóg nie wie jakie. To co do teorii; ale w praktyce, smacznie jeść, słodko zapijać, ubierać się strojnie i wielbić piękne kobiety, to była jego zasada. Zgoła była to beczka pełna, lecz pełna śmiecia....

Wyrozumiawszy go matka, niezmiernie się nim zmartwiła. Takiegoż-to na świat wydała syna? tak go-to przystrojono na dworze królewskim? — Lecz jako matka, chociaż na własne oczy widziała, przecież nie mogła temu uwierzyć, ażeby jej

dziecko w niewielu latach tak przerobiono; ażeby w niem nic nie zostało z tych wszystkich uczuć szlachetnych i pięknych, któremi go napoiła: ani miłość ojczyzny, ani cześć dla rodziców, ani nawet pamiątka dziecięcego pacierza? — Jakoż zaczęła pilnie grzebać w tej beczce. Z początku długo wygrzebywała tylko śmiecie; lecz przecież wkońcu, na samem dnie, dogrzebała się, nie uczucia, nie serca, ale przynajmniej jakichś dalekich wspomnień z czasów dzieciństwa, jakiejs pewnej tkliwości, która się wprawdzie objawiła w formie dość zimnej a nawet ckiej, w formie takiej samej, jaką zaprowadzili nasi poeci klasyczni, ale która przecież w gruncie rzeczy była uczuciem cerca. Zrobiwszy ten wynalazek, stroskana matka odetchnęła cokolwiek. Zaczęła mieć przecież jakąś o nim nadzieję; i zaczęła powoli w nim rozdmuchiwać tę tkliwość. Ale napróżno; całkiem napróżno, bo stało temu na przeszkodzie znów inne uczucie, uczucie czyli zasada, sam nie wiem, i nie umiem mu nawet dać stosownego nazwiska. Ażeby go przecież jakokolwiek przedstawić, powiem, że była w Sewerynie tak zwana owego czasu tężyzna. Tężyzną nazywali się czasu Stanisława Augusta i xięcia Józefa młodzi kawalerowie, którzy sobie podali ręce na to, ażeby być zawsze walecznym, odważnym, śmia-

łym, nieskazitelnym w sprawach honorowych; ażeby być każdej chwili determinowanym na wszystko, co jest szlachetne, i nigdy nie dbać o życie. Słowem, była to idea dawnego rycerstwa, nowszej szwaleryi i najnowszego szlachectwa. Idea ta liczyła bardzo wielu wyznawców w Warszawie — i nieraz cudów dokazywali ci ludzie. Wprawdzie pod niektórymi względami, jak np. co do wielbicielstwa dla dam, co do gry w karty i kości, co do wybierania furazów po stacyach, nie mieli oni zasad zbyt surowych — i wiele rzeczy uchodziło tężyznie, na które żadną miarą nie pozwala katechizm; ale zawsze ich grunt był dobry, szlachetny i piękny, i lubo czasami się poślakali, jednakże zawsze dochodzili do celów szlachetnych. Seweryn był tej idei jak najgorliwszym wyznawcą. Zawsze czysto, szlachetnie, odważnie, naprzód a śmiało, bo liche to życie nie warte i torby sieczki: to była jego ogólna zasada. A to była zaprawdę bardzo cenna perła w tej beczce śmiecia.

Pomału, zwolna, przez rozmowę, przez obserwacye, dojrzała ją matka, i znacznie się tem uspokoiła. Udzieliła nareszcie swoich spostrzeżeń mężowi, i pracując sama nad synem, nakłoniła także i jego do pracy. Ale jeżeli matka nie potrafiła w nim obudzić uczuć rodzinnych i religijnych,

z których chciała dla niego urobić puklerz przeciwno złemu choćby tylko cokolwiek pewniejszy, niżeli nim była tężyzna, to tem mniej jeszcze potrafił to smutny, posępny, zbolały a przytem teraz po zakonnemu surowy Bernard. On wprawdzie często się zwracał do syna i długie mu prawił kazania, ale zawsze mówił tylko w ten sens:

— „Teraz już wszystko przepadło — i nie masz dla nas żadnego ze zwykłych sposobów ratunku. Jeden już tylko jest dla nas ratunek — a ten jest w nas samych. Pokora i miłość: oto dwa miecze ogniste, które jedynie mogą zgnieść naszą niewolę. Pokora przed Bogiem i ciągła modlitwa, ażebyśmy się coraz wyżej i wyżej podnosili na duchu i oczyścili jak złoto w płomieniach. A praca i miłość braterska pomiędzy sobą. Pracować krwawo, ażeby ani pędzi ziemi nie wypuścić z pod siebie; zawsze sobie ręce podawać w pracy; kochać się wzajem i w miłości tak opleść gęsto tę ziemię, ażeby się żaden płaz nie prześliznął: oto jedyny dla nas ratunek. Niechaj odtąd nie będzie pomiędzy nami ani chłopów, ani panów — a wszyscy jak mnichy w jednym zakonie. Niechaj nie będzie wyniosłości i dumy, zazdrości i nienawiści, lekkomyślności i próżnowania. Niechaj nie będzie uśmiechu na żadnej twarzy, ani dźwięku

lutni pod strzechą, ani płasów w gospodzie. Niechaj każdy grubą obłoczy siermięgę, niechaj pożywa chleb rżany i wodę pije, a co mu od gęby zostanie, niechaj schowa dla brata. Niechaj dzieci będą jako mężowie, a mężowie jak starcy, a niewiasty jak święte. A wtedy wszyscy staniemy się jako święci, — i podniesiem się wysoko nad wszystkie narody, — i Bóg się ulituje nad nami, — i więzy same z nas spadną.....“

Piękne, poważne i bez wątpienia skuteczne to były myśli, — ale Sewerynowi jak najmniej przypadały do smaku. Ani on ich rozumiał, ani bez długich i pracowitych przygotowań mógł je zrozumieć. Do tego jeszcze ojciec zbyt mało nim się zajmował. On był tylko swojemi czarnemi myślami zajęty; a myśli te stawały się jeszcze coraz czarniejszemi. Dotychczas modlił się tylko po parę godzin na dzień, a raz na miesiąc szedł do spowiedzi; lecz odtąd zazwyczaj przez większą połowę dnia bawił w kościółku, a spowiadał się po dwa razy na tydzień. Zaczął przytem pomалу wprowadzać w życie swoje teraźniejsze zasady. Zrzucił ze siebie kontusz i żupan, i pas złotolity, i wszelkie świecidła; a oblókł się w grubą siermięgę i opasał się pasem skórzanym. Jadał tylko potrawy mączne i jarzyny, i wodą się chłodził. Gości nadzwyczaj mało przyjmował u siebie; kogo

przyjął, był dla niego uprzejmym; ale zazwyczaj go nie dopuścił do słowa, sam mówiąc długo i nadzwyczaj surowo. „Na kolana przed Bogiem, głowy popiołem, pokuta! pokuta!“ — to był jego temat wieczysty. Ale kochał przytem każdego, całował z serca jak własne dziecko, płakał nad każdym smutkiem bliźniego, i wszystkich potrzebnych hojną ręką wspomagał. — „Kochajmy się“, — mówił, — „ratujmy się, wspomagajmy się wzajem, oh! bo nam teraz już nikt nie pomoże! Biedniśmy teraz, ubodzy, nędzni, wszyscy żebracy!“ — Gospodarstwem się wcale już nie zajmował, zdawał to na swą żonę; lecz za to zajmował się całym swym ludem. Bardzo często się przejeżdżał po swoich wioskach, czasem przechadzał się piechotą po chatach, a gdzie tylko widział głód, nędzę, niedolę, czynnie ją zapomagał. Jego spichrz był teraz ciągle dla głodnych otwartym, i nie zamkniętą była szkatuła. Założył przytem szkółkę dla wiejskich dzieci, nagradzał tych, którzy ją zapełniali, sam pilnował nauki, a czasem nawet sam uczył. Muzyki, tańców, hulanki jak najsurowiej zakazał; kiedy mu doniesiono, że skrzypice grają w gospodzie, kazał grajków hajdukami rozpedzać; a natomiast zgromadzał dziatwę wiejską na cmentarz, siadał w ich kole na grobie i dawał im nauki: — „Uczcie się dzieci, bądźź-

cie cnotliwi, kochajcie tę ziemię, ten język, tę wiarę; w was cała nadzieja przyszłości.“ — Jak rozpaczliwie za Stanisława Augusta wziął się cały naród do oświecania siebie, tak rozpaczliwie zabrał się Bernard do oświecania ludu i z wielką energią prowadził to dzieło. Sąsiedzi przypatrywali się temu, i jedni mówili: — Za późno! — a drudzy: — Pan Bernard bredzi. — Ale ani to było późno, bo lepiej późno, niż nigdy; ani też Bernard bredził, bo miał pod tym względem bardzo jasne widzenie. Gdyby się byli wtedy wszyscy z taką żarliwością wzięli do tego dzieła, co wszakże nie było możliwem, bo niepozwolonem: gdzież-byśmy dzisiaj już byli! — Ale wtedy to nie było podobnem, a potem inne pokolenie nadeszło, jak to obaczymy poniżej.... Jakoż i Bernard żadnych nie osiągnął skutków na tej drodze, bo nie miał już siły po temu. Starzał się coraz bardziej, prędko i nagle. Pod zbyt ciężarem bólu gięła się jego dusza, rozpręgały się wszystkie siły moralne. Ze łzami w oczach patrzyła żona na niego, bo była pewną, że ten jego żywot świątobliwy nie potrwa już długo. Jakoż istotnie dnia jednego poszedł on do kościółka i do samego południa nie wrócił. Posłano za nim wiernego sługę, lecz ten wystraszony nad podziw, nic nie umiał powiedzieć. Pobiegła pułkownikowa sama i

znalazła Bernarda w podziemiach kościelnych, leżącego krzyżem na kamiennej posadzce, z głową opartą o postument marmurowego nagrobku swojego ojca. Pociągnęła go za siermięgę — nie ruszył się. Odwróciła go twarzą do góry — zimny był jak ten głaz, przy którym się modlił, a na jego twarzy widać było łyzy świeżo zakrzepłe. Ostatnie łyzy, uronione nad niedolą tej ziemi!

Natenczas jeszcze umierali ludzie z boleści....

Od roku 1796.

Jakkolwiek Seweryn nie posiadał zbytku uczucia, bo mu je przytłumiło życie u dworu i ironia filozofii XVIII wieku, jednakże przypatrując się przez półtora roku swojemu ojcu, który pod koniec życia był tylko samem uczuciem, uczuł w swem sercu, a nawet w swoim umyśle niejedno przeobrażenie. Głównie zaś działała na niego ojcowska miłość ojczyzny. Takich ludzi Seweryn nie znał zupełnie, nigdy ich nawet nie widział, a jeżeli widział, to ich zupełnie inaczej pojmował. Pod miłością ojczyzny rozumiał on dotąd tylko przywiązanie do pewnych urządzeń społecznych i stosunków politycznych. Tak np. Czartoryscy kochali ojczyznę urządzoną arystokratycznie, oświeconą jak tylko można najwyżej, rozumną i świetną, lecz liberalną pomiernie a powiazaną sojuszem z Rosyą; — Targowiczanie chcieli ją mieć po

staremu republikancką, ze starem możnowładztwem i szlachtą, ze starym nieładem i *liberum veto*, ze starą ciemnotą szlachty a chłopską niewolą, a także w sojuszu z Rosyą; — Król Stanisław August kochał każdą ojczyznę, urządzoną jak bądź i choćby tak małą, jak jego kapelusz, byle tylko on w niej panował; — a Kościuszko i x. Kołłątaj radzi-by ją byli mieć liberalną i oświeconą, z wolnością szlachty i ludu, zacną moralnie, stojącą o własnych siłach, bez cudzej opieki i bez cudzej gwarancyi, a choćby nawet bez króla. Tak się przedstawiała w umyśle Seweryna miłość ojczyzny. Ale żeby można przymknąć oczy na instytucye i polityczne stosunki, — i kochać tę ziemię tylko dlatego, że to ziemia nasza, że taka piękna i tyle zawiera w sobie naszych rodzinnych pamiątek, — i żeby można kochać tych ludzi, którzy na niej mieszkają, bez względu na to, jakie wyznają zasady, a tylko dlatego, że to są bracia nasi, wspólnej nam wiary i wspólnej mowy, wspólnej przeszłości i wspólnego nie szczęcia: — o tem nie miał dotąd wyobrażenia. Ale je powziął z przykładu ojca. Co większa, on uszanował tę miłość, bo mu się okazała szlachetną i piękną, piękniejszą i szlachetniejszą niż każda inna. I miał w tem słuszość Seweryn. Bo ci, którzy w ojczyźnie kochają tylko jej urządze-

nia społeczne, ci nie są takimi synami ojczyzny, jakich jej właśnie potrzeba. Miłość ich jest materialną. Jest jako codzienny głód lub pragnienie, których zaspokoić nie trudno. Jeżeli nowożytny arystokrata otrzyma ubezpieczenie swych przywilejów i fortun, jeżeli mieć będzie wyższe w hierarchii społecznej znaczenie, a do tego nadzieję tytułów i orderów, to i jego miłość ojczyzny się uspokoi; i uspokoi się demokratą, kiedy uzyska przywilejów zniesienie, równość w obliczu prawa, jakąkolwiek swobodę druku, przystęp do urzędów i pole otwarte do nabycia znaczenia. Bo jednym i drugim o chleb tylko chodziło albo o marne błyskotki; kiedy to osiągnęli, ucichli — a resztę się przeboleło. Jakoż żaden z nich pewnie dożgonym nie oblecze się smutkiem i pewnie nie umrze z boleści; bo żaden z nich nigdy nie bolał nad niedolą tej ziemi, której nigdy nie kochał; i nie bolał nad niedolą wszystkich swych braci razem wziętych, których także nie kochał.... Tę różnicę pomiędzy miłością idei w ojczyźnie a miłością samej ojczyzny dopiero teraz zrozumiał Seweryn; i było to wielkie szczęście dla niego. Zrozumiał bowiem zarazem, o ile ta ostatnia jest szlachetniejszą i wyższą od tamtej; a kiedy zasadą było tężyzny nie dać się w żadnej szlachetności nikomu uprzedzić, tak się też prędko do niej zapalił.

Ta tężyzna, chociaż to było uczucie bardzo względnej wartości, a dzisiaj zostało już prawie zupełnie wyrzuconem z obiegu, wyrzuciła mu jeszcze i drugą przysługę. Jeść, pić i emablować, a od czasu do czasu się wybić albo wystrzelać, nie było to wszystko, na czem zasadzała swą rolę tężyzna. Ani nieśmiertelnej pamięci Bayard, jej wzór, ani książę Józef, jej główny naczelnik, tak nie myśleli. Ażeby być tęgim prawdziwie, trzeba było się kusić o jakąś wyższą sławę, o odznaczenie się, postawić nieraz życie i fortunę na szalę szczęścia, i choćby przez trudy największe koniecznie sięgnąć po jakąś palmę zwycięstwa. Seweryn był całem sercem wyznawcą tych zasad — a przytem był zdrow, zdolny i młody, o waleczności swojej nie wątpił, a na wspomnienie odwagi tylko się ironicznie uśmiechał. Ztąd poszło, że lubo mu teraz nic innego nie zostawało, jak osiąść na Grodowiskach, gospodarować, żenić się i zostać porządnym obywatelem, to jest: płacić regularnie podatki, jeździć na sejmy, wracać do domu i ssać łapę w spokoju, nie dawszy jej nawet oblizać nikomu, jak wtedy było modą w tej podkarpackiej prowincyi, — on przecież się niepokoił i w żaden sposób nie mógł się zgodzić z tym losem. Co myślał, Bóg raczy wiedzieć; lecz dnia jednego przyszedł do matki i zapowiedział

jej, że do Paryża wyjeżdża. Pocziwa matka struchlała. Ale Seweryn jej rzekł:

— Ja nie wyżyję tu na wsi. Nie urodziłem się na hreczkosieja. Inne czekają mnie losy. Tutaj ich nie wysiedzę; trzeba ich szukać po świecie!

Znając jego awanturnicze usposobienie jeszcze tem bardziej zniepokoiła się matka.

— Dziecko moje kochane! jakich-że losów ci szukać? Nie jest-że to los dosyć piękny, mieć dostatni majątek, ożenić się dobrze i kochać Boga i ludzi przez całe życie?

Na to Seweryn wykladał jej długo swoje idee:

— Ja, takiego losu nie pragnę. Co innego mnie czeka. Co? nie wiem. Czy się odznaczę w wojnach, zasłużę się jakiemu królowi i wezmę jego córkę za żonę? czy zginę pięknie ze szablą w ręku, jak szlachcicowi przystało? a co to wiedzieć. A zresztą, gdyby ani jedno ani też drugie, to mi tutaj na żaden sposób nie siedzieć. Czy ty tego nie widzisz, moja kochana matko, że jedni rodacy moi łączą się z sobą na Wołoszczyźnie, a drudzy pod jenerałem Dąbrowskim składają się w legie we Włoszech? Wszyscy idą się bić, a ja mam pozostać w domu? Miałbym to zrobić, to raczej-bym sam złamał moję szpadę i rzucił sobie pod nogi.

Odetchnęła cokolwiek matka, bo obaczyła, że chociaż jej syna zamiary są cokolwiek awanturnicze, jednak temu awanturnictwu jasna przyświeca gwiazda. Jakoż mu tylko perswadowała rozsądnie, mówiąc: że tylko ci idą do Włoch albo na Wołoszczyznę, którzy nie mają swych własnych domów, swych fortun, lub mają bardzo liczne rodzeństwo; ale kto jest sam i ostatni swego imienia, ten pozostaje w domu i po staremu, jak mówi Bielski, „chowa się na lepsze czasy Rzeczypospolitej.“ — Ale Seweryn na to: — „A co mi to za sztuka, iść do legionów, kiedy nie ma co robić w domu? To lada dudek potrafi. Ale iść, kiedy się ma i dom i fortunę, to czegoś warte. A potem, nie każdy tam taki, który nic niema. Pan generał Dąbrowski ma dom i fortunę, a nawet, jak to słyszałem z ust pewnych, bardzo się kocha w roli i w gotowych pieniądzech: a przecież poszedł. Nie chcę też i ja być gorszym od niego.“

I niepodobna go było powstrzymać. Jakoż zaraz w dni kilka, wyładowawszy szkatułę złotem, swoją kareta i ze swoim kamerdynerem, jak był wtedy obyczaj, do Paryża wyjechał.

Paryż jest bardzo nauczającym dla ludzi roztropnych, ale na lekkomyślną młodzież to matnia. Dostawszy się tam Sewerynek, tak znakomita tężyzna, nuż sobie hulać na schwał!

I o zdobyciu królewnej zapomniał, i legiony mu wyszły z pamięci, pośród legionów królewien. I zabrnął hultaj po same uszy. I Bóg nie wie, czego tam brakowało; bo na cóż się taki w danym razie nie puści, u którego to życie nie warte i torby sieczki? — Ale to wtenczas inni jeszcze bywali ludzie i inne czasy. Dziś kiedy komu zapachnie błoto, to lezie weń pomaleńku i z świadomością, najpierw po kostki, potem po kolana, dalej po pas a najwyżej po ramiona. Wlazł tam świadomie, toż i wyłazić wcale nie myśli; bo na co jemu wyłazić, kiedy siedząc śród błota ma starannie wyszlifowane czoło, i zdaje mu się jako strusiowi, że nikt u niego na nic nie patrzy tylko na głowę. Dawniej bywało inaczej. Dawniej, gdy szlachcic zabrnął, to tak, że aż czapka spłynęła; skapał się setnie, lecz sam nie wiedział, jak się to stało, bo wskoczył tak w tę kałużę, jak gdyby na kark Tatarom. Ale jak wskakiwał z fantazyą, tak miał fantazyą wyskoczyć. Nieraz i bannicyą go obłożono, i klątwę na niego rzucono, i własna go się zaparła rodzina. Kusa tu rada, ale trudno się własną ręką powiesić. Brał tedy szlachcic na rozum i znikał. Bóg wie, gdzie się podział; i pamięć o nim zagasła. Aż tu w lat kilkanaście wypływa na wierzch, jakby nic nigdy nie było. Gdzie był? a na kresach, z kąd świetne przywozi.

świadectwa, i rangę rotmistrza, i przyjaźń kolegów, i szacunek Hetmana. Więc wszystko już wtedy diabłu na ofiarę i w zapomnienie; — a ściągnął-by ten na siebie szablisty gniew całej braci, kto-by mu klątwę przypomniał. Jakoż przyjmują go chlebem i solą, i osiada na roli, żeni się zacie, jest dobrym mężem, pocziwym ojcem, ukochanym sąsiadem i gorliwym obywatelem — a czasem jeszcze i starostwo się znajdzie, a choćby i urząd koronny. — Seweryn był to szlachcic starego miotu. Nie było z nim jeszcze tak źle, tylko że się haniebnie rozhulał. Ale jeszcze się i do połowy nie zhulał, kiedy się spotkał z obywatelem Barssem, z obywatelem Konopką i obywatelem Nadolskim, którzy wszyscy siedzieli w Paryżu, zastępując tam sprawy wiążących się legionów we Włoszech i werbując do nich Polaków. Ci zaprosili go z sobą do swego hotelu, a okazawszy mu swoich braci, w jakim żyli niedostatku, w jakiej częstokroć nędzy, jak zwykle tylko o kilkunastu talarach, czasem nawet o chlebie żebranym, przerzynali się do Włoch, ażeby się tam bić za wolność cudzą w nadziei, że się będą mogli bić kiedyś za swoją, rzekli mu w końcu: — „Nie prosimy cię o nic, ani też werbujemy do siebie, bo ty, jak słyszymy, obrałeś sobie inny cel życia; ale kiedy powrócisz do

kraju, opowiedz tam braci naszej, coś tu widział pomiędzy nami, bo rozmaite tam sieją o nas potwarze.“ — Ale dla Seweryna był to aż nadto wymowny werbunek. Jakoż nie namyślając się długo, jako miał zwyczaj, podzielił się resztkami nieprzehulanej szkatuły z pocziwą bracią, i zabrawszy z nich kilku, wyruszył do Włoch....

Z jaką fantazyą hulał niedawno po Paryżu, z taką samą szedł dzisiaj na wojnę. I nie opuściła ona go nigdy, nawet w czasach najgorszych. Z początku, kiedy dopiero-co wdział na siebie piękny mundurek, i szablę przypasał do boku, i miał jeszcze czem brzęczeć w kieszeni, nie było o nią tak trudno. Ale niebawem bardzo zmieniły się czasy. Trudem tym, przez jaki tam przeszły te nieszczęśliwe legiony polskie, można było odpokutować grzechy śmiertelne, i można było śmiertelnej nabawić się fantazyi na zawsze. Bo to nieraz przychodziło odprawiać długie i nieskończone marsze, pośród piekielnej spiekoty słońca, wśród pustych, głuchych i nagich skał, wśród nienawiści i przekleństwa włoskiego ludu, — a w marszach tych mundur ledwie że wisiał w kawałkach, bielizna była czarna jak węgiel, bóty podarte na strzęple, — a w marszach tych często przez cały dzień nie było ani suchego kawałka chleba, ani kieliszka wina, czasem ani kropelki

wody. Ale czegoż-to nie dokaże z człowieka ta nasza krewka, staropolska fantazya! Pomimo głodu i nędzy i śmiertelnego znużenia, ba! nawet samejże śmierci wiszącej nad karkiem, nie było tam ani jednej twarzy skwaszonej; a zaprawdę, że między nimi Seweryn, owo dziecko pieszczone, ów paż królewski, ów galant paryzki, nie był nigdy ostatnim. Z wesołą twarzą maszerował w łachmanach, wędząc swe członki na słońcu; z francuską piosnką na ustach zasiadał pod nagą skałą do żołnierskiego obiadu, złożonego czasem z kilku przegniłych owoców. Jakoż tam-to dopiero nauczył on się tej wzniosłej i idealnej miłości ojczyzny, szlachetniejszej i wyższej od wszystkich idei społecznych, którą niegdyś widział u swego ojca. Tam-to dopiero zateśnił za owem rzeźwem powietrzem borów karpackich, za widokiem tych jednostajnych łąnów pszenicznych, tej wioski polskiej o chatach dymnych, ubogiego chłopka w siermiedze, a choćby i kupy śmiecia przed karczmą żydowską. Tam, chociaż był żołnierzem tak tęgim i filozofem tak mądrym, byłby przecież się chwycił obydwoma rękami za serce bijące, gdyby był niespodzianie usłyszał brzęczące tony polskiej skrzypicy w gospodzie; a gdyby był nagle przestąpił granicę ojczyzny, to byłby się rzucił na swoje ziemię rodzinną i gorącemi oblał ją łzami.

Szczęśliwi są ci, którzy tę miłość rozbudzą w sobie, choćby i kosztem takiego cierpienia. Nigdy jej nikt nie opłacił za drogo. Seweryn ją w sobie rozbudził i nigdy już odtąd nie stracił....

Historia polskich legionów jest wszystkim znana. Seweryn w nich całą młodość przesłużył, zrazu dla dogodzenia fantazyi, a potem z miłości ojczyzny. Z wyroku fatalnych przeznaczeń bijął wolne murzyny na San Domingo, i wolne Hiszpany w ich pięknej i bujnej ojczyźnie, i biedne Niemcy, broniące z jękiem i płaczem swego ubóstwa. Ale w nagrodę za to bił się także za wolność polską. W bojach zawsze był mężny, zawsze jak Bayard waleczny, a nigdy strudzony, chociaż nie tyle szczęśliwy, ile sobie marzyła jego fantazyja.

Dopiero w roku 1813 do Grodowisk powrócił.

I wrócił kwaśny a nawet pełen goryczy. Przyjechał głodny, nędzny, odarty, wyskwarzony na spiekach, wywędzony na mrozach; to jeszcze mniejsza, bo od czegoż fantazyja? — Szesnaście lat w legionach przesłużył, bił się jak szatan i nacierpiał się wiele; a dosłużył się tylko rangi kapitana i dwóch małych krzyżyków. I to jeszcze mniejsza. Nie dbał on o rangi ani order. Było to bowiem powszechną modą natenczas, służyć ojczyźnie nie dla odznaczeń, tylko dla wypełnienia swych obowiązków. Piękna-to była moda, całkiem

demokratyczna; Kościuszko ją zaprowadził, pierwszy demokratę polski, — chociaż ją znano i przed nim, bo jakiej-że to cnoty w dawnej Polsce nie znano? — Przeszła ona w legiony, i tam się jej Seweryn nauczył; dlatego nie wiele dbał o to, że z niczem dla siebie powrócił. Lecz przesłużywszy szesnaście lat, całą swą młodość, lepszą połowę życia w służbach europejskiego kolosu — i dla ojczyzny nie wiele zrobił. Rzucono Polakom jakieś Xięstwo Warszawskie, jakby niedogryzioną kość; obiecano nareszcie więcej; ale zaledwie obiecano, wszystkie runęły nadzieje... To Seweryna bolało. Jakoż wróciwszy, mówił z żołnierską: — „K... świat, nie warto mu służyć.“ Takie było naten-
czas usposobienie ogólne.

Tymczasem przeciąg szesnastu lat sprawił w Grodowiskach wcale niewielkie odmiany. Obydwie jego siostry powychodziły za mąż; to prawie wszystko. Matka bardzo mało się odmieniła; była tylko cokolwiek starszą matroną, niż wtedy. Uży-
skała też dotąd cnotami swemi, pobożnością, ludzkością, powagą swoją, wielkie zachowanie, ba prawie sławę w okolicy. Poważali ją wszyscy, a poddani jej wiosek czcili ją jak świętą. Bardzo się tem zbudował Seweryn, i w konsyderacyi dla niej nie dał się nikomu wyprzedzić, czem znowu bardzo się budowali sąsiedzi. Z kolei losu nie

wypadło mu nic, jak się w Grodowiskach i gospodarować. Tak też zrobił.

Może nie każdy wyobraża go sobie tak, jak wtedy w samej istocie wyglądał; nie zaszkodzi mu się przypatrzeć bliżej. Dosyć słusznego był wzrostu, zbudowany silnie, ale więcej muszkularnie, niżeli okrągło; tylko twarz miał okrągłą, młodą i świeżą, i nie świadczącą wcale o tych trzydziestu i siedmiu latach, które już przeżył. Pomimo żołnierskości i tylu trudów przebytych, był elegantem wykwintnym; wąsów nie nosił, jak wówczas wszyscy; włosy strzygł krótko i posypywał je pudrem; a jak tylko osiadł na wsi, pierwszą jego rzeczą było, posprowadzać sobie suknie z Paryża, perfumy, olejki i maście. Drugiem jego zajęciem było, staroświecki pałac i ogród jakkolwiek ozdobić. Oczyszczył więc tę starą budowę, przystawił do niej oranżeryą i trebhauz, ogród wykorczował z zarośli, powycinał ścieżki i zasiał go niezliczonymi kwiatami. Starożytne drzewa, które we czci zachował, stały mu na przeszkodzie, iż nie mógł nadać temu ogrodowi jakiegoś pewnego stylu; ale i tak zrobiło się z tej wielkiej i zacienionej przestrzeni bardzo miłutkie zacisze, pełne chłodu, zieloności, kwiatów i woni. Nie lubił przytem rannego wstawania, czytywał ciągle gazety i książki francuzkie, i miał kamerdynera

francuza. Wszakże na tem kończyła się jego francuzczyzna; bo zresztą zupełnie polska w nim była fantazyja. Gospodarował po polsku. Pędził gorzelnię i woły wykarmiał, chował konie wysokiej krwi, a przy nich psów co nie miara, siewał za starą koleją i pilnował, ażeby mu chłopci odrabiali pańszczyznę. Tylko żydów nie cierpiał we wsi, bo tak wymagała familijna tradycya. Pomiędzy sługami utrzymał rygor wojskowy; a tak w gospodarstwie, jak w domu, wszystko działało się na komendę. W przestrzeganiu rygoru był nielitościwym jak żołnierz, i za niedbalstwo żołnierskie wymierzał kary. Zabawnie to było, kiedy ekonom za jakieś przewinienie kazał zakuć w krótkie kajdanki i wsadzić na dwadzieścia i cztery godzin do turmy, a po wysiedzeniu kary zdegradował na karbownika na cały miesiąc. Ale dziwna rzecz dla nas, że ten ekonom odcierpiał swoją karę cierpliwie, podziękował za nią i służył mu potem do śmierci. W ogóle traktował wszystkich sobie podległych ludzi nadzwyczajnie surowo, płacił bardzo pomiernie, a przecież wszyscy mu chętnie służyli a nawet byli przywiązani do niego. Trzeba wszakże dodać, iż nie wyrządził niesprawiedliwości nikomu, i chociaż kuso, przecież nie było głodno u niego. Chłopów pilnował jeszcze lepiej i starannie ich zapomagał; ale o ich oświeceniu

nie myślał, bo pomimo całej swojej liberalności był z tych ludzi, którzy mówili: — „Mają nasi chłopci dosyć rozumu, nie potrzeba im więcej.“ Takie panowały opinie natenczas. — Tak gospodarując, co mu wcale niewiele zabierało czasu, cóż przytem robił? — Polował, grał w karty i uwodził młode kobiety w sąsiedztwach...

Widząc to matka, przy każdej sposobności natrącała mu myśl, aby się ożenił. Było to tem bardziej dla niego potrzebnem, ile że przy takim życiu pełnem wydatków, pomimo wcale niezłego gospodarstwa, dochody nie wystarczały. Żona była-by na to najlepszem lekarstwem, bo prawdopodobnie i wniosła-by coś do szkatuły i ujęła-by tych nieregularnych wydatków, które zazwyczaj wynoszą najwięcej. Ale Seweryn nie zdradzał najmniejszej do tego ochoty. I tak mówił: — „Nie wiem, jakąbym dostał żonę, może-by się matce nie nagodziła, nad czem bardzo-bym bolał; niech to więc tak zostanie do czasu.“ — Ta myśl rozczuliła pocziwą matkę; była-by była gotowa umrzeć, byle się tylko Seweryn ożenił. Ale jej wszystkie usiłowania były bezowocne. Badając syna tem pilniej, dostrzegła wreszcie, iż może być w nim jeszcze i inna ku temu przeszkoda. Albowiem pomimo jego wesołości i filozofii, która go napełniała pewnym i jednostajnym spokojem,

była w nim przecież na dnie jakaś myśl czarna, jakaś smętność i melancholia, która czasem cierpką go przejmowała martwością, a czasem dziwny w nim wyradzała niepokój. Znane to jest usposobienie, żadnemu Polakowi nie obce, który swojego serca nie zabił zimnym rozumem lub nie oniemiał głupotą. Znane również jest jego źródło: ciężko jest przyzwyczaić się do niewoli i znosić to poniżenie spokojnie. Tem cięższem to jest dla takiego, który coś wie o swoich zdolnościach, czuje się na siłach, świadom jest swojej energii — a musi dźwigać więzy przekleństwa na rękach. Przesłuży młodość i wyjdzie ze służby — kapitanem o dwóch krzyżykach. Zrzekł-by się chętnie wszystkiego, ażeby tylko dobrze usłużył ojczyźnie; ale przesłuży życie — i przekona się w końcu, że ani jednej łzy nie osuszył. Ztąd ból, ztąd czarne myśli, ztąd rozpacz, której nie uciszą ani humor wesoły, ani dostatki, ani najpiękniejsza żona, ani najlepsze dzieci — a przemoże ją tylko wysoka cnota, która pokarmu dla siebie szuka właśnie w cierpieniu....

Przy takim usposobieniu Seweryn często myślał o sobie, ale nigdy o żonie. Często się niecierpliwił. Już za ucieczką Napoleona z Elby mało mu brakowało, że do niego nie pobiegł; tylko go matka wstrzymała. Z urządzeniem kon-

gresowego królestwa także się zrywał do służby, i także się jeszcze powstrzymał. Ale pojechawszy w r. 1818 do Warszawy, aby obaczyć sejm, dziwnym przypadkiem prawie wskoczył napowrót do wojska. Przyszedł bowiem do awantury, o co u niego dla krwi gorącej było bardzo nietrudno, i dnia jednego bił się w pałasze z jednym, z drugim poszedł na szpady, a z trzecim się strzelał. Wszystko to się stało niespodziewanie, wszystko na placu — a Seweryn okazał przytem taką krew zimną i tak szlachetną waleczność, iż go już nie puszczono. Musiał wstąpić do wojska i wstąpił pod bardzo dobrymi wróżbami, które też zaraz zaczęły się spełniać; bo wstąpiwszy jako kapitan, do trzech miesięcy na majora postąpił, a wkrótce został jednym z adjutantów przy głównym sztabie. Były więc bardzo piękne widoki. Ale nie każdy żołnierz wyborny w polu, jest takim samym w spokoju. Nie był nim także Seweryn. Spokoju znieść nie mógł, ciągle się burzył i niecierpliwił. Szła więc awantura za awanturą, zawsze przynajmniej jedna co roku. Dopóki te awantury dotyczyły oficerów rosyjskich, co się najczęściej zdarzało, nie pociągały zazwyczaj żadnych za sobą skutków; jednemu obciął ucho, drugiemu rękę, trzeciego przestrzelił na wylot; i cóż-to? wszyscy byli przyzwyczajeni do tego. Ale gdy

przyszedł do awantury na saskim placu, to i widoki się wtedy skończyły....

Tymczasem dziwnie się zbiegły okoliczności. Mało co przed tą awanturą ostatnią, zgłosiła się sama do niego jakaś nieznana mu wcale rodzina. Była to rodzina Szydłowskich, a więc jemu powinowata, bo jego pra-pradziad Adam, który żył za króla Jana, miał za sobą Szydłowską. Zgłoszenie się było bardzo uprzejme, świadczące o pobożnej czci dla wspomnień rodzinnych; trudnoż mu było nie odpowiedzieć uprzejmie. Seweryn tedy wyrobił sobie urlop i na Pobereże pojechał, gdzie ta rodzina mieszkała. Po porównaniu obustronnych pamiątek rodzinnych na miejscu, okazało się, iż nie było pomiędzy nimi żadnego powinowactwa. Ci Szydłowscy, z których córką się Adam ożenił, byli herbu Lubicz, a Poberezczy pieczętowali się herbem Paparona. Żałowały tedy tej myłki strony obydwie; ale cóżkolwiekbaż, zrobiła się zawsze znajomość, i piękna znajomość. Pan Szydłowski bowiem siedział na bardzo obszernej fortunie i był człowiekiem światłym, wzniosłego serca i wielkiej miłości u ludzi. Był on prawie w równym wieku ze Sewerynem, służył także parę lat pod xięciem Józefem, i tylko tem się różnił od niego, iż był mniej awanturniczej fantazyi a zato liberalniejszy, głębiej myślący i pe-

łen gorących chęci wyjarzmiienia cierpiącej ludzkości z pod wielorakich ucisków. Działo się to właśnie w roku 1823, a więc w tym czasie, kiedy w okolicach tamtych tak między wojskiem rosyjskiem, jak między polską młodzieżą, biegały bardzo wolnomyślne idee. Już przez samą gorącą fantazyą nie był i Seweryn nieprzystępny dla takich idei; ztąd zawiązała się pomiędzy tymi obudwoma mężami przyjaźń serdeczna i ścisła. Seweryn przedłużył urlop, a tak obadwa razem niejedną odbyli podróż, niejedną nową zrobili znajomość i niejednen zamiar powzięli na przyszłość. Wszakże z pomiędzy tych wielu zamiarów podobał się Sewerynowi najwięcej ten, który właśnie nie dotyczył spraw publicznych.....

Szydłowski był wdowcem i miał córkę jedyną. Klaudya jej było na imię, i była to panna znakomitej piękności. Słusznego wzrostu, szatynka, o piwnych oczach, cokolwiek blada, lecz pełna wdzięku i prześlicznej wymowy. Słabowita była i często zapadała na zdrowiu — ale pomimo to, dziwnem zdarzeniem więcej mężki niżeli niewieści miała charakter. Nie ubierała się w męzkiego kroju kaftany i kołnierzyki, nie jeździła na koniu, nie paliła tytoniu; ale poważne czytała książki, myślała po męzku i bardzo żywo się zajmowała publicznemi sprawami. Słuchać ją mówiącą, było

czasem prawdziwą rokoszą. Jako o dziedziczkę bogatych włości, wielu starało się o jej rękę; wszyscy napróżno. Byli pomiędzy nimi pannie, synowie domów zamożnych, ale i ci poodchodzili z kwitkami. Ztąd-to zapewne ich gniew wymyślił powieść, że panna Klaudya będzie miała tylko bardzo mały posażek, bo ojciec jej, jak tylko ją wyda za męż, zaraz się sam powtórnie ożeni, o czem już nawet teraz zamyśla. Nic nie-masz obrzydliwszego na świecie, jak złe języki; ale niestety! tak to się zdarza na tym nieszczęsnym świecie, iż wymyślone przez nie prorocтва najczęściej się potem sprawdzają....

Seweryn poznał Klaudyę i bardzo sobie w niej upodobał. Wiedział o owych wieściach, ale nie jego-to mogły one powstrzymać. Jakoż istotnie, jak tylko ją poznał, zaraz zaczął się starać o jej względy i rękę. I bardzo dobrze mu szła konkurencya. Było rzeczą widoczną, iż się Klaudyi podobał. Wiedział już nawet dlaczego jej się podobał. Wszyscy ci, którzy się o nią dotychczas starali, byli to ludzie albo bardzo miernego usposobienia umysłu i serca, albo wiotkie papinki, którzy-by chcieli to życie przetańcować w szczęściu, jak motyl nad różą. W Sewerynie pierwszy raz Klaudya obaczyła męczyznę, wzniosłego umysłu, szlachetnego serca, stojącego na wła-

snych nogach i silnego w swych przedsięwzięciach. Do tego jeszcze był to żołnierz rozgłośnej sławy w polu, a wykwintny elegant w salonie; tacy przede wszystkim podobają się kobietom. Seweryn podobał się Klaudyi. Ale Klaudia była już panną dojrzałą, pełną powagi i roztropności, a przytem wielkiego posagu. Takie panny bywają zwykle ostrożne i lubią wystawiać swych wielbicieli na długie próby. Ztąd chociaż Sewerynowi się wiodło, jednakże jego sprawa wlokła się bardzo pomалу, tak pomалу, że ile był niecierpliwym, przychodziło mu nieraz zwątpić o sobie. W takiej niecierpliwości spuścił się ze swej tajemnicy przed ojcem. Ojciec go serdecznie za to uściskał i rzekł:

— „Niczego sobie więcej nie życzę, jak tego związku. Ale ja nie mam w tej sprawie głosu i przy takiej córce mieć go nie potrzebują. Wszystko tu od niej zależy. Mam nadzieję, że ona nie będzie innego zdania odemnie; jednak ażeby się to stało tem pewniej, trzeba żebyś nie nalegał i miał koniecznie cierpliwość“.....

Seweryn jeszcze jakiś czas bawił na Pobereżu i miał świętą cierpliwość. Ale tymczasem urlop mu wyszedł. Musiał powracać. I wrócił, nie wiedząc wcale, z czem wraca.

Przyjechawszy do Warszawy, niebawem musiał ustąpić ze służby. Wypadek ten wielką mu

przyniósł zgryzotę; nie dlatego, że służbę stracił, bo jej nie potrzebował; ale dlatego, że wszędzie tak gorzkich doznawał zawodów. Bardzo skwaszony i prawie struty do Grodowisk przyjechał. A tam go nowa spotkała zgryzota. Jego matka umarła. Tyle ją kochał, tak-by ją był rad widział, jedyną w niej upatrywał pociechę; tymczasem mógł się już tylko na jej grobie pomodlić. To go dobiło do reszty.....

Jak lew raniony w jaskini, przesiedział całą zimę w swoim saskim pałacu. I dobrze mu było zrazu w takiej samotności. Rankami czytał, we dnie polował, a w wieczór pisywał swe pamiętniki. I już się był przyzwyczaił do tego sposobu życia. I myślał go nie odmieniać do śmierci.

Ale on nie był zrodzony do takiego spokoju. Cisza była dobrą dla niego na chwilę, na odpoczynek, lecz w gruncie rzeczy była przeciwną jego naturze. Jakoż jak tylko zazieleniła się wiosna, zaraz się krew w nim zaczęła burzyć i niepokoić wszystkie władze moralne. Decyzja była prędką u niego, więc postanowił wyjechać, a dokąd? oczywiście na Pobereże. Lecz teraz ani myśli już nie miał o tem, ażeby się dalej starać o Klaudyą. Utracił rangę i służbę i wszelkie na przyszłość wikoki; już-by teraz z pewnością nie poszła za niego. Jechał więc raczej z myślą, ażeby

się oddać tamtędy obiegającym ideom w całości, i albo spalić się na ich stosie ofiarnym, albo za ich pomocą kędyś na wierzch wypłynąć. Nie było to poświęcenie się najpiękniejsze, bo głównie podżegane ambicyą; ale lepsze i takie, niż żadne...

Stało się wszakże to, czego się najmniej spodziewał. Szlachetna Klaudya, właśnie dlatego, że bez żadnego względu na swoją przyszłość oparł się nadużyciom władzy na saskim placu, oddała mu rękę. Niespodziewane szczęście zawsze waży dwa razy tyle, niżeli to, którego oczekujemy. Seweryn się nie posiadał z radości. Niemniej szczęśliwą uczuła się także zacna rodzina Szydłowskich; i było tam szczęścia pod ową porą tak wiele, że nigdy go tyle Seweryn nie widział przez całe życie.

Urządziły się jakkolwiek i materyalne stosunki, o które wiele chodziło, bo Grodowska małżeńskiej parze takich nawyknień zaledwie mogły wystarczyć na życie. Były-by się mogły nawet urządzić lepiej, bo teść chciał oddać zięciowi połowę swojej fortuny natychmiast; ale Seweryn tego nie przyjął, bo była to fortuna do podziału nieskładna. Poprzestał tedy na podręcznej gotówce i rocznych rentach, i z tem do Grodowsk odjechał. Jakie było pożycie tego małżeństwa, nie

każdy odgadnie. Czterdziesto- i kilkoletni małżonek a żona dwudziesto-letnia, nie zawsze są parą dobraną. Ale tymczasem rzeczą jest pewną, że nie masz mężów jak ci, którzy burzliwe przeżyli życie, a z burz wynieśli zdrowie w całości i nieskazitelny charakter. Nikt tak głęboko nie uszanuje cnotliwej kobiety, jak ten, który jej szukał przez długie lata a nadaremnie. Seweryn nie tylko kochał, ale był z uwielbieniem dla swojej żony. Była ona tego godną z każdego względu. Zawsze roztropna, zawsze poważna a przytem pełna najżywszego uczucia, ona była słońcem i ciepłem całego domu. Obznajomiona przytem z literaturą, z naukami o sztukach pięknych, sama wyborna pianistka, umiejąca wiele języków i celująca wdzięczną wymową, zgórowała niebawem wszystkie kobiety w sąsiedztwie i stała się celem uwielbień powszechnych. Ztąd też i dom ich stał się jednym z najprzyjemniejszych i głośnym na wielką przestrzeń. Literatura, muzyka, stek wiadomości ze wszystkich prowincyi polskich, duch czysto rodzimy, podniesiony do ideału, objawiający się zawsze w postaci wzniosłej a często nawet wytwornej, wypełniały wnętrze tej starej szlacheckiej siedziby, która się stała jakby świątynią światła, szlachetności, zacności i dobrych nadziei dla całego sąsiedztwa.

Takimi przymiotami obdarzona Klaudia, a przytem mająca cokolwiek mężki, to jest czynny charakter, nie uzyskała przewagi, bo tej jako roztropna kobieta nigdy nie zapragnęła, ale zdobyła sobie, gdzie tego była potrzeba, przeważne wpływy na męża. Wojowała głównie miłością, najprzystojniejszą bronią dla kobiety; i bogdajby tą bronią zawsze wojowały kobiety i jak najczęstsze nad małżonkami odnosiły zwycięstwa. Tą bronią Klaudia niejedno już odniosła zwycięstwo. Za jej przewodem owa żołnierska surowość, z którą Seweryn rządził dotychczas swymi sługami, została złagodzoną cokolwiek, a na jej miejsce zaprowadzone trochę większe zbliżenie się sługi do pana. Skutkiem tego przybyło trochę chętniejszej pracy, a dawne przywiązanie o wiele się wzmoгло. Również zaczęto się za przewodem Klaudyi zajmować pomału oświatą wiejskiego ludu. Szkółka, założona niegdyś przez zacnego Bernarda, a zaniedbana przez jego syna zupełnie, została odnowioną, rozszerzoną znacznie, zaopatrzoną stałym i starannie dobranym nauczycielem, a na jej utrzymanie przeznaczono również stałą dotacyą. Prócz tego zaprowadziła Klaudia szkołkę robótek dla wiejskich dziewcząt, gdzie się uczyły szycia i haftów. Kiedy Seweryn odnawiał pałac i ogród upiększał, o owym pałacowym kościółku, który

na gruzach starej kaplicy był fundowanym przez jego pradziada Błażeja i obejmował w sobie prochy i kości jego ojców, całkiem zapomniał. Ładna ta chociaż niewielka budowa obrukała się teraz na burzach i wiatrach, gdzieniegdzie tynk poopadał, dach na wieżyczce się popsuł, wewnątrz wykrzywił się ołtarz, popleśniały obrazy, nawet poduszek i świec na ołtarzu nie było, bo i mszy świętej tu Bóg wie odkąd nie było. Klaudya zajęła się całem sercem tym opuszczonym kościołkiem, w którym odpoczywały zwłoki także i jednej Szydłowskiej. I wystroiła go pięknie, wewnątrz i zewnątrz, jak gdyby wyszedł z pudełka. I zaprowadziła w nim msze regularne po dwa razy na tydzień, za co umyślnie urządzonej przy probostwie wikaryat brał ukontentowanie ze dworu. Na te msze zawsze sama chodziła i nigdy nie zapraszała na nie swojego męża; ale gdzieżby też mógł być jej nie towarzyszyć Seweryn! Z początku dziwnie nie wiedział, co-by miał począć ze sobą w kościele; patrzył po ścianach, obserwował wróble zalatujące do okien, i czytał napisy nagrobków, marząc przytem o żywotach swych ojców. Lecz wyczytawszy wszystkie napisy i wszystkie przemarzywszy żywoty, a widząc przytem swoją kochaną żonę klęczącą u stopni ołtarza w modlitwie, przyszło mu raz machinalnie spró-

bować, czy też pamięta jeszcze Ojciec nasz, którego już Bóg wie od jakiego czasu nie zmówił. I przypominał sobie z kolei i Ojciec nasz i Zdrowaś i Wierzę. Ale nie mógł sobie przypomnieć. To wszakże naprowadziło go na myśl przyniesienia na mszę następną ze sobą książeczki do nabożeństwa. I czytał ją przez całą mszę świętą. A wychodząc, lubo ją czytał jeszcze bez nabożeństwa, znalazł się wewnątrznie o wiele spokojniejszym, niż zawsze. Odtąd już wiedział, co-by miał robić w kościele; modlił się choćby tylko dla odwrócenia myśli od ziemi, a zaczerpnięcia choćby tylko jednego oddechu niebieskiego spokoju, którego nigdy nie znał w życiu. Tak przyszło, że sam już mszy świętych pilnował, a jak tylko wstał ze snu z uczuciem goryczy w sercu, kazał ją odczytywać i w dzień niezwykajny. Tak stary libertyn zaczął się zwolna nawracać i czuł całą wartość takiego nawrotu. Wdzięczność za to winien był żonie. Dlatego zamówił w Krakowie kamienny posąg Matki Najświętszej, tej odwiecznej królowej polskiej, do której się zawsze z takim nabożeństwem modlili Polacy, i sprowadziwszy go milczkiem, kazał na postumencie wysokim postawić w rogu ogrodu. Powracając dnia następnego z kościoła, zaprowadził tam żonę; jakież ukontentowanie! — W zamian za to Klaudia zamówiła również w se-

krecie dwa kamienne posągi: jeden Kościuszki a drugi księcia Józefa, i kiedy męża na parę dni w domu nie było, ustawiła je na gazonie przed kolumnadą. Obadwa te posągi były zrobione według jej dyspozycji; Kościuszko był w czamarze krakowskiej, trzymał oburącz oręż, oczy miał podniesione ku niebu i zdawał się przysięgać tej ziemi: „Śmierć lub zwycięstwo.“ Księżę Józef stał oparty o skałę, oczy opuścił ku ziemi, był smutny i zadumany, i zdawał się pytać w milczeniu: „Potraficie przynajmniej tak kochać tę ziemię, jak my ją kochali“? — Kiedy Seweryn te posągi obaczył, tak się nimi ucieszył, że objął żonę i przycisnął z całej siły do serca; był-by zapłakał, gdyby był miał kiedykolwiek łzy w oczach. A kiedy im się przypatrzył bliżej, zamyślił się smutno i rzekł potem z gorzkim westchnieniem: — „Wszystko się na nich skończyło! Bodaj-by po nas było jeszcze komu choć uczcić pamięć tych wielkich ludzi!

Jednakże była już tego całkiem pewna nadzieja. I nadzieja ta się wkrótce ziściła. Klaudya powiła syna; prześliczne dziecko, któremu dano imię Dobiesław. Seweryn się nie posiadał z radości, o mało całego domu nie wywrócił do góry podwalinami. Ile tam szczęścia było natenczas, nikt wypowiedzieć nie zdoła....

Ale ileż-to szczęścia może być na tej ziemi, nad którą sam Bóg łzawe zawiesił chmury, którą niebo kroplistemi zalewa łzami, gdzie nawet kwiat najwonnejszy wita i żegna wschód słońca boleśną łzą? Oh! nieszczęśliwy ten człowiek, który o tych łzach zapomniał, który ich nigdy nie miał w swych oczach; nigdy one go nie ominą! a dziwnie bywają gorzkie, kiedy przychodzą dopiero przed grobem. Łzy przeznaczone dla Seweryna były już niedaleko.... Zaledwie jego żona powstała z łoża boleści, nadeszły listy z Pobereża. Zawierały one przerażającą wiadomość. Oto ojciec Klaudyi, uspokoiwszy się wydaniem córki w swoich stosunkach rodzinnych, rzucił się tem goręcej w swoje dawniejsze idee wyjarzmięcia uniewolonej ludzkości. Najszlachetniejszy z ojców, ale najnieszczęśliwszy z Polaków! Zanurzył się w tę sprawę głęboko, rzecz się przedwcześnie wydała, napadnięto go w własnym domu, porwano z łóżka, wrzucono w kibitkę i wywieziono do Petersburga. Stało się to w roku 1825. O szczegółach tego wypadku donosił gubernator dóbr jego, a w jego liście znajdowała się własnoręcznie przez ojca Klaudyi napisana karteczka, którą jak widać w ostatniej chwili nakreślił ołówkiem w tych słowach: — „Sewerynie! biorą mnie, sam nie wiem dokąd. Wszystko przepadło! Nie pokazuj się tutaj, bo

i ciebie ten los nie ominie. Klaudya niechaj ratuje majątek.“ — Odebrawszy taką wiadomość, oboje małżonkowie struchleli. Cóż tu począć? Klaudya była jeszcze słaba; Seweryn nie mógł jej towarzyszyć. Trudność nie do zwyciężenia. Ale ówczesna miłość umiała przezwycięzać nawet niezwyciężone trudności. Za parę tygodni ta dzielna kobieta wyzdrowiała w cierpieniach — a jej mężowi za te parę tygodni odrosły włosy i wąsy i bakenbardy, które umyślnie zapuścił. Zaczem jednego dnia wsiadła Klaudya do podróźnej karety, jej mąż przebrany w liberyą lokajską siadł obok pocztyliona na koźle — i tak ruszyli do Petersburga.

Dziwna-to była podróż, pełna nieopisanego męczeństwa. Jechali razem — a wciąż byli rozdzieleni od siebie. Obojgu krajało się serce na wspomnienie ich ojca, który gdzieś jęczał w kazamatach podziemnych, a nie mogli się nigdy pocieszyć. Ilekroć Klaudya przy przeprzeganiu koni na stacyi spojrzała na swego męża, jak grząśł po błocie i pomagał zwoszчыkom przypinać pasy, łzy jej strumieniem wylewały się z oczu. Ilekroć mąż ją przez szybę karety obaczył płaczącą, krew zastygała mu w żyłach i pas wypadał mu z ręki. A zatrzymywać się nie było można, jechali na dzień i noc; bo podróż była daleka,

każda chwila nieopłacona, a im wyżej wyjeżdżali w północ, tem częstsze załatwywały ich wieści o knutach i szubienicach....

Przyjechali nareszcie. Ileż prośb, żebraniny, upokorzenia musiała przejść Klaudya, zanim się dowiedziała, — że już nigdy nie ujrzy swojego ojca, że zostanie wywiezionym na Sybir, a jego majątek pójdzie na kaźń! — W piekielnych mękach czekali oboje końca procesu. I doczekali się go — wszystko się to sprawdziło....

Po roku powrócili do Grodowisk, straciwszy ojca, cały majątek Klaudyi, i pozostając tylko przy szczupłej i nieintratnej fortunie Seweryna. Położenie okropne! —

Najgłębiej uczuła je Klaudya; nie dlatego, ażeby nie potrafiła obejść się bez dostatków, ale dlatego, że swemu mężowi i takiemu mężowi, nieubłaganem zrządzeniem losu taki straszliwy sprawiła zawód. Jakoż kiedy tuż po powrocie do domu Seweryn się przebrał napowrót w swe suknie i przyszedł do jej gabinetu, ona rzuciła mu się do kolan i zawołała błagalnym głosem: — „Mężu mój drogi! przebacz mi.... Wzięłaś pannę posażną, a masz dziś ze mnie ubogą sierotę, która ciężkiem brzemieniem będzie ci w domu. Ale miej litość nademną i bądź spokojny. Ja będę najlichszą niewolnicą w twym domu, nie wzdrygnę się posług

najcięższych, a chleb i woda będą moim pokarmem“... Seweryn się rozplakał nad nią jak dziecko, i tak mdło mu się zrobiło około serca, że nie miał nawet dość siły podnieść ją z ziemi. Pierwsze to łzy jego były w tem życiu... Jak złoto w ogniu, tak człowiek czyści się w łzach. Seweryn stał się w tej chwili prawie aniołem. Nie dosyć, że po anielsku przycisnął żonę do piersi i uspokoił, ale anielskie też powziął postanowienie, którego świecie potem dokonał.

Przedewszystkiem innem, rzecz naturalna, że ani o jeden cień się nie odmienił dla żony. Jeżeli był kochającym i delikatnym dla niej natenczas, kiedy była bogatą, to teraz, kiedy została ubogą, miał jeszcze stokroć więcej miłości i uważania. Dawniej była uwielbioną małżonką, dzisiaj uczczoną przez niego boginią. Oh! czegoż-by był nie dał za to, gdyby był miał dzisiaj dostatki! Był-by sprzedał krew swoją za złoto, aby je tylko był mógł użyć dla Klaudyi. Ale to niestety! nie było podobnem. Więc się tak w całym swem gospodarstwie i domu urządził, że wszystko tam było tylko dla jego żony. Sobie wszystkiego odmówił; zmniejszył stan koni swoich do jednej tylko czwórki dla Klaudyi, psy całkiem skasował i nigdy już nie polował, chociaż dawniej żyć nie mógł bez łowów. Wielki niegdyś elegant, przy-

zwyczajony do batystowej bielizny, do fraków paryskich, do aksamitnych szlafroków, pozostał odtąd na zawsze już przy tem, co miał, i ani jednej chustki do nosa nie sprawił. Przyzwyczajony do służby licznej, kamerdynerów, pokojowców, kozaczków; kiedy siedział przy toalecie, ze sześciu mu ich służyło; teraz o jednym starym obchodził się słudze — a i tego nie raz odsyłał, mówiąc: „Idź-no tam, idź, podobno pani dzwoniła;“ — i potem sam się ubierał. Pocziwy, najpocziwszy Seweryn! Kto go znał paziem u Stanisława Augusta, ażaliżby mógł być przypuścić, że z niego taki mąż będzie i taki człowiek? — Ale to tak natenczas z najgorszych w najzacniejszych zmieniali się ludzie. A czemu? Bo wszyscy ci ludzie mieli staropolską rodzimą fantazyą, która cudów dokaże z człowieka; bo wszyscy, i źli i dobrzy, żyli więcej duchowo i nie przywiązywali się nigdy zbyt do tego ziemskiego kału; bo wszyscy wreszcie mieli serca, a serca lotne, żywe, pełne uczucia i nieprzeżarte ową piekielną rdzą materializmu, która dziś wszystko pożera...

Ofiar tych z jego strony nie była-by nigdy przyjęła Klaudya — gdyby była o nich wiedziała. Ale Seweryn tak umiał wszystko urządzić, że jej ani śniło się o tem. Jej mąż zresztą był w tym względzie przebiegłym, bo i cnota ma swoje prze-

biegłość; zawsze mówił przy żonie o potrzebie oszczędności, ratowania się, umniejszenia wydatków; przyznawał się nawet, że ich ciągle umniejsza; ale zawsze umiał to zręcznie zataić, jakim je kosztem umniejsza. Przestał jeździć na koniu i mówił, że już ocięzał; przestał pić wino i mówił, że mu nie służy.... I Klaudya temu wierzyła. I ani marzyła o tem, że za utrzymanie wierzchowych koni utrzymuje się liczna jej garderoba, a za koszt wina sprowadzają się ulubione przez nią książeczki, dzienniki i nuty. Czasem, kiedy ją temi pięknymi gratami nanowo zarzucił, popatrzała z przestrawieniem na niego: — „Ach! mój Sewerynie! czy też ty tylko nie robisz długów?“ — „Dziecko moje, — mówił mąż, — przecież wiesz o tem, że nie jestem bez długów. Był-bym chyba szalonym, gdybym do nich nowe przyczytniał. Ach! gdybym ich nie miał, nie brakowałoby nam niczego, bo przecież Grodowiska jest to majątek dosyć obszerny.“ — Tak się dziś te stosunki urządziły. Skąpo było, skromnie, oszczędnie, lecz za to miłości było bogato. Szczęściu towarzyszy w najlepszym razie miłość ludzka; ale w nieszczęściu zamienia się ona w anielską.

Takie było natenczas ich życie. I wtedy poвила Klaudya drugiego syna, któremu dano na imię Krzesław, jako-by był wykuty z krzemienia.

Sam Seweryn wymyślił dla niego to imię i mówił: — „Niechaj będzie twardym jak krzemień, bo w twardych będzie żył czasach.“ Była więc nowa pociecha...

Jednak Seweryn mało zdawał się być uradowanym tym drugim synem. Nie można temu się dziwić. Kto żył w widokach wielkiej fortuny, a tak niespodzianie zubożał i widzi, że nie będzie miał co zostawić swym dzieciom, tego myśli o dzieciach mogą tylko napawać smutkiem. Nie był zresztą Seweryn w ogóle w takim teraz usposobieniu, ażeby mógł z czegobądź doznać pociechy. On zrobił ze siebie to, na co tylko najwznioślejszy umysł zdobyć się może; ale ofiara ta, jak każda ofiara, wiele go kosztowała. Nie zdradzał się z tem przed nikim, bo był mężem poważnym i doskonałym; ale ten robak, który toczy człowieka, toczy go zwykle wbrew jego woli. Tak był ustawicznie toczonym Seweryn. Jakoż pomimo całej tęgości i hartu duszy, przecież z każdym dniem stawał się bledszym, smutniejszym i więcej zamyślonym. Czasem zasiadał w pochmurnym kącie i trawił tak całe godziny w milczeniu; czasem, przechadzając się z żoną po ogrodzie, oglądał się wkoło takimi oczyma, jak gdyby szukał otwartego grobu dla siebie....

Tak jeszcze minęło lat parę. A tymczasem nadszedł rok 1830 — i wojna wybuchła. Kiedy

pierwsza przyszła o niej wiadomość, Seweryn ją żonie odczytał i umilkł. On patrzył na nią, a ona na niego — i oboje milczeli. Ale milczenie to było dla nich tak zrozumiałem, jak słowo. To też po chwili Klaudya tylko oczy spuściła ku ziemi i chustkę przycisnęła do oczu. — „Moje dziecko kochane!“ — rzekł na to spokojnie mąż, — „jam się żołnierzem urodził i żołnierzem mi ginąć.“ — To słowo: ginąć, przeszło Klaudyę jakby sztyletem, bo w tem okamgnieniu straszne się w niej odezwało przeczucie. Zerwała się z kanapki i rzuciła się z głośnym jękiem Sewerynowi na piersi....

Po tej scenie przez kilka dni musiał się jeszcze wstrzymać z wyjazdem. Chociaż o tem już nie mówiono, były jednak momenty takie, w których rozumiał, że bez wydarcia się z rąk głośno rozpaczającej żony nie będzie mógł domu opuścić. Ale nie przyszło do tego. Bez łez i w milczeniu pożegnała go Klaudya...

Seweryn poszedł. Pod koniec grudnia już był w Warszawie i bez odwłoki wstąpił do piechoty. Koledzy jego dziwili się jemu, że jako kawalerzysta tak niekorzystnie broń zmienia, chociaż zapewne musieli zapomnieć o tem, że w legiach włoskich służył także w piechocie. Ale on odpowiadał im na to:

— „Kiedym się bawił w żołnierza, tom służył w konnicy; ale teraz chciał-bym się wybić na prawdę.“ Jakoż istotnie wstępował z wielką fantazją i mówił: — „Biłem się niegdyś z miłości ojczyzny, ale teraz będę się bił i z miłości i z pomsty, bom też im winień cokolwiek za Szydłowskiego. Gdyby tylko Pan Bóg dał prędko bitwę a dobrą!“ — Wtenczas nie długo już trzeba było czekać na nią. Przyszła niebawem bitwa Grochowska. Sławna to bitwa! lecz gdyby nie była sławną walecznością wszystkich żołnierzy, to była-by się stała walecznością jego. Sześćdziesięcio-letni już starzec, o białych włosach, z bagnetem w ręku, prowadził swój batalion na olszynkę jak młodzian. Po kilkakroć zrzucany, z tem większym zapałem uderzał nanowo. Kiedy po raz ostatni uderzał, tak szedł, iż zdawało się jak gdyby ziemia pod nim się trzęsła, a twarz mu się tak śmiała, jak gdyby widział niebo otwarte przed sobą, a w niem swoją chwałę. W istocie najwyższa gotowała się dla niego tam chwała. Świętym niesiony zapałem, wszył się tak głęboko pomiędzy Moskwę, iż został odciętym od swoich. Śmierć była pewną; lecz widok śmierci to jego najulubieńszy był żywioł od dziecka. Jakoż zdobywszy dla siebie jakiś wzgóreczek, bił się jak lew rozjuszony, siejąc straszliwe rany

dokoła. Wyczerpawszy nareszcie swe siły, zwałił się z nóg ten żołnierz żelazny, mając ran kilka-naście na sobie. Padającego wśród rozgłośnego okrzyku wielu jego kolegów widziało, i wszyscy go uwielbili, choć żaden nie był gorszym od niego....

Natenczas jeszcze umierali ludzie z rozpacz...

OD ROKU 1830...

Dziwną zaprawdę i nieodgadnioną jest moralna organizacja kobiety. Każda z nich ma w sobie coś demonicznego, ma jakieś związki tajemne, łączące ją z światem duchowym. Związki te rzadko ją łączą z piekłem, zazwyczaj z niebem. Tak połączona, miewa ona częstokroć tak jasne i pewne wejrzenia w przyszłość, jakich napróżno wysileniem swojego ducha i umartwieniem swych ciał dobijają się mędrce i proroki. Żegnając się z mężem, Klaudya miała takie wejrzenie prorocze. Była ona tak pewną, że jej mąż już nie powróci, jak gdyby jego skrwawione zwłoki na własne oczy widziała. Żadna pociecha, żaden głos trzeźwego rozsądku, żadna modlitwa nawet nie mogła w niej zagłuszyć tego przeczucia, które dla niej stało się wiedzą. Jakoż po wyjeździe męża w dni kilkanaście i ona zabrała się w podróż.

Pytającym ją, dokąd wyjeżdża, odpowiadała głosem przytomnym i trzeźwym: iż jedzie po zwłoki męzowskie, aby je złożyć w grobach jego pradziadów...

Jakoż kiedy Seweryn się bił pod Grochowem, ona była w Warszawie. Po bitwie skończonej, pierwszej nim wszyscy księża i grobarze, była na placu boju. Nie szukała go między żywymi, ale szła prosto między poległych. I szła tak, jak gdyby go była widziała padającego pod cięciami niechybnej śmierci. Jakaś gwiazda niebieska ją wiodła. Przyszedłszy do jego zwłok, stanęła nad nimi i stała tak chwilę w myślach żałobnych, bez łez, bez westchnienia, jak posąg boleści. Ona go dawno już opłakała. Wzięła je potem, zawiozła z sobą do Warszawy, gdzie złożywszy je w trumnę, zabrała z sobą do Grodowisk. Przewóz ten był kosztowny, bo dzikie jest na tej ziemi drapieżtwo; są ludzie, którzy odzierają żywych, i są którzy odzierają umarłych. Podróż ta kosztowała Klaudyą jej wszystkie klejnoty. Ostatni sznurek pereł został się na granicy; sadzony brylantami zegarek opłacił możność odprawienia spokojnie pogrzebu w domu. Po pogrzebie została jej się tylko ślubna obrączka — i ubóstwo, i nędza, i dwoje maleńkich sierotek. I cisza przytem jak w grobie....

— Ale tak dobrze! — mówiła Klaudya spokojnie. Ubogą była, nędzną, nieszczęsną i tak zbitą cierpieniem, jak Chrystus, kiedy szedł na Golgotę; ale z spokojem anioła przyjęła swój los i dumną była, że taki los właśnie wypadł dla niej z urny przeznaczeń. Niechaj kto inny Krezusowe zgromadza bogactwa, niech mieszka w krzysztalowych pałacach, karmi się słowiczemi języki, pija wino cypryskie z czar koralowych i sypia na axamitach, niech przytem przez gabinety, giełdy lub banki rozrządza światem; a nie wiem, jeżeli ten choć w połowie zaważy tyle u Boga, co ona. Ona powinna była również tak wiele ważyć na ziemi. Ale tak to nie bywa. Poczciwi ludzie umieją szanować cierpienie i cnotę; któż o tem wątpi? Ale jeżeli tej cnocie towarzyszy ubóstwo, wprędce się kończy uszanowanie. Tak było i z Klaudya. Dawne jej przyjaciółki wspominały o niej z wywracaniem oczu i wykrzykiwaniem: — Biedna ta Klaudya! ojciec jej na Sybirze, mąż zginął na wojnie, jej majątek w sekwestrze; biedna ta Klaudya! — Ale na tem się wszystko kończyło. A kiedy ją przyszło odwiedzić, śmiertelne przechodziły ich mory. Ach! gdyby jej nie zastać! gdyby nas nie przyjęła! — I cóż to jest? Dlaczegoż jej nie odwiedzacie jak dawniej, dlaczegoż z nią nie żyjecie, dlaczegoż nie biegniecie do niej

tak na wyścigi jak wtedy, kiedy posiadała bogactwa? Czyliż wam dziś nie poda takiej samej filiżanki herbaty i takiego samego sucharka, jak wówczas? a ona sama czyż nie jest dziś warta więcej, niż kiedykolwiek? Ażaliż już macie serce takie zepsute i takie Nielitościwe? — Nie, gdzież tam! Wy macie serce najlepsze. Ale taki duch dzisiaj wieje po ziemi, taka panuje zaraza; tak cały świat ucieka dziś od ubóstwa!

Przeklętym jest urok mamony; owionął on dzisiaj wszystkich, ogarnął rozumy i serca, prowadzi je w kał, w trzęsawiska bezdenne, na dno piekielne — a nie masz kto-by go krzyżem świętym zażegnał i w imię wiekuistego ducha potargał i przydeptał do ziemi....

Klaudya żyła w wielkiem ubóstwie. Grodowiska były obdłużone cokolwiek, zapasy w ostatnich latach się wyczerpały, gospodarstwo jeszcze za życia męża podupadło, dochody więc były bardzo niewielkie. A ciężary i obowiązki pozostały te same, jak za czasów najlepszych. Było to zatem wielkie brzemię jak na barki kobiety; ale Klaudya znosiła je mężnie. Bardzo się jej wtedy przydała ta szczypta męskości, którą sam ojciec jej nadał. Wiedział on dobrze, co robi. Zawsze tak w starej Polsce wychowywano dziewczęta; i było to bardzo rozumnem, bo wtedy się nieraz

zdarzało, że żonom przychodziło przez długie czasy zastępować mężów w domu i w gospodarstwie, a czasem dopomagać im nawet w sprawach publicznych. Nie była-by nigdy Chrzanowska oswobodziła Trębowli, i nie były-by obydwie Potockie rozwoziły na koniach prochu i kul w bitwie Kaliskiej, gdyby były nie odebrały wychowania po temu. Ojciec Klaudyi pamiętał o tem wszystkim, co było dobrego u ojców — i owóz jak się to jego córce przydało.

Zajmowała się ona sama gospodarstwem — i bardzo rozumnie, o ile tak czysto-męzkie zajęcie nie przechodzi siły kobiety. Zaprowadziła jak największą oszczędność w domu; chłopców przyzwyczajała przedewszystkiem do skromności i pracy, sama pilnowała wszystkiego i nie zapominała o niczem. Z jej pracy nie wypływały dostatki, był nawet brak wielu rzeczy, ale przynajmniej głodu nie było. A przytem obowiązki wszystkie były święcie dopełniane. Msza święta zawsze się utrzymywała w pałacowym kościółku, i stary wikaryusz miał utrzymanie ze dworu. Musiał on teraz wypełniać obowiązki nauczyciela w szkółce, ale się chętnie ich podjął; zaczęła i szkółka istniała i zakład dla dziewcząt. Niemało trudności przyczyniało to Klaudyi, iż jak we wszystkich starych szlacheckich dworach, tak też i w Gro-

dowiskach, było nie mało sług starych, którzy od dziecka we dworze służyli; a byli także i gracyaliści, zazwyczaj niezmiernie długo żyjący, którzy się chowali przy domu jeszcze od czasów Bernarda. Z tych starych sług był bardzo mały pożytek, a z gracyalistów nie było żadnego; ale jakżeż ich poodprawiać? Gdyby na to pozwalała uciążliwość, to nie pozwala uszanowanie dla cieniów ojcowskich, nie pozwala nareszcie wrodzona ludzom zwyczajnym pobożność, która wierzy, że za utrzymanie takich staruszków spływa na dom błogosławieństwo Boże. Klaudya odejmowała sobie od ust — a tych starców żywiła. Tak w ciężkiej pracy, w ustawicznej trwodze o jutro, w nieskończonych ofiarach, dźwigała ta anielska kobieta ten ciężar, dopóki jej sił wystarczało.

Jednak tego rodzaju siły niewieście nie są niewyczerpane. Kobieta się może zdobyć na największą ofiarę i podjąć pracy najcięższej, ale wytrwać w niej długo nie potrafi jej słaby fizycznie organizm. Klaudya wytrwała w tej pracy lat dziesięć; ale w dziesiątym roku już była tak zmęczona, że prawie tylko cień z niej pozostał. Była jeszcze natenczas piękna, och! jakże piękna! Błada jej twarz zdawała się błyszczeć blaskiem anielskim, a jej wzrok, nie mający równego na ziemi, sprawiał przejmujące wrażenie. Ale lampka

jej życia już tliła tylko ostatkiem i zapowiadała Chrystusowym wyrazem jej twarzy, że lada chwila zgaśnie....

Nie dziwno to wcale. Albowiem prócz ciężkiej pracy i zgryzoty domowej, trawiły ją jeszcze i inne boleści. Jej ojciec ciągle był na Sybirze. Boleści tej, jaką to przynosiło Klaudyi, nie potrafi nikt sobie odtworzyć; przeczuć ją może ten tylko, kto widział sam swego ojca w kajdanach. Klaudya niezmiernie wiele nad tem cierpiała. Boleść ta spadała jak kropla ognista na jej serce, co dzień, co godzina, co chwila; raz przejmowała je ogniem a drugi raz lodem, a zawsze trawiła. I tak wciąż, bez ustanku, przez kilkanaście lat. To już nie boleść, to piekielne katusze... Szczęśliwym zrządzeniem, prawie cudem, który Pan Bóg dopuszcza tylko tak wiele cierpiącym, otrzymała Klaudya przez te lat dziesięć dwa listy od ojca. W jednym opisywał jej swoją niedolę i ciężką pracę, przez jaką musi przechodzić; w drugim donosił o polepszeniu swojego losu. Pozwolono mu mieszkać w Tobolsku i trudnić się nauczycielstwem dzieci jenerała. Nizka i nudna-to była praca, dochody z niej wystarczały zaledwie na życie żebracze; ale zawsze to była już znaczna w jego losie poprawa. Donosił przytem, iż pomimo upodlenia, jakie los jego z obowiązku

przynosił ze sobą, potrafił sobie przecież zarobić na jakikolwiek szacunek, na poważanie, a tu i ówdzie nawet na przyjaźń i miłość; czemu niech się nie dziwi, — dodawał zacny Szydłowski, — bo jakiebądź gdzie są rządy i sądy, przecież wszędzie są ludzie! — List ten był bardzo pocieszającym na razie, lecz zawsze smutnym, bo nie było w nim ani wspomnienia nadziei. To Klaudya gryzło najmocniej. Takiego mieć ojca, tak go kochać i wielbić, i tyle nad nim przecierpieć; znajdować się z nim na jednej ziemi i nigdy go już nie obaczyć: ta myśl była dla niej okropną. Jakoż przez cały ten przeciąg lat o niczem nie rozmyślała więcej, jak aby na Sybir pojechać. Podróż taka nie zdawała się niepodobną; niejedna Polka ją odprawiła. Ale dla niej była wciąż niepodobną. Z początku stały jej na przeszkodzie jej dzieci; bo jakżeż takie małe robaczki na cudzej zostawić opiece? A potem, kiedy dorosły i odesłała je do szkół do miasta, znacznie się przez to pomnożyły jej wydatki. Obliczyła sobie, że jej tylko kilkaset dukatów trzeba na tę podróż; ach! gdyby tylko je miała! Jechała-by była prostymi wozami, szła-by pół drogi piechotą, przez całą drogę nic-by nie jadła; kilkaset dukatów było dla niej aż nadto! — ale i tych nie można było uzbierać. Jest coś dziwnego, coś fa-

talnego, coś że tak powiem satanicznego w tem ludzkim nieszczęściu. Kiedy sobie upatrzy ofiarę i zawezmie się na nią, to zdaje się wyraźnie, jak gdyby jej przeciwnymi losami kierowała jakaś rozumna, wszystko wiedząca i wyrachowana istota. Klaudya to uważała na sobie. Przy takiej oszczędności, uzbierać te kilkaset dukatów z Grodowisk, nie było wcale niepodobieństwem. I ona już miała prawie całą tę sumę po kilka razy; bardzo mało jej brakowało. Ale zawsze, albo który z jej synów zachorował i trzeba było do niego pojechać; albo sama zachorowała i musiała z tej sumy opłacać leki i lekarzy; a kiedy już takich zwyczajnych nieszczęść zabrakło, wybuchnął pożar i gumna jej się spaliły. Ten ostatni wypadek odebrał jej wszelką nadzieję. Nie było już zresztą podobieństwa i zkadinnąd, ażeby mogła kiedykolwiek w swem życiu tak daleką i niebezpieczną podróż przedsięwziąć. Albowiem wtedy zaczęły ją już coraz bardziej opuszczać siły. W roku 1840 znacznie się odmieniła — a w roku następnym była już tak słabą, że nie mogła opuszczać pokoju. Tymczasem właśnie natenczas rozniosła się była jakaś wieść głucha po kraju, jakoby wielu z współczesnych jej ojcu wygnańców popowracało z Sybiru; jedni z nich pod warunkiem, że będą mieszkać w południowych guberniach rossyjskich,

a drudzy zgola bez żadnego warunku. Jakiś podróźny nawet miał być przywieźć wiadomość, że niektórzy z tych wygnańców, co już powrócili i zamieszkali w południowych guberniach, mają nadzieję, że im ich dobra będą zwrócone — a jeżeli nie, że przynajmniej odzyskają z nich tyle, ile im dzisiaj potrzeba na życie. Wiadomości te, lubo bardzo niepodobne były do prawdy, zatrzęsły całą istotą Klaudyi. Ach! gdyby jej ojciec powrócił! chociaż-by tylko do południowych gubernii! chociaż-by w ubóstwie i nędzy! Gdyby jeszcze tę resztę życia, choć kilka lat, choćby jeden rok tylko, przeżyć z nim razem!... Klaudya była cała wzburzona tą myślą. Porozpisywała listy na Pobereże, do Warszawy, do Kijowa, do Petersburga, i z wrzącą niecierpliwością oczekiwała ich skutku. Zaczęła mieć nawet jakby jakąś nadzieję. Modliła się Bogu gorąco; nikt tak się nie modlił! a te modlitwy pokrzepiały ją jeszcze w nadziei. Wiadomości pocieszających żadnych nie było, i wtedy ich nawet być jeszcze nie mogło; ale gdyby były nadeszły, to były-by się prawie już na nic nie zdały. Klaudya, trawiona ciągle boleścią, zaczęła się teraz trawić jeszcze niespokojnością, a tego już nie mógł wytrzymać jej roztargany organizm. Gasła już coraz widoczniej i naglej. Przyszedł nareszcie jakiś rodzaj gorączki

i położył ją w łóżko. Dnia tego, w którym się kładła, była jeszcze tyle przytomną, że napisała testament, wyznaczyła opiekuna swym dzieciom, posłała po nie do Lwowa — a w wieczór odprawiła spowiedź ostatnią i przyjęła Przenajświętszy Sakrament. To było ostatnie jej szczęście. Bo nazajutrz już przysłała tak silna gorączka, że jej odebrała pół przytomności. Była świadomą siebie tylko chwilami. Tak przeżyła już tylko dni kilka. Ostatniego dnia koło północy zaczęła się zrywać z łóżka, łamiąc ręce i płacząc. Czasem wzywała męża a czasem dzieci, i ciągle gorącemi zalewała się łzami. Nareszcie zaczęła coś mówić o swoim ojcu, poczem z najprzeraźliwszym krzykiem: — Na Sybir! na Sybir! puście mnie na Sybir! — upadła bezwładna w poduszki i zgasła....

Na jej pogrzebie nie było nikogo z sąsiedztwa. Wszyscy o niej dawno już zapomnieli. Tylko gromady jej zbiegły się licznie, starcy, kobiety, dzieci i wszystko, co żyło w tych wioskach. Najpoważniejsi gospodarze nieśli jej lekkie zwłoki do familijnego kościółka — a za niemi wlokły się całe chmury wiejskiego ludu, napełniając rozgłośnym jękiem drżące nad sobą powietrze. —

Przez kilkanaście dni potem odprawiały się w tym kościółku nieustające żałobne msze za jej

duszę, które najmowały poddane jej niegdyś gromady. Odtąd też ten kościółek nabrał u tamtejszego wiejskiego ludu szczególnego znaczenia. Rzecz to jest osobiwa! W jego podziemiach spoczywało kilkanaście głów z panującej tym gromadom familii; a mimo to nigdy one nie zwracały na niego nawet swojej uwagi. Nikt ze wsi nie chodził tam modlić się, każdy go mijał, mówiąc: — To nie nasza, to pańska świątynia. — Wszakże od śmierci Klaudyi te same gromady tak się przywiązały do niego, iż go przenoszą nad kościół swój parafialny, a nikt gdzieindziej mszy nie najmuje, jak tam. Jakiś osobliwszy urok go w ich oczach otoczył; wierzą, że się cudy tam dzieją: — widują w nocach xiężycowych jakąś postać białą, która z progu kościółka wyniesioną do góry ręką błogosławi leżące na dole wioski; — udają się w chorobach do niego i ulgi doznają. A i dziś jeszcze, ktokolwiek przez Grodowiska przejeżdża, pewnie mu go jakiś wieśniak z radością dumą pokaze i powie: — To nasz cudowny kościółek; nasza pani święta tam leży.

Nasz lud, chociaż nieoświecony, miewa za zwyczaj niezmiernie jasne przeczucie sprawiedliwości i prawdy. Nawet ś. p. Bernard, chociaż w pobożnej się chowa tradycyi, nie jest tak popularnym u niego, jak Klaudya. I nie jest to

bez przyczyny. Bo Bernard kochał go tylko z politycznych powodów, a może już tylko z rozpaczy — a Klaudia go kochała z chrześcijańskiej miłości.



OD ROKU 1841....

Synowie Klaudyi, Dobiesław i Krzesław, nie przyjechali na pogrzeb matki. Nie dostali urlopu. W owoczesnych przepisach szkolnych nie było żadnego paragrafu, który-by na to zezwalał, ażeby się uczniowie absentowali od szkół z tak błahego powodu, jakim jest śmierć którego z rodziców. A gdyby byli nawet dostali urlop, to było-by im się to na nic nie zdało, bo już było zapóźno. Doniósł im o tem opiekun i przez to ich podróż, którą starszy Dobiesław chciał przedsiębrać wbrew zakazowi szkolnemu, jeszcze wczasu powstrzymał. Któż był ich opiekunem?

O granicę od Grodowisk, tuż koło Starodzieg, leżała wieś, która się nazywała Plenna. Była to wioska niewielka, ale tłusła a przeto bardzo intratna. Właścicielem jej był jeden z zamożnych panów, który miał kędyindziej dobra rozległe,

i z tego powodu nie mógł jej administrować na własną rękę. Puścił ją zatem niejakiemu panu Nowickiemu w dzierzawę, potem oddał ją w zastaw, a nareszcie i sprzedał.

Nowicki był to Galicyanin krwi pełnej: *thoroughbred*, jak nazywają Anglicy swe konie. Naród ten, który się dopiero w bieżącym wieku zaczął wynurzać z odmetów historyi, jest dotąd jeszcze daleko mniej licznym, niżeli wynaleziony niedawno naród Rutenów, a nawet nie jest jeszcze do dziś dnia całkowicie odkrytym, ani też w poczet europejskich narodów przyjętym. Charakter i obyczaje tych ludzi są nadzwyczajnie ciekawe. Przedewszystkiem innem są to biali murzyni, którzy tak jak jeszcze wielu z pomiędzy czarnych nadzwyczaj ukochali niewolę, i za nic w świecie nie dali-by się z niej wyswobodzić. Przymiot ten mają sobie za szczególniejszą zaletę, radzi się nim chlubią, a tego, który się nim odznacza, cenią niezmiernie wysoko. Na tem polega głównie ich narodowość. Religii nie mają żadnej; a lubo według pierwotnych narodów zwyczaju mają rozmaitych bożków, do których się modlą, jednak nie doczekali się jeszcze proroka, który-by te nabożeństwa w jakiś stały powiązał system i nadał mu powagę religii. Wszakże natomiast mają swe przekonania, których się trzymają niezłomnie, tak jak np.

wierzba, drzewo dość piękne chociaż zazwyczaj spruchniałe, ma przekonanie niezłomne, że wszystkimi swymi korzeniami trzyma się błota. Mówią oni powszechnie swym własnym galicyjskim językiem, który to język jest cokolwiek do polskiego podobnym; ale umieją przytem i inne języki, jako to: francuzki, niemiecki, żydowski i ruski. Nie wyrobiwszy jeszcze dokładnie swego języka, zwykle go z jednym z wyżwymienionych mieszają: więc oświeceński z francuzkim, chrzczeni z niemieckim, niechrzczeni z żydowskim, a inni z ruskim. Żaden roztropny człowiek nie zechce się temu dziwić, zwłaszcza zważywszy, że to naród tak świeży; z początku ludzie rozmawiali na migi. Literatury swojej także jeszcze nie mają. Mieli już wprawdzie swego własnego miotu autorów, ale z tych jeszcze żaden większego rozgłosu nie zysłał; co-by też było dość dziwnem, gdyby ktoś z tak małego narodu wielki rozgłos wydobył. Znajdują się oni zresztą co do literatury w odwrotnym od Rutenów stosunku; tamci mają język a głoszek nie mają; ci mają głoski a języka nie mają. Nauki mają w jakimkolwiek poszanowaniu, ale tylko te, które dają chleb pewny. Ponieważ w swoim języku żadnych nauk nie posiadają i dotychczas zdobyli się zaledwie na kilka gramatyk, więc ratują się xiegami oświeceńskich od siebie narodów, jako

to: Niemców i Polaków. Jednakże xiąg tych ostatnich używają jak najmniej, bo mają do nich wstręt tradycyjny. Sztuk pięknych nie pielęgnują żadnych, i dziwią się nadzwyczajnie Polakom, jak niektórzy z nich mogą się zajmować takimi głupstwami. Historii polskiej, chociaż-by ich choć cokolwiek obchodzić powinna, całkiem nie znają; — a swojej własnej jeszcze nie mają. Albowiem ich historia jeszcze nie wyszła z epoki ustnych tradycji, które zazwyczaj wyglądają bajecznie. Toż o pierwszych tego narodu początkach trudno coś pewnego powiedzieć. Podług ich tradycji miało się tutaj, temu już bardzo dawno, może już lat ośmdziesiąt albo może i więcej, zrobić jakieś zaburzenie okrutne — a z niego miał się wyłonić naród galicyjski. Jednak to bajka, bo przecież wtedy mieszkali tutaj Polacy, tak jak i dzisiaj mieszkają — a nic o tem nie wiedzą. Pewniejszą tedy jest rzeczą wierzyć, że narodek ten wyłonił się o wiele później i urobił się zwolna z Polaków, Niemców, Rusinów i Żydów. Mniemanie to potwierdza głównie ta okoliczność, iż jest on jeszcze do dziś dnia bardzo nieliczny i żyje porozsiewany dość rzadko po Rusi Czerwonej, południowych częściach Mało-polski i Bukowinie. Bukowina jest ich ziemią obiecaną, do której się garną najchętniej; tam też podobno chowają się w rasie najczystszej. Jest

nawet wielkie podobieństwo, że kiedyś tam wszyscy pociągną, i dopiero natenczas staną się rzeczywistym narodem. Domysł ten jest o tyle podobniejszym do prawdy, o ile w samej istocie obyczajem pierwiastkowych narodów przenoszą żywot koczowniczy nad ustalony, nie przywiązują się namiętnie do miejsca, i wszędzie ciągną za zyskiem. Nie mieszkają jednakże w norach ani po lasach, jak inne narody pół-dzikie; ale w kamienicach i domach, zbudowanych na fundamentach i dachem nakrytych. Najchętniej mieszkają w miastach; ale osiadają także i po wsiach. Zatrudnienia ich są najrozmaitsze, a raczej niemasz zatrudnienia, którego by się nie chwycili, jeżeli tylko korzyść przynosi. Więc posiadają dobra i radzi niemi handlują; trzymają dzierzawy; trudnią się kupiectwem i przemysłem; bywają także więźmiami, nauczycielami, gorzelnikami a nawet ekonomami; lecz przedewszystkiem chciwie chwytają wszelkie posady, które zapewniają chleb stały. Rzemiosł bardzo się rzadko imają, chyba tylko po wielkich miastach; a ludu wiejskiego całkiem pomiędzy sobą nie mają. Niektórzy z nich skrzętnie zajmują się lichwą, kopią dołki pod Polakami i często ich wyzuwają z majątków. Zachowują obyczaje swe własne, które są wprawdzie do europejskich podobne, lecz w gruncie rzeczy bardzo

odmienne. Mianowicie tem głównie się różnią od europejskich narodów, iż się zapamiętałe kochają w świecidłach. W namiętnej cheiwości jedni łby sobie rozbijają za błyskotkami — a drudzy czekają na nie z cierpliwością kamienia, zanurzonego w kałuży, przez całe życie. Wszakże i temu nie należy się dziwić, zważywszy ich pierwiastkowość; murzyni dają sobie nosy przekłuwać, ażeby tylko mogli w nie wetknąć lśniąca błyskotkę. Toż także tak samo, jak dzicy ludzie, nie popadają nigdy w żadne idealizmy; owszem przeciwnie, są wyznawcami najgrubszego materyalizmu. Mieszkają rozsypani pomiędzy Polakami i żyją zwykle osobno; jednak w niektórych czasach i interesach mieszają się z nimi, i podszywają się pod ich miłości i nienawiści. To mieszanie i podszywanie się dowodzi najlepiej, iż jeszcze nie są narodem. Ale i to także to samo dowodzi, że narodowa ich nazwa nieznana jest jeszcze w krajach najbliższych, jak np. w Węgrzech i Niemczech; a nawet i oni sami do niej się nie przyznają. Tylko ten, który jest mojżeszowego wyznania, spotkany za granicą i zapytany, czem jest, odpowiada z dumą: — *Ich bin ein Galizianer*. Ależ nie przeszkadza to im wcale, ażeby się kiedyś nie stali narodem. Owszem, staną się pewnie, zwłaszcza jeżeli jaką ziemię dla siebie zdobędą, albo wy-

najdą sposób bycia narodem bez ziemi, co w wieku wynalazków tak licznych jest wcale podobnem.

Nowicki miał lat blisko czterdzieści, i zaczynał już siwieć cokolwiek, za co się wcale nie gniewał, bo mu to dodawało powagi. Był wysokiego wzrostu, pociągłej twarzy, zgrabnego nosa, jasno-siwych oczu, ust wąskich lecz uśmiechnionych. Wąsów nie nosił, tylko pod miarę przyszyryżone faworyty okrażały tę twarz, na której wybitnie się malowały rozmyśl, roztropność i wielki spokój. Jakoż w samej istocie nikt go nigdy nie widział gniewającego się, nigdy rozmawiającego o niczem z namiętnością ani zapałem, nigdy obstającego z energią przy swoim zdaniu; spokój i flegma, to były wybitne cechy jego postaci zewnętrznej. Wybitniejszą od nich była już tylko dobroduszość, którą sztucznie w sobie wyrobił i wydoskonalił do tego stopnia, iż było bardzo wielu ludzi w sąsiedztwie, którzy go mieli za człowieka nadzwyczajnie dobrego serca. Reputacją tę utrzymywał wszelkiemi siłami a często nawet i ofiarami; sprawiał od czasu do czasu coś do kościoła, nigdy od składek się nie usuwał, a nawet rzeczą jest pewną, iż kilka razy dał po kilka dukatów do składek na emigrantów. Był przytem z tego względu nieocenionym, iż żył

w dobrem zachowaniu z najbliższemi władzami; toż kiedy kręto było około kogo, a pomoc była możliwą, on pewnie dopomógł. Raz mandataryusz, który utrzymywał kilkanaście dominiów w sąsiedztwie, popadł był w proces o zdzierstwa chłopów i defraudacye pupilarnych pieniędzy; cały świat był przekonany, że mandataryusz przepadnie; ale jak się Nowicki zabrał do niego, tak go najzupełniej wykręcił. Takich wypadków kilka dało mu pewne zachowanie w sąsiedztwie — i powiadano o nim: Mówcie sobie co chcecie, ale człowiek taki jest zawsze potrzebny. I był on istotnie potrzebny. Bo jeśli komu trzeba było gwałtem pieniędzy, a nie mógł ich dostać jak na dwadzieścia i cztery od sta, on mu dopomógł, że ich dostał na ośmnaście; jeśli kto miał zboże na sprzedaż i nie mógł sprzedać, on był tak dobrym, że kupił, chociaż nie potrzebował; a jeśli kto miał wieś, gorzelnię, młyn, browar do wypuszczenia w dzierżawę, a nie mógł znaleźć dzierżawcy, on się zawsze nad nim zlitował. Czyż takiego człowieka nie cenić? — Przeniknąć było jego wszystkie sprawy, a przede wszystkim rozpytać się chłopów o niego, tych biednych chłopów, których on na przednowku ratował, było-by można takich dowiedzieć się rzeczy, od których włosy wstają na głowie; ale któż wtedy o cobądź zapytywał

się chłopów? — Toż go nikt nie przeniknął, krom jednego pana Michała, który przy sprzeczce o jego uczciwość powiedział o nim: — Nie, uczciwym on nie jest, ale jest człowiekiem porządnym, to znaczy, że urządza tak wszystkie swe sprawy, ażeby nie miał kryminalnego procesu.

Kiedy Klaudya po jej nieszczęściach opuścili wszyscy, Nowicki zawsze o niej pamiętał. Odwiedzał ją często, mówił grzecznie i słodko, litował się nad jej nieszczęściami i jak mógł, tak jej pomagał. Dzierzawił od niej gorzelnię, browar, tartaki, blichy a nawet i propinacyą. Wypłacał się zawsze najregularniej, często nadpłacał, a kiedy tego było potrzeba, to jej pożyczał bez żadnej prowizyi. Cudne on tam wyrabiał rzeczy. Trzymał wszystko wpół darmo, pustoszył lasy, zabierał z gruntu paszę dla siebie, wykładał nawet nawozy; zdemoralizował wszystkie jej sługi, przekupywał je dla siebie i zaprowadził pomiędzy niemi jak największą swawolę; okradano biedną Klaudyą na wszystkie strony, a jej majątek po tatarsku niszczone. Jeżeli Klaudya przez dziesięć lat swego sieroctwa taką cierpiała nędzę, to tylko on temu był winien; jeżeli przez dziesięć lat nie mogła zebrać tych kilkaset dukatów, któremi chciała opędzić kosztą podróży do ojca, to tylko jemu miała do zawdzięczenia. Straszliwy

ten człowiek siedział jak upiór na jej wyschniętej piersi, ssął jej krew jeszcze ciepłą, wypijał jej duszę, grób jej kopał pomału! — Ale był przytem słodkim i grzecznym i zręcznym — i był jedynym, który o niej pamiętał. Ażaliż dziwno, że pozyskał ufność tak nieszczęśliwej kobiety? — Był on żonatym. Ale gdyby nim nie był, ażaliżby było dziwno, gdyby był nawet jej miłość pozyskał? — Oh! wcale nie dziwno. Bo najnieszczęśliwszą jest kobieta, uciśniona nieszczęściem i w tem nieszczęściu samej sobie pozostawiona. Jest to zbłąkana owieczka, którą wilk porwie, niedźwiedź zadławi, wąż nawet zdradliwie podejdzie, owinie swemi straszliwemi splotami i zdusi....

Tym sposobem taki Nowicki został opiekunem sierot pozostałych po Klaudyi. Prowadził on tę opiekę prawie tak samo, jak za życia matki, jednak cokolwiek ostrożniej, bo miał teraz do czynienia z sądem; a nasze sądownictwo ówczesne, niezawisłe od władz politycznych, bywało czasem bardzo uporczywem w obronie sprawiedliwości. Toż obawiając się sądu, starał się natomiast swoich pupilów ile możności dla siebie pozyskać. Sprowadzał ich zawsze ze Lwowa na ferye, zapraszał ich do siebie, gościł uprzejmie, miał dla nich zawsze wierzchowe koniki, wózeczki, fuzyjki, pieski, i wszystkie tym podobne zabawki. Zgoła

przyhołubiał ich do siebie jak mógł, i w zachowaniu się swoim względem nich grał po mistrzowski rolę przywiązanego ojca. Mając dwie małe córeczki, Bóg tam go wie, jakie miał myśli natenczas.....

Ale pomimo to wszystko miał z tymi chłopcami sprawę dość trudną. Taka wiekami zahartowana krew bywa częstokroć twardą w użyciu. Toż i obadwa ci chłopcy nie byli wcale dla niego tak łatwo przystępni, jak się tego spodziewał.

Starszy Dobiesław miał jakiś nieprzeparty wstręt od tego człowieka. Miał on już wtedy rok siedemnasty, i prześlicznym był chłopcem. Średnio się trzymał we wzroście i był jeszcze wtedy dość szczupłym, ale był krzepkim, miał siłę w ręku i ustawicznie ją ćwiczył. Twarz miał prawie okrągłą, młodzieńczym okrytą meshkiem, włosy ciemno-blond, oczy czarne, lecz jeszcze bardzo nieustalonego wyrazu. Czasem w nich rzeczywiście natchnione pały blaski, a kiedyindziej powlekała je jakby jakaś melancholiczna obsłona; to też czasem był cały w sobie samym zamknięty, jak koncha łzawą obejmująca w sobie perełkę, — a czasem tak patrzył temi pałającymi oczyma na otaczający go świat, jak gdyby go przejrzał nawskróś, przeczuł jego wszystkie boleści i chciał go czempředzej przycisnąć do kochającej swej

piersi. Takie też zwykle na feryach prowadził życie. Rad odwiedzał groby swych ojców, stawał tam zadumany w podziemiach i klęczał w pobożnej modlitwie przy trumnie swej matki. Nieraz go tam ciemna noc zaskoczyła; słudzy się wtedy obawiali o niego i powiadali swą trwogę wracającemu; ale on tylko się dziwił tej trwodze i odpowiadał: — Mniej ja się obawiam umarłych, niż żywych. — Słyszał taką odpowiedź jego opiekun i długo nad nią rozmyślał, bo przecież i on należał do żywych. W ogóle jakoś dla Nowickiego był niepojętym Dobiesław. Miał on bowiem jeszcze i inne nawyczki, które w głowie takiego opiekuna nie mogły się wcale pomieścić. Tak np. daleko chętniej bawił sam w smutnych Grodowiskach, niżeli w wesołej Plennej. Tam się często zamykał w pokoju matki, stare familijne papiery przeglądał i niektóre z nich przepisywał. Wyjmował ztamtąd niektóre listy i uczył się ich na pamięć; a ową małą Szydłowskiego karteczkę i jego dwa listy pisane z Sybiru zamknął w biórku matczynem, i klucz schował do siebie. Kiedy nie był familijnymi papierami albo książkami zajęty, szedł na wieś i odwiedzał istniejącą jeszcze wciąż szkółkę, pomagał wikaremu w nauce dzieci, egzaminy robił, i z oszczędzonego przez siebie grosza sprawiał im podarunki. Nie nowiną mu było

przejsć się także pomiędzy chaty wieśniacze. Miłato była zawsze dla niego przechadzka. Albowiem lud wiejski, który go widział wstępującego w ślady swej matki, nie tylko że go serdecznie ukochał, ale otoczył go w swej wyobraźni jakimś wyższym urokiem. Kiedy Dobiesław się pomiędzy chaty przechodził, wszystko co żyło, wybiegało ku niemu; a takie to były natenczas uśmiechnione twarze, takie otwarte serca, takie usta wymowne, że biednemu chłopcu nieraz oddech się zamykał z radości. — „Panicz nasz ukochany! — wołały do niego wybiegające na podwórze kobiety, — czy jeszcze pojedziecie do szkół do Lwowa? Ej! już nie jedźcie! Zostańcie z nami. Szkoda wam tak się poniewierać pomiędzy obcymi ludźmi.“ — Toż samo mówili mu także i starzy, z którymi często na rozmowy zasiadał na przyzbie. — „Dobra rzecz, — powiadali mu oni, — nauczyć się czegoś w szkole, niezła i przetrzeć się trochę po świecie; tak to robili wszyscy nasi panowie. Ale bogdaj czy z nich który przywiózł jaką pociechę ze świata! Jako najstarsi tutaj zapamiętają ludzie, każdy z nich przywoził ze sobą tylko smutek i łzy. Byli i tacy, co śmierć przywozili, jako wasz dziad, którego zwano Bernardem, Pannie! świeć jego duszy; drudzy i po śmierć pojechali, jako wasz ojciec. Rozważcie to sobie

paniczu. A kiedy wam się okaże, że lepiej zostać, to pozostańcie tu z Bogiem i z nami. Macie wy tu coś długów na waszem państwie, macie i brata do spłaty; ej! ale bywało tu nieraz gorzej z waszymi ojcami, a przecie nie poginęli; toż i wy nie zginiecie.“ — Słuchiwał Dobiesław tych rad braterskich z uwagą i rozrzewnieniem; nieraz łzy mu stawały w oczach; oh! jakże chętnie-by został! — Ależ trudno osiadać na roli tak niedorosłym młodzieńcem. Dlatego tłumaczył im krótko, czemu zostać nie może, a zresztą tę sprawę omijał. Natomiast zaś pilnie się u nich wywiadywał o Nowickiego rzady i sądy, o gospodarstwo, o sprzedaż, o kupna i wszelkie sprawy. I dziwnych nieraz dowiadywał się rzeczy. Nowicki przeciążał chłopów pańszczyzną, szachrował ich pracę, lichwą ich dusił i ssął bez miłosierdzia; a jak gospodarował, to tylko Pan Bóg mógł wiedzieć i on sam. Wiadomości te niezmiernie Dobiesława martwiły, odbierały mu sen, zatruwały mu każdy pobyt w Grodowiskach. Lecz nie umiejąc na to inaczej poradzić, przestrzegał tylko gospodarzy co starszych i roztropniejszych, mówiąc im: — Strzeżcie się tego człowieka, to ciężki wróg! A na Nowickiego tylko z pod oka spoglądał, jak najrzadziej bywał u niego, traktował go prawie z pogardą, bardzo skrupulatnie się z nim rachował, lecz

zresztą milczał jak grób. Zaledwie tu potrzeba dodawać, że Nowicki także nie lepiej patrzył na niego, bo wiedział o wszystkich jego postępkach; grzecznym był wprawdzie, słodkim, usługnym, ale przed żoną mówił o nim temi samemi słowy: — To ciężki wróg!

Krzesław był innej zupełnie od brata natury; tamtego zawionął jeszcze lotny i idealny duch romantyzmu, tego już nie dosięgnął; ale i z tym niełatwą miał sprawę Nowicki. Krzesław, choć młodszy dwoma laty od brata, był realniejszym od niego. Lubił polować, strzelać do celu, jeździć na koniu, wyprawiać najrozmaitsze pustoty; lecz przytem bywał także myślącym i nieraz chodził tak zatopiony w myślach, że prawie sprzecznie było widzieć tak pracujące wewnątrz, a takie wiotkie pacholę. O czem myślał, Bóg raczy wiedzieć. To wszakże pewna, iż ani historyczne pamiątki po ojcach nie obudzały jego zajęcia, ani nawet pamięć półświętej matki nie wprowadzała go w rozrzuwienie; książek nie lubił, pieśni nie spiewał, pomiędzy chaty wieśniacze nie chodził. I do Grodowisk nie często zaglądał, a dosyć chętnie bawił u Nowickiego. Tam wypytywał się o gospodarstwo i jego szczegóły nadzwyczajnie ciekawie. Dlaczego się rola nawozi? Kędy się siewa żyto a kędy pszenica? dlaczego się sadza

tyle ziemniaków? dlaczego się pędzi gorzelnię? — musiał mu jego opiekun opowiadać dokładnie i szczegółowo. Toż kiedy potem z swym opiekunem do Grodowisk pojechał, dziwnie dowcipne zadawał mu czasem pytania. — Dlaczego pan Nowicki u siebie sam pędzi gorzelnię, a w Grodowiskach ją wydzierzawia? Dlaczego w Plennej zręby po lasach tak małe, a tu takie wielkie? Dlaczego u pana Nowickiego nie ma żadnego tartaku, a tu ich jest dwa i jeszcze trzeci stawiają? — Dziwił się nieraz Nowicki tym zapytaniom; ale przecież nie przyjechał na ferye, ażeby na nie odpowiedzieć nie umiał, zwłaszcza takiemu, który właśnie przyjechał na ferye. Zadał mu nawet raz Krzesław pytanie: — Dlaczego w Grodowiskach nie masz ani jednego żyda, kiedy karczem jest tyle; zaś w Plennej tylko jedna jest karczma a aż trzech żydków koło dworu się kręci? — Nie trudno było Nowickiemu odpowiedzieć na to pytanie, bo Klaudya przykazała to testamentem, tak jak i utrzymanie szkółki i zakładu dla dziewcząt, czemu opiekun wcale się nie przeciwiał, bo im więcej było tego rodzaju wydatków, tem oczywiście lepiej było dla niego. Ale gdy wszystko-wiedzący Krześ zapytał go w końcu: — Dlaczego pan Nowicki trzyma sam propinacyą w Grodowiskach? — już mu zaledwie mógł się

usprawiedliwić. Pomimo to wszystko wszakże daleko mniej się nim frasował niż Dobiesławem; owszem przeciwnie lubił go bardzo, cieszył się nim i często o nim powiadał: — To mój wychowanek; będzie też z niego człowieczek nie lada.

Spostrzeżenia te wszakże ciągle go w jego chciwości trzeźwiły, i usiłował przynajmniej być ile możności ostrożnym. Jakoż istotnie gospodarował bardzo pilnie w Grodowiskach, znaczne z nich wyduszał dochody i spłacał długi pozostałe po ojcach, godząc się zawsze z wierzycielami a zapisując sumy pełne w rejestrach.

A tymczasem obudwóm chłopakom jak tylko mógł tak dogadzał. Niebawem też zdarzyła się szczególniejsza do tego sposobność. Oto w trzecim roku po śmierci matki Krzesławowi zachciało się koniecznie przenieść się na naukę do Wiednia. Zaraz na to zezwolił opiekun; lecz podał myśl, aby się już obadwa przenieśli do Wiednia. Ale Dobiesław nie chciał, mówiąc stanowczo: — Ja pozostanę we Lwowie. — Jakżeż się nie zgadzał Nowicki, aby z nich który ustąpił! Ale na próżno. Każdy z nich, choć taki młody, miał kark nieugięty. I pozostało przytem: Krzesław pojechał do Wiednia, Dobiesław pozostał we Lwowie.

Tak się obadwa bracia rozeszli; oni się podobno już bardzo dawno rozeszli!

Odtąd przez lat dwa nie było żadnej odmiany. Przyjeżdżali obadwa zawsze na ferye, widywali się z sobą, przepędzali razem kilka tygodni, i znowu się rozjeżdżali. I w ich charakterach nie było żadnej odmiany. Wznosili się wzrostem, mężnieli ciałem, przytomnieli umysłem, potężnieli rozumem i w ogóle bardzo znacznie się wykształcali, ale każdy w swoim kierunku.

Nadszedł wreszcie rok 1846. W Krakowie, we Lwowie, a osobliwie w tej części Małopolski ważne i krwawe zaszły wypadki. W postaci potwornej, w towarzystwie mordów, krwi i pożogi, zestąpiła nowa idea na ziemię; ale przybrała ciało i z światła marzeń przeszła w świat rzeczywisty. Nowa i wielka została spełniona ofiara, a krwawym dla niej ołtarzem stała się podkarpacka kraina. Okolica, w której leżały tutaj wspomniane majątki, uległa może najkrwawszym mordom ze wszystkich. Ale i w tej okolicy nie obeszło się bez pięknych i wzruszających wyjątków, które najlepiej dowodzą, o ile takiej natury wzburzenie ludowe było wyjątkiem w całości. Wyjątkowo i dziwnie pięknie postąpiły sobie gromady państwa Grodowisk. Zbiegły się one zaraz pierwszego dnia do głównego folwarku, obległy pałac, spichrze i wszystkie gospodarskie budynki, i jak najpilniej utrzymywały to obleżenie. Śród tłumów oble-

gających przechadzali się dzień i noc starcy, strzegąc jak najsurowiej, ażeby i kołka nigdzie nie wyciągnięto. Przybiegały tam do nich od czasu do czasu rozmaite bandy zbójckie, chciały napadać, palić, rabować; ale każdą z nich zacna starszyczna odpędziła okrzykiem: — Dajcie tu pokój! to sieroce dobytki! — I każda z nich została odprawioną, a po bokach i przepłoszoną kijami. Przyszła wszakże nakoniec banda taka, z którą się trudno było rozprawić pogodnie. Waleczni Grodowiszczanie poszli z nimi w załębki i już ich nawet cokolwiek nakładli po oborach, po stajniach i przed drzwiami pałacu. Ale i to nie pomogło; i było już wielkie niebezpieczeństwo. Natenczas wpadła starszyczna na myśl szczęśliwą, choć rozpaczliwą, i zaczęli wołać: — Dajcie też pokój! a co wy tutaj weźmiecie? Zubożali tutaj mieszkali szlachcice. W pałacu same stare graciska, spichrzysko próżne, a w stajniach same wywłoki. Chcecie się popaść, to chodźwa do Plennej! — Chodźwa do Plennej! — ryknęły całe setki rozpasanego gminu — i w małą godzinę cała ta chmura gradowa spadła na dwór Nowickiego. Przezornym był Imć Nowicki i miał dwóch żołnierzy u siebie, ale dwóch tylko; a choćby był miał ich więcej, to i ci-by nie byli pomogli. Jakoż porwano go wcale niespodziewanie, wystraszonego

jak upiór i z włosami stojącemi jak szczotka na głowie. Strach go ogarnął paniczny. Ale go nie zabito; tylko wygarbowano mięciuteńko jak safian. Oddano mu z lichwą wszystkie jego uciski i lichwy. I zawieziono potem do miasta, ażeby się też przesiedział w turmie. Do turmy, oczywiście że go nie przyjęto, i wyprawiono napowrót do domu; lecz za to w domu przeleżał się kilka miesięcy, dopóki mu się włosy nie uleżały na głowie, bo bardzo długo jeszcze był przestraszonym.

Przyszedłszy nareszcie szczęśliwie do zdrowia, pierwszą jego rzeczą było dowiedzieć się, co się dzieje z jego pupilami. O Krzesława był spokojny, i temu rzeczywiście nic się nie stało; ale Dobiesław gdzieś zniknął ze Lwowa bez wieści. Nowicki rozpisał listy do wielu osób o niego, ale nic się od nich nie dowiedział. Wypadło mu tedy samemu pojechać do Lwowa; a tak dopiero dowiedział się, iż Dobiesław jeszcze w miesiącu marcu uznał za dobre na jakiś czas za granicę wyjechać. Dowcipny opiekun domyślił się wprędce, dlaczego Dobiesław przedsięwziął tę podróż; jakoż rzekł o nim: — Nieodrodna to jest jak widzę ojcowska krew! Jak Bóg Bogiem, tak nic z niego nie będzie....

W parę miesięcy potem odebrał list od Dobiesława z Paryża. Dobiesław mu pisał, iż nie myśli wcale powracać, że zaczął chodzić na kursy

nauk technicznych, że myśli się kształcić w tym zawodzie do końca, zaczem go prosi, ażeby mu tam przysyłał choć cokolwiek pieniędzy. Wiele nie potrzebuje, a nawet go prosi, ażeby miał więcej względu na jego młodszego brata, niżeli na niego, bo on już coś i zarobić potrafi; ale zarobek w Paryżu jest trudny, zaczem jakiejś pomocy potrzebuje koniecznie.

Zacny opiekun długo rozmyślał nad tem, czy ma mu posyłać pieniądze, czy nie? Mógł mu nie posyłać, i usprawiedliwić się tem, że nie powinien posyłać. Ale rozważywszy i to i owo, zaczął mu cokolwiek posyłać, przynajmniej tyle, ażeby z nędzy i głodu nie powrócił do kraju.

Tak minęło znowu dwa lata, — i nadszedł rok 1848. Nowe idee w łagodniejszej już wystąpiły postaci, lecz chciwe wcielenia się, przedewszystkiem innem zniosły poddaństwo i robocizny. Nowicki, chociaż narodem i rodem, fortuną i tradycjami, tak nowy, jak jego własne nazwisko, z początku nie mógł wcale tych nowych rzeczy zrozumieć; ale zniesienie pańszczyzny doskonale zrozumiał. Obrzydła mu wtedy i opieka, i jego wieś własna, i całe jego życie. Obsłuchawszy się dobrze, co ludzie mówią, i czego pragną, i co zamierzają, niezmiernie mu żywo przed oczyma stanęły jego przeddwuletnie safianowe wspomnienia; i jakoś

straszliwie gorzko mu się zrobiło na ustach. I postanowił sobie zamknąć się w Plennej i nic już nie mieć do czynienia z tym światem, w którym już nie ma ani pańszczyzny, ani dominiów, ani mandataryuszów. Jakoż kiedy natenczas nagle się przed nim zjawił Dobiesław, on go z całego serca przywitał, szczerze namawiał, ażeby Grodowiska odebrał, i podejmował się sam zaraz mu pełnoletność wyrobić, do której już tylko jednego brakowało mu roku.

Ale Dobiesław wtedy, gdyby nawet już był pełnoletnim, nie był-by za nic brał się do gospodarstwa. Jakoż tylko wpadł do Grodowisk, swój ukochany kościółek odwiedził, pomodlił się u grobu rodziców, swoich ukochanych wieśniaków pozdrowił, serdecznie za obronę im podziękował — i do Lwowa odjechał.

Tyle go widział Nowicki.

Dopiero prawie w rok potem doszła go jakaś wieść głucha, jakoby ten nieodrodny syn swoich ojców znowu się znalazł w tem położeniu we Lwowie, iż mu się zdało rozumniej za granicę wyjechać. A ponieważ natenczas Węgry były tak dobrze jak za granicą, a do tego jeszcze tak blisko, więc wyjechał do Węgier. Natenczas troskliwy opiekun już tylko ręką machnął na niego i rzekł: — Wiekuiste ladaco! Oczywiście, że go tam

kędyś zabiją, ot! i taki koniec będzie wszystkiemu.

Potem już tylko zasłyszał o nim, iż go nie zabito, choć był na wojnie, — z której wyszedłszy zdrowo, znów do Paryża pojechał i znów się tam zaczął uczyć nauk politechnicznych. Ale już wtedy ukochany przez niego Krzesław był w Grodowiskach....

OD ROKU 1849...

Po wielkich rewolucjach społecznych, dokonanych w Europie zachodniej pod koniec XVIII. wieku, gdzie wszelkiego rodzaju utopie i ideały zapragnęły wcielenia, nastąpiła reakcja — a przestraszony próżnią pustych idei duch ludzki zwrócił się silnym prądem ku myślom realnym. Wiek XIX., wiek niezliczonych wynalazków technicznych i wielkich robót uutilitarnych, jest przede wszystkim wiekiem realnym. Mimo to jednak nie możemy go nazywać wiekiem reakcyi. Albowiem wpatrzywszy się głęboko w jego oblicze, widzimy jawnie, iż pomimo silnego popędu ku realizmowi, pielęgnuje on bardzo starannie wszystkie zdobycze postępującego w wolnomyślnych ideach ludzkiego ducha — a właśnie jego dążność uutilitarna jest najpewniejszą rękojmią, iż którekolwiek z owych idei okażą się ogólnie zacnemi

i użytecznemi, te niezawodnie wprowadzi w życie. Postępuje on sobie jak mąż dojrzały, który jest sobie zupełnie świadomym, wie zawsze, co robi, a co przedsięwzięcie, tego z pewnością dokona. Wiek XIX. zostawi po sobie Europę w nowej zupełnie postaci — i będzie jednym z największych wieków w historii.

Ale ludzie są słabi, i nie masz w nich światła bez cienia. Takiemi są narody, — taką jest ludzkość, — takiemi są wszystkie ogólne i szczegółowe dążności. Jak w towarzystwie Chrystusa musiał się znaleźć słaby Piotr i Judasz zdradziecki; jak na jednym i tem samym drzewie znajdują się zazwyczaj i jeszcze niedojrzałe i już przegniłe owoce: tak także każdemu ogólnemu popędowi ludzkiego ducha towarzyszą zazwyczaj prądy szczególne, które albo w kształcie wybujałych fantasmagoryi go uprzedzają, albo się za nim wloką w postaci błotnistych strumieni. Ztąd w Europie dzisiejszej, w gruncie rzeczy tylko poważnie realnej, spostrzegamy prąd pewien, który jest brudno-materyalnym. Jest nim wygórowana plutokracja, burmistrzowanie giełd, bałwochwalstwo mamony. Jest to brud społeczeństwa, ohyda ludzkości, żyjąca w błyszczącym kale jej dusza zwierzęca.

Co w Europie, wielkiej i znajdującej się w stanie normalnym, odbyło się normalnie i na

wielką skalę, to w Polsce, znajdującej się w stanie wyjątkowym, odbyło i odbywa się w sposób właściwy i na skalę pomniejszą.

Owa wielka rewolucya z końca XVIII. wieku odbiła się u nas tylko jak cień; i ten cień zniknął ze sceny publicznej z upadkiem kraju. Żył jednak tajemnie, uduchowiał się, wzrastał do świadomości, przychodził do samopoznania; aż wreszcie, zespoliwszy się z duchem narodowym, wstającym jak Anioł Zmartwychwstania w chórze pieśni cudownych, uczuł się w sobie. Tak prowadził swój czynny żywot dalej, dopóki nie przerwał wiekowych tam i nie zdruzgotał sobą resztek średniowiecznych zabytków społecznych. Dokonałszy tego wielkiego dzieła, które zresztą po innych prowincjach polskich dopiero się teraz odbywa, uległ takiemu samemu losowi, jak jego starszy brat w Europie. Jego dalsze dążenia pozostały na chwilę wstrzymane — a jego miejsce zajęła reakcya. Idealne poetycznego ducha prądy zastąpiły myśli realne. Jak w Europie, tak też i u nas przeważa dzisiaj poważny realizm. Ale jak w Europie, tak samo i u nas realizm ten nie jest reakcją w ścisłym tego słowa znaczeniu; tylko jest w części już dokonaniem zrealizowaniem tych myśli, które niedawno jeszcze należały do ideałów, a w części dążnością do nabrania potrzebnych

sił w celu zrealizowania tego, co jeszcze pozostało ideałem do dziśdnia. Tak należy rozumieć dobę dzisiejszą, bo taką jest; inaczej może ją tylko rozumieć rozpacz albo zła wola.

Jednak jak w Europie, tak u nas, za tą dążnością poważną i zacną, polegającą na zdrowiu serca, na trzeźwości umysłu i wspólnej braterskiej pracy we wszystkich możliwych kierunkach, — wlecze się brudny materyalizm, sztydzący z serca, przeczący ducha, hołdujący mamom, próżen wszelkich miłości i wszelkich boleści, a natomiast wiążący się ściśle z mordercami dobrego ducha. Nie objawia on się jeszcze ani w plutokracji, która dopiero wyrasta, ani w bankach i giełdach, których jeszcze nie mamy — i zapewne mieć będziemy odmiennymi o wiele od innych europejskich; ale objawia się w pojedynczych indywiduach, które się z każdym dniem mnożą, zasiewają tę ziemię, i same nurzając się w kale błotnistym, zarazę jego roznoszą pomiędzy braci.

Takie charaktery w szczególności studyować i rysy ich obrazowo przedstawiać — a w ogólności dobitnie wykazywać różnicę pomiędzy dążnością narodowo-realną a materyjalno-plutokratyczną: jest, zdaje mi się, nietylko przyzwoitem, ale i obowiązkiem zajęciem dla każdego myślącego człowieka.

W tym celu przypatrzymy się bliżej charakterowi Krzesława.

Krzesław wychowywał się w Wiedniu. Skończywszy rok ósmnasty a zarazem i kursy filozoficzne, stanął na drodze rozstajnej. Miał on przed sobą dwie drogi: politechnikę i prawo. Którą z nich wybrał, rzecz niewiadoma. Jego listy, pisywane do Nowickiego, były zanadto enigmatyczne, ażeby z nich można było cokolwiekbyś wyrozumieć. Nowicki był przekonania, że jego wychowanek, obyczajem wielu synów szlacheckich, którzy mają widoki na jakąkolwiek spuściznę, poprostu niczego się nie uczy. Zdaje się jednak, iż tak nie było. Czegoś on się tam uczył — i to z takim zajęciem, iż go od tej nauki nie odwróciły nawet lata takie, jakimi były rok czterdziesty szósty i ósmy. W tym ostatnim roku Krzesław nawet nie przyjechał na ferye — a opiekunowi usprawiedliwiał się tem, iż ma bardzo wiele zajęcia. Nareszcie pod koniec roku 1849 wrócił do kraju — i zajął się do Plennej.

Nowicki, jeszcze zawsze dosyć zgryziony wypadkami ostatnich lat, prawie rzetelnie się jego przyjazdem ucieszył. Znalazł on go do niepoznania zmienionym. Z Krzesława zrobił się teraz wprawdzie nie bardzo ładny, ale bardzo przyzwoity młodzieniec. Był dosyć słusznego wzrostu, o

wiele jeszcze słuszniejszy od Nowickiego, zbudowany barczysto, muszkulannie i silnie, może nawet cokolwiek niezgrabnie. Twarz miał obdłużną, cery żółtawej i zapadniętą cokolwiek, nos na niej duży, oczy modre zmiennego blasku, a usta wąskie, bardzo spokojne, ale z wybitnym wyrazem ironii. Był jasny blondyn, nosił wąsy niewielkie i bakenbardy ogromne. Ubierał się wedle mody angielskiej. Toaleta taka jest ze wszechmiar bardzo wygodną. Albowiem odbija w sobie jakąś elegancyą oryginalną — a dopuszcza obszerność sukien, grube i tanie materye, a nawet bawełnianą bieliznę. Nie ulega przytem tak zmiennej modzie, jak n. p. francuzka, zaczętem jest trwała. W całej jego postaci zresztą przebijał się rozmysł i jakaś niby powaga; mówił zazwyczaj pomału i z flegmą; lecz przytem miewał rozmaite humory, dowcipny, wesoły, melancholiczny, groźny, złośliwy i hipochondryczny.

Kiedy do Nowickiego zajechał, był swobodnym, wesołym i dobrodusznym jak dziecko. W rozmowie nie zdradzał najmniejszego dowcipu, a w zdaniach swoich okazywał się czasem dziwnie płytkim i lekkomyślnym. Nowicki, znawca ludzi dość biegły, przypatrywał mu się z uwagą i sam nie wiedział, co-by miał myśleć. Zdawało mu się prawie niepodobieństwem, ażeby się z tego dow-

cipnego Krzesia coś takiego zrobiło. Ale to różnie ludziom się zdarza, osobiwie po wielkich miastach. Teatry, bale, kobiety, czegoż to nie zepsują na świecie! Tak myślał Nowicki; ale jeszcze zawsze obserwował Krzesława, ba śledził go nawet za każdym krokiem. Nie trudno mu to było, bo Krzesław siedział przez dni kilka u niego....

Nowicki miał dwie córki i jednego synka. Córkom było na imię Kasia i Marysia, a synowi Jasio. Jasio był w szkołach we Lwowie i był jeszcze małym; córeczki były w domu i już prawie dorosły. Kasia była starsza a młodsza Marysia. Obydwie były do siebie dosyć podobne, obydwie nie brzydkie, blondynki o oczach błękitnych, o pęci białej i delikatnej i bardzo świeżutkich rumieńcach. Obydwie miały ułożenie prowincjonalne, to znaczy takie, jakie się zwykle spotyka w rodzinach takich, które nie mają dawnych tradycji, a nowożytna cywilizacya jeszcze im się nie dostała w udziale. Zaczem obydwie mówiły galicyjskim językiem, źle po francuzku i źle po niemiecku, źle grały na fortepianie i źle tańczyły; ale z czułością pielęgnowały geranium i hiacynty, umiały rozmaite wiersze na pamięć i czytały z zajęciem polskie romanse, gdzie często bogaty panicz żeni się z ubogą panienką, dlatego że jest

poczciwą. Toż czy dlatego, czy już z natury, były one obydwie poczciwe, i były-by zapewne daleko lepiej miały w swych główkach, gdyby były miały innego ojca. Ale jeszcze i tak, poszedłszy za męża stosownie, mogły być wcale niezłemi żonami, bo były eiche i skromne, umiały szyć i haftować, i znały się jakokolwiek na ogrodzie i kuchni. Ta tylko jedna była pomiędzy nimi różnica, iż Kasia była słabowitą cokolwiek, a Marysia zdrowa jak jabłko.

Krzesław, bawiąc u Nowickiego, szczególnie był zajęty temi dziewczętami. Bóg nie wie, czego z nimi nie dokazywał. Grał im na fortepianie i spiewał, tańczył z obydwoma naprzemian, grał w ciuciubabkę, w kotkę i myszkę i wszystkie gry takie; zgoła że przez czas jego pobytu w Plennej tamtejszy drewniany dwór szumiał ciągle jak ul i prawie kręcił się w koło. Nowicki dosyć łaskawem okiem na to spoglądał, sam się śmiał do rozpuku i mówił: — Ej! toż-to ci nasi panicze bywają puści, jak wicher w polu.

Jakoż dopiero po czterech dniach przystąpił Krzesław do swego opiekuna i rzekł mu: — No, panie ojcze, trzebaby nam do Grodowisk pojechać. Nowicki odpowiedział mu na to z wyrzutem: — Przecież sobie Pan przypomniałeś nareszcie! — I zaraz rano pojechali obadwa.

Nowicki, obserwujący Krzesława z wielką bacnością, był już przekonany natenczas, że z niego zrobił się pędziwiater zwyczajny, nieroztropny i lekkomyślny, jak wielu. Ale jak był niezmiernie niedowierzający z natury, tak jadąc z nim do Grodowisk, powiedział sobie na drodze: — Tutaj dopiero go poznam gruntownie. — Tymczasem przyjechawszy tam, Krzesław przeszedł jego najgorsze oczekiwanie. Zamiast przypatrywać się wszystkiemu z jak największą uwagą, ciągle był zamyślony i roztargniony; przebiegał obory i stajnie jakby był ślepym, o wołach rozumiał, że to są krowy, o koniach, że to źrebięta, a na owce ledwie że rzucił okiem i o ich liczbę zapytał. Gorzelnię i browar oglądał niby-to dosyć uważnie, wypytywał się, dlaczego to oboje nie jest jak zwykle wypuszczonem w dzierzawę; a nawet spytał, czy można-by gorzelnię jeszcze wypuścić albo pędzić na siebie. Ale wszystkie te pytania rzucał tak prędko i zawsze tak był czemś innem zajęty, że choć mu Nowicki opowiadał ze szczegółami, że gorzelnia i browar jest w zupełnym porządku i obydwie te fabryki mogą być użyte jeszcze w tym roku, jednakże bardzo wątpił, ażali go Krzesław rozumiał. Natomiast zaś, kiedy przyszło do oglądania pałacu, lustrował go po wszystkich kątach, oglądał piece, okna, posadzki, oglądał nawet i

ogród, i rzekł potem z dziecinną radością: — Doskonały-to dom, ogród przepyszny; można tu mieszkać nawet z Wiednia wróciwszy, i byle go troszeczkę odświeżyć, będzie to bardzo przyzwoite mieszkanie. — Pojechali nareszcie do po-
mniejszych folwarków; ale ledwie jeden zwiedzili, Krzesław już się unudził i rzekł: — Ot! wiesz pan co, dajmy temu pokój a wróćmy lepiej do Plennej. — Usłyszawszy te słowa Nowicki, popatrzył na niego z pod oka i pomyślał sobie w duchu: — Tego mi właśnie potrzeba! Tamten jest za granicą i nie powróci; a z takim dudkiem nie trudną będę miał sprawę.

Jakoż gdy Krzesław powrócił do Plennej, zajął się znowu tak samo jego córkami jak przedtem. I znowu cały dwór szumiał jak ul i kręcił się w koło....

Natenczas Nowicki, wzięwszy wszystkie szczegóły swojej dziewięcio-letniej opieki na pilną roz-
wagę, przyszedł do przekonania, iż nie masz stosowniejszej i lepszej pory do pozbycia się tego ciężaru, jak teraz. Jakoż postanowił zrzucić ją z siebie — a gdyby Krzesław sam tego nie zapragnął, naprowadzić go na to. Wyrachował sobie bowiem Nowicki, iż interes ten, doprowadzony teraz do skutku, musi się stać koniecznie dla niego korzystnym; bo na Grodowiskach bez

pańszczyzny już mu nic nie mogło zależeć; gdyby tę opiekę jeszcze zatrzymał, to już nie na długo, bo Krzesławowi brakowało do pełnotetności tylko półtora roku — a przecież zawsze lepiej mieć do czynienia z małoletnim, niż z wieloletnim lub z sądem. Ułożył sobie tedy plan cały, podług którego wedle jego mniemania musiało pójść wszystko najlepiej...

I tak to poszło istotnie. Wprawdzie z Krzesławem nie łatwe było porozumienie, bo dziwnie był roztrzepanym; ale zawsze łatwa sprawa, bo pragnął wieloletności i posiadania Grodowisk, jakby tego każdy na jego miejscu zapragnął. Toż kiedy mu nareszcie Nowicki wytłumaczył, o co to chodzi, on tylko zawołał z radością:

— Ach! panie Nowicki! oddaj mi pan Grodowiska koniecznie. Ja sobie tam pałac odnowię, umebluję się, wyekwipuję się, ożenię się — a tak może się przecież jakoś nasze interesa poprawią.

— To, to, to! — mówił Nowicki, — ożenić się panu, koniecznie się ożenić a dobrze. Nie wiele wziąć, ale gotówką, bo to rzecz główna. Nie wiele też panu potrzeba, bo na Grodowiskach przecież już długów nie ma do zbytku....

— Jakżeż tam hipoteka nasza? — pytał w roztargnieniu Krzesław.

— Ani się pan spodziewasz! — rzekł z tryumfem Nowicki, — dwadzieścia tysięcy Towarzystwa i dziesięć tysięcy niegdyś pana Fabiana, a zresztą ani groszyka. A przecie Grodowska warte i bez pańszczyzny.... przynajmniej.... tak mi się zdaje.... że ze sto tysięcy.

— Doprawdy? warte to tyle? — zawołał Krzesław i patrzył na Nowickiego z uwagą.

— Ja nie wiem.... teraz dobra nie mają ceny.... ale tak mi się zdaje.

— Dwadzieścia tysięcy Towarzystwa i dziesięć tysięcy niegdyś pana Fabiana, — powtarzał Krzesław, przechadzając się w zamyśleniu po pokoju, — dlaczego niegdyś?

— Cha, cha, cha! — śmiał się Nowicki, — a czyż-to pan nie wiesz? Przecież panu o tem pisałem. Ja wypłaciłem tę sumę z mojej kieszeni.

— Pan? och! — zawołał Krzesław z czułością, — jak mi Bóg miły, tak o tem nic nie wiedziałem, chociaż powinienem się był tego domyśleć, bo przecież pan Fabian wytoczył nam był proces jeszcze przed czterema laty.

Poczem zaczął coś mrugać do panien do drugiego pokoju i wybiegł tam zaraz, grał, śpiewał, tańczył — i nie było go blisko godziny. Za godzinę dopiero powrócił i rzekł prędko do Nowickiego:

— No, więc tak, pan mi Grodowiska oddajesz, ja się mebluję, ekwipuję, żenię.... i tak dalej. Ale proszę pana, czy nie można-by zarazem znieść mojej małoletności? Jako małoletni, cóż ja tam pocznę? czy jest co w kasie pieniędzy?

— Coś jest, ale niewiele.

— No, widzi pan. Z czem-że tu się brać do gospodarstwa? Małoletniemu nikt nie pożyczycy ani grosza, chyba pan? co? —

— Wieloletność, — rzekł na to Nowicki, omijając to ostatnie pytanie, — można-by dla pana z łatwością uzyskać, zależy ona prawie głównie odemnie. Ale.... widzi pan, panie Krzesławie.... to jest rzecz sumienia. Czy pan jeszcze nie jesteś za młody?

— Ale fe, panie Nowicki! — ej! cóż tam? czyż mi pan tego nie zrobisz? Ja wiem, że ja się panu jeszcze lekkomyślnym wydaję, ale jak pana kocham, ja będę dobrze gospodarował. Przecież święci garnków nie lepią; a zresztą będę miał pana zawsze w sąsiedztwie, czyż mi pan będziesz odmawiał swej rady? —

— No, zapewne. Gospodarstwo nie wielka-to rzecz. Ale jest jeszcze i inna kwestya. Co panu po pełnoletności teraz, kiedy pan interesów ze mną nie skończysz i tak, chyba aż za rok albo i później. Bo przecież muszę panu złożyć rachunki;

a to niemała jest praca. Ja mam je wprowadzić w jak największym porządku; ale przez te zamieszki i rewolucye nie odbierał ich sąd odemnie przez całe trzy lata; więc nim się to wszystko poprzepisuje, nim się podołącza kwity, pokończy rachunki z gromadami, dzierzawcami, propinatorami i tak dalej, nie mało się trzeba będzie napocić.

— Rachunki? — rzekł Krzesław, — a na co to tych rachunków, przecież ja panu wierzę.

— Cha, cha, cha! — śmiał się znowu Nowicki, — ja wiem, że mi pan wierzysz, ale rachunki muszą być złożone przed sądem koniecznie.

— A przecież zdaje mi się, — rzekł Krzesław, — jeżeli ja wieloletność uzyskam, to pan będziesz miał do czynienia nie z sądem lecz ze mną. A ja nie miał-bym też roboty, jak słuchać pana rachunków! W kasie nie ma pieniędzy, a pan mi chcesz zdawać rachunki! A po kata mi takich rachunków!

— Zapewne.... można-by się obejść i bez rachunków. No, ale widzi pan.... rzeczy te muszą być zawsze w jakimś porządku. W takim razie musisz mi pan dać zakwitowanie, żem te rachunki złożył istotnie i że pan nie masz do mnie żadnej pretensyi.

— Ale dam, dam, co pan sam zechcesz! Czy miał-bym też sumienie żądać od pana jakich rachunków! Żywiłeś nas obudwóch przez tyle lat,

pospłacałeś cokolwiek długów, oddajesz mi Grodowiska.... Boże mój! czyż tu trza jeszcze rachunków? —

— Hm! nie ma wątpienia. Bóg mi jest świadkiem, żem robił dla panów, co było można. No, ale jeszcze jest jedna kwestya.

— Cóż tam takiego?

— A co będzie z panem Dobiesławem? —

— A.... zająknął się Krzesław i zrobiwszy minę arcy-naiwną, rzekł — a ja nie wiem.

— No, — rzekł na to z uśmiechem opiekun, — na dowód, jak pana kocham, poradzę panu i na to. Pan mi dasz zakwitowanie w swoim i Dobiesława imieniu, i na tem koniec.

— No, to dobrze, — zawołał prędko Krzesław; — daj-że mi pan prędko papieru i pióra, abym to raraz napisał; a jutro pojedziemy do sądu. Nowicki znowu się śmiał do rozpuku:

— Ale to nie teraz, nie teraz, bo przecież pan jeszcze jesteś małoletnim.

— A.... prawda. No, więc jak przyznanie wieloletności uzyskam; ale jutro jedziemy. Bo przecież nie mogę wiekować w Plennej; ja-bym się tu obalamucił do reszty....

To rzekłszy, wybiegł natychmiast do panien. A Nowicki, nakładając sobie lulkę i zasiadając w krześle wygodnem, rzekł do siebie z uśmiechem:

— Jakiego diabła ten człowiek uczył się w Wiedniu, tego ja nie wiem.

Ale nie było żadnego dobrego ducha przy nim, który-by mu powiedział: — Ej! strzeż się, Galicyaninie! bo masz do czynienia z Europejczykiem, a to naród dziwnie jest sztuczny i niebezpieczny. —

Nazajutrz pojechali obadwa do sądu i zaraz podali o wieloletność. Po zrobieniu podania Nowicki odjechał do domu, a Krzesław się został. Usprawiedliwiał się tem, że zastał tu wiele znajomych i chciał-by był z nimi zabawić; korzystał też z tej sposobności i odebrał od Nowickiego pozostające w kasie Grodowskiej pieniądze. Bawił się w mieście przez dni kilkanaście i bawił się tak dobrze, iż na drodze prostej uzyskał zaraz uznanie wieloletności i wyrok przeznaczony dla siebie schował w zanadrze — a na nieprostej uzyskał to, iż wyrok przeznaczony dla Nowickiego kędyś się między sądem a komornikiem tak zbłąkał, iż się dostał do jego własnej kieszeni. Zaczem przyjechał do Plennej, i zaraz zabrawszy opiekuna ze sobą, odebrał z rąk jego rodzicielski majątek w posiadanie fizyczne.

Ukończywszy tę pracę, Nowicki był zadowolony niezmiernie. Miał dobrą wioskę, miał kapitały i rozmaite jeszcze pomiędzy ludźmi zasoby;

ze zmianą poddańczych i gospodarskich stosunków, do których żadną miarą nie mógł się zastosować, nie pragnął już niczego więcej, jak żeby mógł żyć w spokoju i odpoczywać po pracy; ale jeszcze do tego srodze mu przeszkadzała ta nieznośna już teraz opieka. Dziś wszakże już i tę przeszkodę przezwyciężył szczęśliwie, i niczego już się nie potrzebował obawiać. Jakoż oddawszy Grodowiska Krzesławowi, zaraz do Tarnowa wyjechał, gdzie miał jeszcze ze swymi dłużnikami niektóre sprawy do załatwienia; wróciwszy ztamtąd, pojechał do Lwowa w takich samych interesach; ale je wszystkie pozałatwiał szczęśliwie, pogodził się jak mógł, poodbierał należitości, i wesół, uśmiechniony, uszczęśliwiony jak nigdy, do Plennej powrócił. Około Bożego Narodzenia był już całkiem uporządkowany w swych interesach i zaczął w spokoju i szczęściu pożywać owoce swej pracy.

Tak też jednego rana siedział sobie spokojnie przy kawie, i czuł się bardzo szczęśliwym. Ubrany był w szlafrok ciepły, jakiego jeszcze nigdy nie miał w swem życiu, miał na głowie aksamitną czapkę z kutasem, o jakiej od dawna już marzył a jeszcze dotąd nigdy na jej kupienie się nie odważył, palił lulkę z takiego bursztynu, o który się przez czternaście dni targował we Lwo-

wie i z ciężkiem płacił za niego westchnieniem. Córeczki mu przygrywały na fortepianie — a on się do nich uśmiechał, bawił się dymkiem niebieskim i marzył sobie słodziuchno. Lecz o czem marzył? Oto o tym lekkomyślnym Krzesławie. Nie widział on go oddawna, ale już coś o nim zasłyszał. Szaleniec ten wypuścił propinacyą na lat sześć i zabrał pieniądze z góry. Oczywiście wypuścił za bezcen. Prócz tego sprzedał od razu pięćdziesiąt morgów co najlepszego lasu; oczywiście, że sprzedał za bezcen. A co z temi pieniędzmi zrobił? Puścił gorzelnię i browar na na własną rękę i sto wołów postawił na stajni. Nowicki się śmiał do rozpuku. W tych czasach, takiemu frycowi, brać się do takich przedsięwzięć szalonych! Cha, cha, cha! Obaczymy my, obaczymy. Podobno za jakie trzy lata inny już dziedzic będzie na Grodowiskach....

A kiedy tak sobie marzy, on najszcześliwszy o sąsiada nieszczęściu, pokazał mu się woźny u drzwi.

— Jak się masz, panie Grzędzielski! A co mi tam przynosisz dobrego? Pewnie uznanie wieloletności pana Krzesława? No pokaż-no pokaż.

Zbliżył się woźny i położył przed nim ogromny fascykuł papierów, ale tak ogromny, że Nowicki aż zawołał: — A to co? — Spojrzał nań

bystrem swem okiem, odczytał nadpis, — i jak był pułap wysoki u niego, tak aż pod sam pułap wyskoczył.

Był to pozew Krzesława o zdanie rachunków z dziewięcio-letniej administracyi Grodowisk; pozew jakiś potworny, opatrzony przynajmniej setką allegatów. Kiedy Nowicki spadł od pułapu na powrót na ziemię, w której-to podróży i owa aksamitna czapeczka spadła mu z głowy, i bursztyn ten piękny potłukł się w drobne kawałki; rzucił się zaraz jak wściekły na woźnego, porwał go obydwiema rękami za barki i zawrzeszczał mu w twarz: — A gdzie jest addykcyja wieloletności? Gdzie.... jest.... addykcyja.... wielo.... le.... tno.... ści!... wołał Nowicki, trzęsąc woźnym jak próżnym workiem. Woźny już umarł ze strachu: — Ja nie wiem. — Poczekaj! wołał zasapany Nowicki, odskakując od niego, — ja was nauczę! ja wam pokażę.... Zaczem siadł w krześle tak twardo, że aż wszystkie nóżki się odezwały, i sapiąc mocno jak miech, zaczął przeglądać pozew. Przy tym przeglądzie co moment to włos burzył na głowie, to się pięścią uderzał w czoło, to pluł przed siebie: W imię ojca i syna! — A potem mówił: — To szlachcic? to taki szlachcic? frant, hultaj, szubiennik.... I mruzczał coś sobie pod nosem, mając ustawicznie ustami. — Przez ten czas wo-

żny stał ciągle przy drzwiach, oddychał po tym okrutnym przestrichu, a odetchnąwszy, pokłonił mu się i rzekł: — Proszę Jegomości o *viales*. — Co! — krzyknął Nowicki, — *viales!* poczekaj.... A to mówiąc, porwał go za kark i wyjechał na nim za drzwi tak gładko, jak jeszcze na żadnym koniu nie jeździł. Tymczasem córeczki, które się dotychczas tylko przemocą powstrzymywały od śmiechu, zaczęły głośno chichotać, a kiedy słyszały wracającego ojca, zaczęły grać na fortepianie, aby śmiech zagłuszyć. I grały dalej — a on chodził po izbie jak opętany. Zerwał się wreszcie, uchwycił cybuch leżący na ziemi i rzucił się z nim na córki. Oczywiście, że je w oka mgnieniu wypłoszył. Tak został się sam — i tak już sam siedział w pokoju, nie dopuszczając nikogo do siebie przez dwa dni. Co robił, nikt o tem nie wiedział; uważano tylko, że przez te dwa dni prawie nic nie jadł i nie spał, świecił po całych nocach i czytał, codziennie po dwa razy kazał sobie zajeżdżać i codziennie po dwa razy wypręgać. Nabrał nareszcie odwagi, powziął myśl akąś jeniałną, i dnia trzeciego rano do Grodowisk pojechał.

Odszukawszy w Grodowiskach Krzesława, znalazł go nie w pałacu, ale w gorzelni. Nowy dziedzic Grodowskiego państwa ubrany był

w krótki kożuszek barani, wielkie buty juchtowe i czapeczkę z futerkiem. Odbierał sam gorzałkę podług wagi i miary — i zaraz ją chłopom sprzedawał, którzy całą tę izbę zalegli, odmierzając jednemu dwa garnce, drugiemu garniec, trzeciemu kwartę a pacholęciu kwaterkę. Obaczywszy Nowickiego, rzucił na niego okiem z pod brwi nastroszonych i rzekł jakby z niechcenia: — Jak się pan masz, panie Nowicki! nie spodziewałem się widzieć pana u siebie. — Ale sobie tem swojej roboty nie przerywał bynajmniej, tylko szynkował dalej, odbierając pieniądze i oglądając każdy półgroszek z uwagą.

Obaczywszy to Nowicki, ugrząśł w tłumie chłopów jak czółno w błocie, i tak zakamieniał na chwilę. Otworzył oczy, otworzył usta, i patrzył na Krzesława, jak gdyby na dziwowisko; a w tem zapałtrzeniu się tak się głęboko zamyślił, że aż zapewne zapomniał, gdzie się znajduje, bo po chwili pięścią uderzył się w czoło i zawołał: — Oj! ty stary ośle! a gdzie-żeś ty miał oczy? Na te słowa jakiś sędziwy wieśniak tuż przed nim stojący, obejrzał się na niego i rzekł: A wam panie Nowicki jeszcze się jak widzę śnią dawne czasy, kiedyście nas zdzierali lichwą ze skóry, a który się nie wypłacił, zamykali do turmy. Godziło-by się wam przecie pamiętać, że te czasy

już przemieły, a teraz uczciwemu gospodarzowi ani łąać nie można... Usłysawszy Nowicki wspomnienie o lichwie, zatrząsł się jakby w febrze i syknął na starca jak gad, któryby chciał ukąsić a nie może.

Tymczasem Krzesław skończył swoje szynkar-skie zajęcie i rzekł do Nowickiego: — Pan masz zapewne do mnie jakiś interes....

— He, he, he! — zaśmiał się dawny opiekun, — wolne żarty pańskie....

— No, to proszę ze sobą, — rzekł sucho Krzesław, i sam idąc naprzód, pociągnął go za sobą po wschodkach do gorzelnianej izby, która się znajdowała na piątrze.

Nowickiemu się zdawało, że wszystko tu jeszcze zależy od pierwszego impetu; jakoż rzucił się zaraz z załamanymi rękami na Krzesława, wołając:

— Panie Krzesławie! a cóż to się stało! w jakież-to ręce ohydne popadłeś! jakież-to pisarz pokątny panu taką zbrodniczą dał radę! Czy pan wiesz przynajmniej, co tam jest popisano w tym pozwie? —

Ale Krzesław się odsunął od niego i rzekł takim głosem, jakby kto drwa rąbał tępym toporem:

— Krótko i węzłowało, panie Nowicki, bo ja nie mam czasu. Więc najpierw: żaden pisarz po-

katny mi rady nie dawał, żaden adwokat tego pozwu nie pisał, tylko ja sam, ja sam, jak mnie pan widzisz. Powtóre: czego pan chcesz? Jeżeli pogadanki, to przepraszam; jeżeli układów, to słucham.

Nikt nie opisze tego wzroku, jakim na niego spojrzał Nowicki. Jakoż po chwili dopiero przekrzywił twarz, spojrzał na niego z pogardą i rzekł: — A kochany, serdeczny, roztrzepany i niby głupi! — splunął i odszedł. Krzesław się rośmiał. Ale Nowicki się nie śmiał. Zebrawszy wszystkie swe siły, jeszcze raz zaczął moralną perorę, mówił niezmiernie zawile, wspominał jego przecznych przodków i świętą matkę, katechizm i ewangelię, miłość bliźniego i obowiązki wdzięczności. Co wszakże znudziło Krzesława, jakoż go porwał raźnie za rękę i rzekł wskazując na ścianę:

— Patrz pan, oto jest mur. Mów pan dalej do tego muru, a ja tymczasem zbiegnę do gorzelni; wróciwszy, odpowiem panu tak samo, jak gdybym tego wszystkiego wysłuchał.

To rzekłszy, już chciał wychodzić. Ale Nowicki go porwał za poję:

— Zaczekaj pan. Będę mówił inaczej.

I wtedy dopiero zaczęła się walka....

Niejednokrotnie zdarza się słyszeć dziś skargi na brak waleczności pomiędzy ludźmi. Ja tego

nie widzę. Ludzie są tak samo waleczni dzisiaj jak zawsze; tylko walczą pomiędzy sobą o co innego. Dawniej walczono o ziemię, o siedziby rodzinne, o honor, o cześć, o sławę, o wiarę; dziś walczą ludzie o chleb — o pieniądze. Widać nawet te walki zbliska, ile tam jest szalonej odwagi, ile wytrwałości, cierpliwości, zaciętości, chciwości: kto wie, ażali-by nie trza powiedzieć, że ludzie dziś walczą daleko zawzięciej niż kiedykolwiek. Tak walczył Krzesław z Nowickim. Dziwna-to była walka....

Stanęli obadwa naprzeciw siebie na środku izby. Krzesław przycisnął lewy łokieć do boku, a prawą rękę zgiał tylko i miał ją swobodną jakby do cięcia. Niał też dźgał przeciw swemu opiekunowi, a za każdym wyciągnięciem ręki uderzał, nie ręką, ale bronią daleko straszliwszą, bo słowem. Tak rzucił mu w twarz wycięcie lasów, stawienie tartaków bez wiedzy sądu, dzierzawienie propinacyi, gorzelni, browaru za bezcen, frymarczenie pańszczyznę, wywożenie paszy do Plennej, wykradanie nawozów, zakupywanie długów niżej wartości, pofałszowanie kwitów nareszcie. I jechał tak na nim aż do samego kąta. Rzucił się na ten ostatni argument Nowicki, i przybrawszy taką samą postawę jak Krzesław, przejechał się znowu na nim w kąt przeciwległy. I Bóg wie,

wiele razy tak przekrzyżowali izbę na wzdłuż i na poprzek, na wskos, na lewo, na prawo i w koło; dość, że tak niermordowanie walczących zastał ich wieczór. W wieczór przenieśli się do pałacu podobno dla posilenia się jakąś przekąską. Ale ani pomyślał z nich żaden o tej marności. Orzeźwieni świeżem powietrzem, zaczęli walkę nanowo. Piękne tam miejsce było do takiej bitwy; takie obszerne salony! A lubo we wszystkich razem tylko jedna gorzała łożówka, nic im to nie szkodziło; tacy nowożytni rycerze nie potrzebują światła, ich broń trafi i pociemku. Jakoż bili się mężnie aż późno w noc. O północy Nowicki się zmęczył, opuściły go siły, upadł bezwładny na krzesło, lecz upadając powiedział; — Do jutra! Jakoż nazajutrz dopiero prawdziwa zaczęła się walka; dzień wczorajszy to tylko był wstęp. Cały ten dzień bowiem zeszedł im tylko na wyrozumieniu szczegółowych pretensyi; o głównej ich treści jeszcze ani mowy nie było. Nazajutrz dopiero wyszła na jaw ich treść. Usłyszawszy ją, Nowicki padł jak długi na ziemię, zerwał się znowu, wyrwał dwie garście włosów z swej głowy, rzucił się wreszcie na krzesło i zapłakał jak dziecko. Krzesław zażądał od niego czterdzieści tysięcy guldenów! — Trzeba było więcej godziny, zanim Nowicki przyszedł do przytomności. Zaczęli

znowu zlekka się ścierać ze sobą; Nowicki dziwne finty wymyślał, mówił coś o jednej z swych córek, o znacznym posagu, o większych jeszcze zapisach, wspomniał nareszcie o kupnie Grodowisk, za które-by suto zapłacił; ale Krzesław ani sobie dał mówić o tem: — Nic a nic, tylko gotówka. Wiele pan dasz? — Ileż pan żądasz? — Słuchaj pan, mówił Krzesław znów takim drewnianym głosem, — ja pana dusić nie chcę, targować się nie lubię, dasz mi więc trzydzieści tysięcy i kwita z wszystkiego. —

Nowicki spojrział na niego i zaśmiał się tylko boleśnie a może i trochę radośnie, bo mu się zdawało, że kto opuszcza od razu dziesięć tysięcy, ten jeszcze wiele opuści. Tymczasem Krzesław naglił:

— Wiele pan dasz? — Nowicki długo się dusił, kręcił się, jęczał, aż nareszcie wyjęczał:

— Dam panu pięć tysięcy i kwita. — Piekielnym śmiechem, tak że aż wszystkie ściany zadrzały, zaśmiał się na to Krzesław i zawołał:

— Bądź zdrów, panie Nowicki! już zaprzężono dla pana! — I wybiegł z komnaty. Nowicki siedział spokojnie jedną godzinę i drugą i trzecią: a Krzesława nie było. Bardzo go to niecierpliwiło, ale postanowił sobie poczekać. I wygrał w tem: Krzesław był młodszy. Jakoż istotnie przybiegł nareszcie.

— No cóż pan tam wymyśliłeś? — Nowicki zaczął mówić długo i kędzierzawo, pochlebnie i z umizgami, i skończył wreszcie:

— Ażeby pana ochronić od wstydu takiego, jaki panu ten brzydki proces przeciw opiekunowi przyniesie, dam sześć tysięcy i kwita. — Śmiej się pan z tego, — rzekł Krzesław, — ja się wstydu nie boję a pan dasz więcej. — Nie dam. — Ej! dasz! — Słuchaj pan, — rzekł z energią Nowicki, — niech mnie siarczyste pioruny.... niech to i owo, że nie dam więcej. Bierz to, bo nie dam nic. — Nic, a! to znów inna kwestya, — rzekł z uśmiechem Krzesław, — a ja ci powiadam, że dasz daleko więcej. — Nie dam. — Ej! dasz! — Jak mi Bóg miły, tak nie dam. — A ja ci mówię, że dasz! — zawołał niecierpliwie młodzieniec i wybiegł do dalszych komnat. Ale w ten moment powrócił i trzymając jakiś papier otwarty, jakiś kwit ile się zdaje, tuż przed Nowickiego oczyma, zawołał groźnie: — A to co, panie Nowicki! Dasz teraz, czy nie? — Obaczywszy ten papier Nowicki, w pierwszym momencie tak okrągiło oczy wytrzeszczył, jak dwa staroświeckie zegarki, w drugim zbladł jak umarły, a w trzecim runął jak długi na ziemię. Teraz zdawało się, że już zemdłał istotnie. Ale Krzesław pochylił się nad nim i tylko ten jakiś papier fatalny potrzy-

mał mu przed oczyma, a to go otrzeźwiło w ten moment.

Wtedy się zerwał ze ziemi, ale tylko na klęczki. I tak na klęczkach objął kolana Krzesława i łkał i płakał, zalewając się łzami. Odsunął się Krzesław od niego, a on włókł się za jego nogami, tarzał się po ziemi, wyrywał całemi garściami włosy z najeżonej czupryny, tłukł głową o dębową posadzkę, jak potępieniec, wołając przytem: — Krzesławie! miej litość nademną! zabij a nie męcz! o mój Krzesławie! — Wstań-no, wstań, mój Nowicki, mówił spokojnie Krzesław i podniósł go z ziemi. — No, wiele dasz? — Ach! co ci nie dam! — wołał z lamentem Nowicki, — wszystko ci dam.... duszę ci dam.... krew moję ci dam.... ostatni grosz wysączę dla ciebie! — Ale ile na liczbę? mów wyraźnie. — Ach! dam! ja dam.... no, cóż już mam robić? dam ci siedm tysięcy! — Nie trudno sobie wyobrazić, jak to przyjął Krzesław. Wszystka krew w nim się ścięła, zbladł, zsiniał, zzieleniał, zacisnął pięść i z tą pięścią do swego przeciwnika przyskoczył, jak wściekły, ale tylko zawołał: — Poczekaj!... I runął zaraz z komnaty. Nowicki wyleciał za nim, padł przed nim na kolana w przedsieni i wniósł go prawie na rękach do sali. Wtedy zaczęła się walka zawzięta nanowo. Już tylko odpornie wal-

czył Nowicki, ale rzecz pewna, że i w obronie Troi tak nie walczano. Nim sto guldenów postąpił, zjajał się jakby ubiegł dwie mile; nim tysiąc postąpił, pot ciekł mu z twarzy kroplami. Północ już była, a on dopiero dawał dwanaście tysięcy. A po północy ci waleczni rycerze udali się na spoczynek. Nazajutrz rano walka się rozpoczęła nanowo. Z odświeżonemi siłami i świeża przybyła walęczność. Jakoż jeszcze do południa walczyli ze sobą. Dopiero w samo południe zmienili cokolwiek broń. Już się za ręce ściskali, całowali się, przyciskali się wzajemnie do piersi. Nareszcie przecież stanęli obadwaj razem na dwudziestu tysiącach — i obyczajem rycerskim, ręce sobie podali. Tak się skończyła ta wielka bitwa trzech-dniowa, jakiej podobnej napróżno szukać-by w dziejach; lecz za to ileż podobnych, ileż jeszcze zaciętszych i krwawszych toczy się dzisiaj codzien-nie! I nikt na nie nie zwraca uwagi, natury ich nie docieka, pamięci ich nie zapisuje w historią; tylko oko badacza je widzi, wzdyga się na ich widok i mówi: — Widziałem lwy i tygrysy walczące z sobą o kawał mięsa, hyenę małego dławiającą szakala o kości trupie, gady olbrzymie tłumiące się z sobą o tułów maleńkiej ptaszyny: ale ci ludzie w walkach o chleb i złoto są lwami lwów i tygrysami tygrysów.

Jednak na tem nie koniec. Albowiem Krzesław, zgodziwszy się na sumę, założył jeszcze warunki wypłaty w następujących słowach:

— Dwadzieścia tysięcy wypłacisz mi pan gotówką dziś, albo nigdy. Dziesięć tysięcy, które pan masz na Grodowiskach, pozostają przy gruncie: lecz zaraz jutro wytoczysz mi o nie proces, wystawisz Grodowiska na licytacją i sprzedasz.

Długo się jeszcze targował Nowicki o te szczegóły, bo już Krzesławowi nie ufał, a wcale nie mógł zrozumieć, na co mu ta sprzedaż Grodowisk potrzebna; ale zrozumiał nareszcie i po pieniądze do domu pojechał. Za dwie godziny powrócił, wypłacił, zakwitowanie odebrał i wszystko to załatwił dosyć spokojnie. Zaczem się pożegnali, pięknie i grzecznie, jak przyzwoitym ludziom przystało.....

OD ROKU 1850....

Nie pamiętam już, w której czytałem książkę szeroko rozprowadzony dowód, że ziemia jest istotą żyjącą. Powiedziano tam, że ma obieg krwi, oddech i duszę, jak człowiek. Bardzo to piękna poezya, lecz nie oparta na prawdzie; bo ziemia nie jest istotą żyjącą. Ale ta ziemia, nie licząc w to ducha żyjącej ludzkości i pozostawianych na niej przez niego śladów, nie licząc nawet w niej działających tajemnych sił, któremi duch wiekuisty do nas przemawia, już przez samą roślinność swoją, tak obfitą i bujną i wiecznie żyjącą, wywiera na nas nie ziemskie, ale głębokie czysto-duchowe wrażenie. Wrażeniu temu ulegały wszystkie narody od początku do dziś-dnia. Ludy pierwotne, niewykształcone, półdzikie, żyjące głównie wyobraźnią i sercem, ulegając temu wrażeniu, rozbudzały w sobie uczucia po-

bożne i wzniosłe. Dobroczynnym siłom tej ziemi, których nie umiały zrozumieć działania, nadawały w swej wyobraźni żywot indywidualny; przedstawiały sobie wiosnę w postaci pięknej dziewczicy, a bogów leśnych w postaci starców; widywały w jeziorach wodne boginki, w sitowiacz wiły i karły — a kiedy żniwa nadeszły, dziękczynne spiewano pieśni na cześć bogini ziemi, która w postaci dojrzałej niewiasty na złotym rydwanie przejeżdżała się między łany, rozsypując hojnemi rękami kłosa zbóż i owoce. Wszystko żyło koło nich — i miło im było pracować około tej ziemi, która żywemi oczyma tylu bogów i bogiń patrzyła na wszystkie ich radości i smutki.

W czasach późniejszych, kiedy poznano jednego Boga na niebie, ustała cześć i miłość dla utworzonych błakającą się wyobraźnią półbogów; lecz przeto nie ustała bynajmniej cześć i miłość dla ziemi. Owszem przeciwnie, wykształcone pod wpływem chrześcijańskiej religii uczucia miłości, wdzięczności, skromności, wzniosły się jeszcze daleko wyżej; rozbudzono w sobie miłość ojczyzny, a lubo ją podniesiono do ideału, główną jej podstawą była przecież tylko miłość tej ziemi. Jakoż z miłością koło niej chodzono. Nie wyobrażajmy sobie średnich wieków w grubszej ciemności, niżeli nam je bezstronna przedstawia historia. Umysł

ludzki ówczesny w ogóle w ciasnych kręcił się kołach; lecz przeto nie był wcale mniej dowcipnym i zmyslnym niż dzisiaj. Żądza posiadania bogactw i zysków nie była mniejszą, i nie zaniebdywano żadnego środka, aby ją zaspokoić. Rolnictwo stało na niższym stopniu niżeli w czasach dzisiejszych, lecz umiejętność wyzyskiwania ziemi mogła-by śmiało pójść w porównanie z dzisiejszą. Ale pomimo to nikt w owe czasy tak nie wyzyskiwał tej ziemi, jak to się teraz wydarza. Żyło jeszcze natenczas w ludziach zdrowe i szlachetne uczucie, które im powiadało: — Ażaliż może ten kochać swoje ojczyznę, który nie kocha swojego własnego zagona? Ażaliż ludzkim jest pastwić się nad tą ziemią, która cię na świat wydała, która cię karmi i poi, żywi i odziewa, dostarcza niezliczonych roskoszy a nawet zbytków, i wreszcie w własne napowrót obejmie łono, ażeby się twoje kości i prochy nie rozleciały na cztery wiatry? Ażaliż zacnem jest za tyle dobrodziejstw tę młakę twoję wysysać, wypleniać, wyniszczać i potem rzucić nędzy na schronienie? — I chodzono naówczas około ziemi tak, iż miano obfite z niej wyżywienie; kto jej posiadał więcej, ten nawet zbierał bogactwa; ale nikt jej nie wyzyskiwał tak, jakby od jutra już miały na niej mieszkać same dzikie zwierzęta.

W drugiej połowie XVIII. wieku, kiedy rozbudzony duch ludzki zapragnął wszystko pod swe panowanie zagarnąć i nad każdym zajęciem swoje rozciągnąć opiekę, zajęto się również umiejętnie uprawą ziemi. Zaczęto myśleć nad nią, badać, doświadczać, rozumować, i te wszystkie nabytki w ład pewien układać; a tak powstała osobna nauka, która się zwie agronomią. Celem tej nauki, biorąc ją w rozleglejszem znaczeniu, jest: nauczyć człowieka, jakim sposobem przez umiejętną uprawę ziemi może z niej jak największe wyciągnąć korzyści. Jednakże nie jest to tej nauki celem jedynym. Tak rozumieją tylko ci, którzy do agromicznych dzieł zagląдают tylko po specjalne wskazówki, którzy chcą się np. dowiedzieć, jakim sposobem można po jednym nawozie wyciągnąć sześć albo ośm zbiorów, sprodukować pszenicę tam gdzie dotąd się nie rodziła, albo uprawiać rośliny olejne tam, gdzie ich dotychczas jeszcze nie znano. Ale ktokolwiek przeszedłszy naukę agronomii w szczegółach, usiłował ją potem zrozumieć i objąć w całości, co jest obowiązkiem koniecznym każdego oświeconszego rolnika: — ten oprócz celów powyższych i innych tutaj nie wymienionych, widzi w niej jeszcze o wiele więcej. Nauka ta bowiem, acz się zatrudnia tylko samą materią, nie jest próżną ducha bynajmniej. Ci,

którzy ją utworzyli i wciąż nad jej dalszym rozwojem pracują, byli to ludzie znamienitych zdolności, wzniosłych umysłów i wielkiej zacności serca, co widać jawnie we wszystkich ich dziełach. Do uskutecznienia prac takich poważnych trzeba było tak dobrze wyższego natchnienia ducha, jak do wszystkich innych dzieł umysłowych, a najmniej mógł ich usposobić do tego nagi realizm lub zgoła czysto-materyalne widoki. Jakoż rozpatrując się bacznie w tych dziełach, które stanowią główne tej nauki posady, tylko nie chcąc możemy nie widzieć, że tam nie chodzi tylko o sztukę wyzyskiwania jak największych korzyści z ziemi, ale właśnie o wyzyskiwanie jej umiejętne, to jest: uwzględniające bacznie zacność człowieka i przyszłość nastąpić mających pokoleń. Ztąd można śmiało powiedzieć, iż ta nauka agronomii, która sobie zasłużyła na poważne nazwisko nauki, nie powstała bynajmniej na to, ażeby ludziom obecnie żyjącym do zadowolenia ich wrodzonego drapiestwa umiejętnie dopomóc; lecz właśnie na to, ażeby toż ich drapiestwo, pochodzące często z nieznajomości swego zawodu, ile możliwości ukrócić. Nauka agronomii powstała na to, ażeby ślepą chciwość ludzką zamienić w wymagania roztropne i siebie świadome, — poziomy dotąd zawód rolnika przeistoczyć w powołanie pełne

powagi i moralnego znaczenia — a ochroniwszy tym sposobem ziemię od drapieżących po niej zwierząt dwunożnych, zamienić w ogród bujny i wiecznie kwitnący a zaludniony zacnymi i światłymi pracownikami w winnicy pańskiej. Taki jest duch, taki cel, taka istotna dążność nauki agromonii; jakoż tak zrozumiana, nie jest ona czem innym, jak tylko nauką miłości ziemi.

Że tak jest, spodziewam się, iż nikt z ludzi głębiej myślących nie zechce zaprzeczyć. Nie może nawet zaprzeczyć, bo są już dziś na to materyalne dowody. Nauka rolnictwa tak zrozumiana weszła już w życie w Anglii i we Francyi, w całych północnych Włoszech, w całych Niemczech zachodnich. Ktokolwiek tamtędy przejeżdżał i przypatrywał się tamtejszym krainom, ten nie mógł tego nie dostrzedz, z jaką tam pracowitością i z jaką przytem oględnością na przyszłość każdy rolnik uprawia swą ziemię. Pamięta on dobrze przy każdej pracy o korzyści dla siebie, ale nie zapomina nigdy, że ta ziemia mu była kolebką, jest jego mieszkaniem, a kiedyś będzie mu grobem. Przeczornie obliczony pożytek umie on zawsze połączyć z miłością. Ufa on tej ziemi jak swemu przyjacielowi, którego już wypróbował, i powierza jej kosztowne zasiewy; a kiedy jej tyle zaufał, to ufa i więcej, bo wie, że czego mu

ona nie odda dzisiaj, to odda jutro — a czego nie odda jemu samemu, to starannie zachowa i odda jego potomstwu. Żadnego on tam zagona, żadnego klinka nie zostawi bezużytecznie; na brzegowisku, gdzie już i żyto się nie urodzi, posadzi bulwę — a na moczarze, którego osuszyć nie może, zasadzi wiotką łożynę. I łożyna i bulwa przyda mu się przy gospodarstwie; toż za to w miejscu, gdzie już nic pożytecznego nie zrośnie, zasadzi jakiebądź drzewko, które chociaż na nic nie zdatne, przynajmniej jego ziemię ocieni, ożywi ją, upiększy i przyozdobi. Takim jest rolnik wykształcony w swoim zawodzie na nowożytnej nauce rolnictwa. Jest on zacnym i światłym człowiekiem, pożytecznym obywatelem kraju i wiernym synem swej ziemi; żyje z niej, bo koło niej pracuje, ale ją kocha, nigdy jej nie wyniszczy, zawsze podniesie, będzie się za nią bił walecznie i zginie za nią z zapalem....

Dopiero w północno-wschodnich Niemczech, w ziemiach osiadłych przez barbarzyńców oświeconego świata, przez tak nazwanych Prusaków, spotykamy coraz-to mniej takich zacnych i umiejętności rolników. Smutny zaprawdę przedstawiają widok ziemie w Multanach i Wołoszczyźnie; dziko tam rosną melony, kukurudza wystrzela w górę jak modrzew, przenica do trzydziestu ziarn rodzi

a tymczasem całe łany czarnoziemiu leżą odłogiemi. niwa zorana wygląda często jak stradowane bydłem pastwisko, a lud nieoświecony w zmorszniałych chowa się chatach. Ale daleko jeszcze smutniejszym, obrzydliwszym, oburzającym jest widok niektórych gospodarstw pruskich. Albowiem w Multanach rolnictwo znajduje się jeszcze w stanie natury, nie wiele korzysta z ziemi, lecz jej nie niszczy, a lubo rolnik nieumiejętnie zajmuje się ziemią, jednakże pielęgnuje jeszcze dawne rolnicze tradycje, i mocą tychże tradycji, mocą swojego zdrowego serca, kocha tę ziemię jak matkę. Ale tu te tradycje dawno już poginęły, nauka rolnictwa z wyższego stanowiska pojęta jeszcze się nie przyjęła, a na jej miejsce poprzyjmowały się tylko sposoby wyzyskiwania z ziemi jak największych korzyści. Straszne też to stworzenie, taki racjonalny gospodarz niemiecki. Osiada on jak upiór na zakupionym przez siebie albo wziętym w dzierżawę kawałku ziemi, i ssie z niego jak upiór jego krew ciepłą, a kiedy tej braknie, to krew jego zakrzepłą. Ażeby się ta krew rozmarzła, wapni ją i margluje bez końca.... on-by ją ogniem piekł, palił-by rozpalonem żelazem, zdjął-by z niej skórę powierzchnią, ażeby tylko krew z niej wydusić. *Heraus, was darin ist!* jest jego hasłem; to też gdzie tylko jest w niej jaka siła żywotna, gdzie

jakie drzewko jeszcze zostało na pniu, gdzie jaka trawka może urosnąć; wszystko to on wysie, wypije, wysączy. Zostawiwszy nareszcie step dziki po sobie, chociaż zamurowany baniasto, — zostawiwszy trupa bez życia, bez krwi, bez szpiku w kościach, bez skóry na sobie, a ubranego we frak i kapelusz, — pomyka dalej na nowe po ziemiach polskich drapiestwo. Ci ludzie są to nowożytni Tatarzy, którzy z Zachodu zapuszczają na Polskę zagony. Gdziekolwiek przejdą, i trawa po nich nie zrośnie! Gdzie sobie upodobają siedlisko i stale osiedą, żadna siła ich nie wyruszy. Tak już osiedli znaczną część Wielkopolski, najserdeczniejszej ziemi Piastowskiej. Zapędzają się już w Małopolskę. Tutaj im powietrze nie służy.... lecz o tem poniżej.

Natomiast zaś muszę powiedzieć, iż krom wędrownych mamy my już i swoich, domorosłych, tego rodzaju Tatarów. Przychowując od tat kilku rozmaity cudzoziemski inwentarz, dochowaliśmy się na własnej ziemi najrozmaitszych dobytków. Ile tu ras jest odrębnych w tym inwentarzu, już tylko Pan Bóg policzy. Pomieszały się nawet te rasy do tego stopnia ze sobą, iż w niektórem stworzeniu głowa jest czysto zachodnia, grzbiet środkowo-europejski, i tylko ogón się za niem wlecze krajowy. Jak to będzie kiedyś rozgatu-

kować, kiedy czas przyjdzie na gospodarstwo racjonalne i postępowe: także chyba tylko Bóg dopomoże!

Krzeseław był takim domorosłym Tatarem. Jak wpadł do Grodowisk, w kąć przed nim pamięć Batego i Dżengiskana; że już nie wspomnę o innych światoburcach pomniejszych, jakim był np. Nowicki. Ej! cóż-tam Nowicki! Nowicki był już stary; świat idzie szybko naprzód; iść mu do szkoły dziś do Krzesława. Nieszczęśliwe były te Grodowiska! — Odebrawszy je w swoją opiekę, obalił piękną i szlachetną zasadę, której się wszyscy jego przodkowie trzymali, i żydów do wsi przypuścił. Zadzierzawił im propinacyą, na każdym karczmie osadził żyda, na młynie żyda, żydów na tartakach, na blichach żyda. Zbiegło się to tałajstwo jak szarańcza do niego, kłaniało mu się do kolan, służyło mu jak najwierniejsi kozacy, i roznosiło jego sławę po świecie, mówiąc: — Ach to nasz pan! to wielki pan! to pan Żydowski! — Bardzo na to niechętnie patrzyli sąsiedzi, którzy ile możności starali się żydów pozbywać, i dawali mu to do zrozumienia. Ale on śmiał się i mówił: — Piękne to są fantazyje, ale kosztowne. Jak można gospodarować bez żydów? Żydzi to dwór, to ministeryum, to policya, to wszelka służba, to wreszcie na teraz jedyny bank rolni-

czy dla szlachty, dopoki go nie pozwolą założyć.

Postępując tym trybem dalej, zniósł zaraz szkołkę dla ludu i zakład dla dziewcząt, a starego wikaryusza-nauczyciela zostawił za tyloletnie wysługi bez kawałka chleba na starość. Ażeby taki wikary nie zawadzał mu we wsi i nie demoralizował mu chłopów niepotrzebną nauką, zniósł także msze odprawiane przez niego po dwa razy na tydzień w pałacowym kościółku; msze były mu całkiem niepotrzebne. Sfrasowani tem chłopci, przyszli do niego z przedłoženiami i prośbami. Odprawił ich krótko i węzłowato, powiedziawszy im z gąnku oracyą na znany text: „Smaruj chłopa miodem,... i zamknąwszy ją w słowach następujących: — „Mości panowie! Darowano wam pańszczyznę, zniesiono daniny, czynsze i wszelkie robocizny, uwolniono was od opieki dworu i zgoła zrobiono wszystko, ażeby was przerobić na ludzi: a wy.... niech nie dopowiem. Czegóż wy chcecie odemnie? Wy nie jesteście już moimi poddanymi, ani ja waszym panem. Ja obywatel, i wyście obywatele, tacy sami jak ja. Nic już teraz nie mamy do siebie. Czegóż wy chcecie odemnie? Cóżbyście wy powiedzieli na to, gdybym ja przyszedł do was i prosił was, abyście założyli szkołę dla moich dzieci i najmowali msze dla mnie

w kościele? Ruszylibyście ramionami mówiąc: — Jakoś świta mu w głowie. — Otóż to samo i ja wam powiadam. Zaczem bywajcie zdrowi, bo nie mam czasu. — Odeszli chłopci, rozmyślając nad tem i mówiąc: — Nie można mu nic na to powiedzieć; mówi tak samo jak cyrkularny komisarz.

Postępując tym trybem jeszcze dalej, poodpędzał pomału wszystkich gracyalistów, którzy byli tylko na łasce, i poodprawiał wszystkie stare służby, które się spracowały na dworskich usługach i nie mogły już tak pracować, jak za młodych lat. Dla różnych różne wypłynęły ztąd skutki. Ci, którzy się czuli jeszcze cokolwiek na siłach, porozchodzili się po wsi i poosiadawszy w komornem, poczęli żyć z dziennego zarobku. Drudzy co słabsi, pozawieszali torby przez plecy i poszli po chlebie proszonym. A ci, którzy już nie ufali sobie, że stare ich nogi wyniosą ich jeszcze za kopce graniczne, narażając się na najsurowszy gniew pana, zostali. Tak została siedmdziesięcioletnia klucznica, zawiadując służbą babki kościelnej przy pałacowym kościółku a nocując na ławie w izbie czeladnej; tak został dziewięćdziesięcioletni ekonom, który wyrzucony ze swojej komórki palił teraz w piecach wyręczając parobków, i dostawał od nich za to pozostały kęs strawy... Krzesław mu nie dał ani łyżki strawy. Bo u niego

nikt jej nie dostał, kto na nią ciężko nie zapracował. U niego każde stworzenie żyjące było tylko machiną, którą się tylko o tyle smaruje, ażeby się mogła obracać. Tak obchodził się z bydłem, tak nawet z ludźmi. Biada temu stworzeniu, które się w jego dostało ręce. Jego woły były wywędzone jak shaby, konie jak psy; tylko psy miał jak konie, ażeby dobrze strzegły jego obejścia. Wszystko to żywił, ale tylko o tyle, ażeby miało do ciągnięcia potrzebną siłę, więcej jednakże przytem licząc na tę iskierkę życia, która w niem tłała, niżeli na pożywienie. Tę iskierkę życia wypijał on zwolna, wysysał, wysączał, a wysączywszy oddech ostatni, wyrzucał. Bo życie tych stworzeń, które się jemu dostały, było wyłącznie dla niego; on był ich panem, bo za nie zapłacił; ale nie był ich panem, lecz katem.

Tak także postępował i z ziemią. Przede-wszystkiem innem puścił gorzelnię na własną rękę. Lecz on nie pędził gorzelni na siebie dlatego, żeby sprzedał produkty, bo nie miał ich tak wiele; ani dlatego, ażeby drzewo sprzedał, bo mógł je sprzedać każdego czasu; ani też dla nawozu, bo korzyści z nawozu były to za dalekie dla niego widoki; ale tylko dlatego, że gorzelnia podaje sposobność do ustawicznej szacherki. Mając gorzelnię, kupował on ciągle u szlachty oko-

licznej jęczmień, ziemniaki i żyto; kupował tylko u szlachty takiej, którą ostatnia przyciskała potrzeba; przepędzał te produkty natychmiast na gorzałkę, gorzałkę natychmiast sprzedawał; i znów kupował produkty, znowu je na gorzałkę przepędzał, i tak wciąż i bez końca. Tym sposobem małym kapitalikiem w krótkim czasie kilka razy obrócił, czasem i kilkanaście, i zyskał pięćdziesiąt i osmdziesiąt procentu; a że ten zysk był krwawą pracą, był łzami, był czasem nędzą a zawsze piekielną krzywdą jego sąsiadów — a co mu do tego? — „Gdyby ten zysk był nie wpłynął do jego kieszeni, to byłby wpłynął do kieszeni żydów. Ażaliż nie lepiej, że zostanie w kieszeni szlacheckiej?“ — To było jego usprawiedliwienie się, to była jego zasada.

Zasadę taką daje się dziś słyszeć co dzień, co godzina, co chwila. Wszyscy ją dziś powtarzają, — jest ona sztandarem powiewającym nad temi krajami, jest jakby hasłem dnia dzisiejszego. Nie przeczę temu, iż leży w niej jedna z koniecznych potrzeb naszych, jedna z prawd zasadniczych tej ekonomii krajowej, której wprowadzenie w życie jest nam potrzebnem i bez wątpienia nie mało nam przyniesie korzyści. Lecz nim wyłożę, o ile zasada ta da się pogodzić ze zasadami, które są od niej daleko potrzebniejsze i wynio-

ślejsze i świętsze, już tu muszę ostrzedz, iż jest to jedna z zasad najniebezpieczniejszych, jakie kiedykolwiek przypadły do smaku Polakom — a na jej dnie leży nie brud, nie kał, lecz trzęsawisko bezdenne. Jakoż nim ta zasada wejdzie w życie praktyczne, — teraz dopiero wchodzić zaczyna, — trzeba się nad nią zastanowić bardzo wszechstronnie, bardzo głęboko rozważyć, a nim ją przyjmie jakibądź człowiek albo stowarzyszenie, jak najściślej jej oznaczyć granice. Trzeba się nad nią zastanawiać tak bardzo dlatego, iż duch przemysłowo-handlowy owiewa dziś coraz bardziej umysły i staje się obecnej chwili coraz przeważniejszą dążnością. Trzeba się wreszcie zastanawiać nad nią dlatego, iż my Polacy, od najdawniejszych czasów do dnia dzisiejszego, ze wszystkich narodów najłatwiej popadamy w ostateczności. Dowodem na to choćby najpobieżniejsze tylko wejrzenie w historią.

Kiedy w wieku XIV. owionęła naszych praojców dążność wyzyskiwania korzyści z ziemi, i zjawily się zarazem przykłady najprostszą drogą wiodących do tego środków: to ani wiek jeden nie minął — a wolni aż dotąd chłopci zostali zamienieni w poddanych i wszystkie wsie zaludnione zostały pańszczyźnianem poddaństwem. Kiedy się między znamienitszem rycerstwem zjawila chętka

uzyskania przewagi polityczno-społecznej, to w oka mgnieniu jakby z pod ziemi wyrosło możnowładztwo i wzniosło się do takiej przewagi, jak nigdzie. Kiedy za przewodem wielkiego Zamojskiego została rzuconą zasada jednomysłności na sejmach, to w oka mgnieniu przeszła w życie i krew, i w postaci *Liberum veto* dotrwała prawie do końca. Kiedy niebawem potem na mocy swych przywilejów zaczęła w politycznem znaczeniu bujać szlachta, to już w pół wieku tak wybujała, że podobnego stanu nie znajdujemy w żadnej innej historyi. Kiedy tę szlachtę za czasów Saskich owionął duch biesiadnictwa i wygodnisiowstwa, to tak w tych biesiadach rozkisała, jak żadna inna na całym świecie. Kiedy za Stanisława Augusta została wniesioną moda ubiorów i obyczajów francuskich, to w kilka lat cała Polska pozrzucała kontusze i fraki przybrała. Rozdzieleni na odrębne prowincye, nie możemy się wziąć na oko w całości; lecz przypatrzwszy się n. p. tym ziemiom, o których tu głównie mowa, widzimy jawnie, iż jeszcze i po rozbiorze towarzyszy nam tak samo gorączkowa pochopność do każdej upodobanej przez nas nowości jak dawniej. Kiedy po roku 1830 zaczęły się u nas zasiewać zasady demokratyczne, to wszyscy się do nich przyznali ryczałtem, chociaż zapewne zaledwie dziesiąty

dokładnie rozumiał, o co właściwie chodzi. Kiedy w roku 1848 wniesiono zasadę dorazowego zniesienia pańszczyzny, do dni kilkunastu cały kraj się na nią podpisał, chociaż ani dwudziesty nie wiedział, jaka będzie właściwa tej zasady donosność. Kiedy nareszcie po roku 1848 zawionął nas duch reakcyi, zreagowało wszystko co żyło, nawet domokraci, nawet demagogowie, nawet rewolucyoniści. Do dnia dzisiejszego nastąpiła jak miemam znowu niejaka równowaga w umysłach; ale za to wystąpił na scenę duch przemysłowo-handlowy....

Kiedy do rzeczy ważniejszych i wyższą mających wartość tak w obec Boga, jak w obec historyi, nie masz sposobności i pory, nic piękniejszego, jak wyswobodzić się z niewoli żydowskiej, opanować niektóre dziedziny przemysłu i handlu, podnieść rolnictwo, zagospodarować wioski, wbić się w zapasy, ażeby to było na kiedyś.... Bogu na chwałę, ludziom na pociechę. Ale dziwno mi się wydaje, gdy czytam i słyszę ludzi mówiących o rzeczach tak trzeźwych, jakimi są przemysł i handel, z tak arcy-nietrzeźwym zapałem. A jeszcze daleko dziwniej, gdy widzę tej nowej epoki już gotowe jednostki, które uprzedziwszy wszelkie obywatelskie Towarzystwa agronomiczne i spółki handlowe,

wzięły się na własną rękę do przemysłu i handlu. Zatrważający to widok! Tyle zapału, tyle energii, wytrwałości, zapobiegliwości, odwagi, pracy, — dla kawałka martwego kruszcu; to jest okropne! Myśląc o tem, pomimo woli nasuwają mi się wspomnienia dziejowe, które mnie uczą, jak zawsze łatwo i prędko naród nasz dał się nakłaniać do nowych dążeń — i jak zawsze do takiego nawrotu lub zwrotu dość było przykładu kilkunastu lub kilkudziesięciu jednostek. I śni mi się wtedy ta niegdyś potężna i świetna Holandia, która swojego czasu burmistrzowała po wszystkich morzach, posiadała kraje rodzące perły i złoto, patrzyła z piętra na Niemcy i Francją, a szła o lepszą z Hiszpanią i Anglią, — a która dziś.... chowa bydło i robi sery niesmaczne.

Ale porzućmy sny, a wróćmy do rzeczy realnych, wróćmy do Krzesława. Jako nieumiejętny, lecz tylko chciwy zysku i zręczny w tym zawodzie gospodarz, gospodarował wedle takiej samej zasady w ziemi. Nie ufał nikomu, więc i ziemi nie ufał. Gospodarował na dziś, nie na jutro. Więc tylko co najpewniejsze kawałki ziemi pozasiewał jęczmieniem, zasadził ziemniaków jak mógł najwięcej, a resztę łąnów uprawił owsem. Do tysiąca korcy owsa wysiał w pierwszym roku. Takie kolosalne zasiewy owsa można spotkać tylko na ma-

łopolskiem i czerwono-ruskim Podgórzu, gdzie wbrew przekonaniu całego świata, nie żyto lecz owies jest ziarnem najlichszem. Ale ma to swoje powody. Uprawa owsa nadzwyczajnie mało kosztuje, a jego zbiór, przypadający najpóźniej, uskutecznia się najłatwiej i także najtaniej, bo za liście na ściólkę, za drzewo i inne tym podobne materiały, których się nie liczy wartości. A chociaż taki tryb gospodarstwa jest poprostu tatarskim, bo żadne ziarno tak po tatarsku nie wyplenia gruntu jak owies, to na to nikt nie uważa: *Après moi le deluge!* — Najmniej na to uważał Krzesław, bo on oprócz wrodzonego tatarstwa jeszcze i inne miał myśli, które jednak dotychczas chował jeszcze w tajemnicy. Temi myślami wiedziony, ile tylko mógł wapna napalić w Grodowiskach, pakował je w ziemie nizkie i wilgotne, a jeszcze jakokolwiek silne. Na wapnie uprawiał rzepak, który podówczas w wysokiej był cenie; ale po wapnie nie dawał nawozu, ażeby grunt po takim ogniu ochłodzić, a po wysileniu odżywić, tylko uprawiał na nim wyki, grochy i owsy, ażeby z niego jeszcze tę resztkę siły, która za pomocą wapna została roztworzoną a niespożytą rzepakiem, jak najprędzej wydusić. Tak postępując wszędzie porała wiele łąk, pooddawał pod owies pastwiska, i wogóle, nie znając wcale

wartości zadarnionej już ziemi, skarby tak drogocenne i tak trudno dostępne pomarnował, poniszczył, powysysał, bez najmniejszego względu na przyszłość.

Przywiązując do wszystkiego, co było dla niego dostępnem, tylko tyle wartości, ile z tego mógł wyciągnąć korzyści, tak samo także cenił swoich sąsiadów. Sąsiad, który mu nic nie sprzedał i nic od niego nie kupił, był w jego oczach tem samem, czem była dla niego n. p. lipa stojąca na jego dziedzińcu, na którą żadnej nie zwracał uwagi. Ale za to taki, od którego zakupywał produkty, był zawsze przedmiotem jego szczególniejszych zabiegów. Takiego często odwiedzał, wtórował jego zasadom, grywał z nim w karty, i nieraz jak najnieznośniej się z nim nudził, aby tylko mógł wydrwić od niego kilkaset korcy ziemniaków lub żyta. Wogóle we wszystkich kupnach był niezmiernie przemyślnym — i nie było tego podstępu, którego-by się nie dopuścił, ażeby tylko taniej zakupić. Słowo honoru na ceny fałszywe, — zgoda zrobiona na cenę wyższą a wypłata na niższą, — zamówienie na cenę bardzo wysoką, osadzenie potem na łodzi i kupienie za bezcen, — podstawianie kupców innych, — wykupywanie długów, — zgoda wszystkie takie sztuki, na które-by się żaden żyd

nie poważył, ale które tacy Żydowscy do dziś dnia już doskonale utarli, były jego zwyczajnym trybem handlowym. I dziwna rzecz! żyd, któryby się na taki przemysł odważył, zostałby wyrzuconym za wrota i psami wyszczutym; ale kochany sąsiad zostaje pomimo to wszystko zawsze kochanym sąsiadem. Kochają go, odwiedzają i przyjmują u siebie, chwala go nawet i żyją z nim jak z każdym innym; z takim wiechciem wytartym i brudnym, który dawnymi czasy progu nie śmiał przestąpić tam, gdzie zacna mieszkała rodzina, bo obrus przed nim rzezano, wystawiano go pod pręgierz opinii publicznej i szczwano jak wilka, dopóki się nie poprawił!

Nic ciekawszego wszakże, jak postępowanie Krzesława z żydami. Przed takim chrześcianinem, który pomimo wziętego chrztu wyznaje zasady wiary żydowskiej, żydzi mają zawsze respekt głęboki. Nie jest to frazes, lecz żywa prawda, najłatwiej się sprawdzić dająca. Xiążę X., hrabia X. i panowie X. Y. Z., chociaż ludzie zamożni i światli i zacni, niczem są u nich; ale wielkim człowiekiem, *a groiser man*, jest u nich każdy Imć pan Żydowski. Każdy taki Żydowski stoi zazwyczaj w ścisłych z nimi stosunkach, ma z nimi spółki, od nich ma wiadomości i nawzajem im ich udziela; jak żyd zna stan pieniężny ka-

zdego sąsiada, i najczęściej posiada nawet język żydowski, zwykle nim rozmawiając z żydami. Takim był Krzesław. Nie przeszkadzało mu to wszakże bynajmniej, ażeby nie odzierał tych żydów tak samo, jak chrześcian. Całe setki rozmaitych sztuk jego opowiadano sobie w sąsiedztwie, które powyprawiał z żydami. A miał on bardzo obszerne pole do tego, bo nie było żadnego takiego przedsiębiorstwa ni handlu, którego-by on się nie chwycił, albo do którego-by się przynajmniej nie wmieszał. On handlował zbożem i drzewem, skórami i korą, krupami i mąką, bydłem i końmi; on szuter wozik na szosę, budował drogi i mosty, liwerował siano, owies, słomę, mąkę, chleb, koce, worki i t. d., a wszystko to w spółce z żydami. Gdziekolwiek była jaka licytacja na wydzierzawienie młyna, tartaku, propinacyi, myta, cła, albo jakiegokolwiek transportu, tam wszędzie był Krzesaw; zawsze licytował, nigdy się nie utrzymał, ale też nigdy nie odszedł bez zysku. Na każdym jarmarku i targu on był najgłówniejszą figurą; wszystkie woły obmacał, wszystkim koniom zlustrował zęby, z wszystkimi kupcami się vyharkotał, i Bóg go tam wie, jak właściwie prowadził te sprawy; ale to pewna, że żadne większe kupno się nie zrobiło bez niego, i że zazwyczaj targowy ruch w znacznej części za-

leżał od niego. Doprowadził się wreszcie do tego, iż wszelkie małe żydowstwo całkiem od siebie odtrącił, a żył tylko z samymi wielkimi mężami izraelskiego narodu, którzy też zawsze, przyjeżdżając na targ albo jarmark, przedewszystkiem pytali: — *Ni? Zidowskies i du? — I du. — Git,* będzie dobry targ albo jarmark.

Pokończył Krzesław pod ową porę wszystkie swoje rachunki; bo chociaż niektóre z nich były takie, że on je musiał wypłacać, były za to inne, które jemu przynosiły pieniądze; zresztą uporządkowane rachunki dają kredytowi podstawę, który mu był wtedy potrzebny. Albowiem właśnie natenczas doprowadził był Nowicki proces przeciwko Grodowiskom do końca i wystawił je na sprzedaż publiczną. Na pierwszym i na drugim terminie nikt nie stanął, jak zwykle, a na trzecim Grodowiska zostały sprzedane poniżej wartości. A kto je kupił?

Naturalnie, że Krzesław.

Kupił je za bezcen, za pięćdziesiąt tysięcy. Był to ze wszystkich dotychczasowych jego najlepszy interes. Tym bowiem sposobem odarł swojego rodzonego brata, i odarł go jak brata, do nagiej skóry. Na Grodowiskach było trzydzieści tysięcy długu, pozostało więc do podziału dwadzieścia; z tych wypadło dziesięć dla Dobiesława

— a drugie dziesięć dla Krzesława; ale mocą jego spekulacyjnego rozumu za te dziesięć tysięcy dostały mu się Grodowiska, majątek wartujący nawet pod owe czasy pewnie sto tysięcy.

Tak się prowadzi człowiek, który nareszcie, wedle mniemanych wymagań czasu, ze wszystkich złudzeń wytrzeźwiał — i stanąwszy swym wyjarzmionym od wszelkich przesądów rozumem ponad religią, historią i opinią publiczną, przedsięwziął na własną rękę naprawić to, co lekkomyślnie popsuli jego ojcowie.

Jakże taki człowiek ma się do narodu? do społeczeństwa? jakie prowadzi życie poza obrysem swych interesów? — Krzesław prowadził życie takie, jakie przynosiły ze sobą jego zasady. Co się nie tyczyło jego spraw majątkowych, pieniężnych, handlowych, to go wcale nie obchodziło. O sprawach polskich, politycznych zdarzeniach, o przeobrażeniach społecznych, o naukach, literaturze i sztukach pięknych, nic zgoła nie wiedział i ani o to nie pytał. Polityczne wypadki śledził, ale tylko o tyle, o ile wpływały na kurs pieniężny i obrót handlowy; o kraju także pamiętał, ale tylko o tyle, o ile jego ziemia mogła mu służyć za warsztat do robienia pieniędzy. Historyczne wspomnienia, narodowe tradycje, familijne pamiątki, nie miały dla niego żadnej

wartości. Były to głupstwa u niego; romanse, niegodne rozumnego człowieka. Miał on je niegdyś pomimo swej woli w pamięci, bo go ich wyuczyła jego nieboszczka matka; lecz wychowany w szkołach, gdzie cudzoziemskim uczono językiem, otoczony od młodu przykładami takimi, jakim był jego opiekun, wszystko pomału zapomniał. Pozostała z nich resztkę, kiedy przyszedł do rozumu, własnymi podeptał nogami. Dziś, jako godny członek galicyjskiego narodu, uważał całą przeszłość Polski jako chaos przedpotopowy, który chwalał Bogu, że się przecie raz skończył; nie wiedział, z kąd się wzięła na mapie Galicya; nie wiedział nawet, kto była z domu jego rodzona babka! —



OD ROKU 1852....

Zakupienie Grodowisk zmieniło stan majątkowy Krzesława nagle i prawie do niepoznania. Odebrawszy po rodzicach wedle pojęć rzetelnych pomierny tylko na Grodowiskach posażek, z którego uczciwą pracą mógł sobie wyrobić przyzwoity szlachecki kawałek chleba, stał się teraz panem majątku, który wprawdzie nie był fortuną pańską, ale który już przez samą obszerność swoją miał w okolicy trochę więcej niż zwykłe znaczenie. Po dostąpieniu takiego szczęścia, aczkolwiek to szczęście było poprostu haniebnym występkiem, należało-by się przecież po nim spodziewać, iż już na tem przestanie, zacznie gospodarować uczciwie, ustatkuje się także moralnie — a tak może z czasem choć w części naprawi to, co nabroił za młodu. Miał on już wprawdzie bardzo ciężkie grzechy na sobie; ale był jeszcze bardzo

młody; a człowiek jest tak litościwie od Pana Boga stworzony, że nawet jeszcze przed grobem nie jest mu odebrana możność poprawy. Ale dla Krzesława nie była podobną żadna poprawa, z dwóch mianowicie powodów. Raz dlatego, iż wedle swych pojęć nie powinien on być na żaden sposób przy Grodowiskach pozostać, bo w takim razie mógł-by być z swoim bratem przyjść zawsze jeszcze do nieporozumień z powodu majątkowego podziału; a powtóre dlatego, iż człowiek, który raz w sobie rozbudził chciwość zysku, bałwochwalstwo dla złota, jest nienasyconym jak morze, i nigdy już nie dostąpi w tem życiu spokoju. Tak było także z Krzesławem. Pomimo zakupna Grodowisk nie uspokoił on się bynajmniej. Owszem przeciwnie, jeszcze daleko śmieiej i chciwiej rzucał się na najrozmaitsze przedsiębiorstwa, niż dawniej. Wciąż jakieś liwerunki przedsiębrał, budował drogi, stawiał mosty, zaopatrywał szpitale, handlował wołmi, końmi, owcami, zbożem i mąką, gorzałką i drzewem, — i poniewierał się pomiędzy takim hultajstwem, pomiędzy taką plugawą czeredą szachrajów, jakiego żaden z jego ojców byłby się gołą ręką nie dotknął. Prócz tego, zaopatrzony już teraz w większe fundusze, czy w większy kredyt, co w handlu wychodzi na jedno, zaczął się rzucać i na przedsiębiorstwa cokolwiek

większe. Zaczął się kręcić pomiędzy wioski, nabywać długi, pretensye, procesy; zaczął jeździć na licytacye, gdzie wsie sprzedawano, składał wadya, licytował i brał odstępnę. Najbrudniejsza to spekulacya! Włóczył się też podtenczas ustawicznie po kraju, po miastach i dworach, wchodził w towarzystwa, i tam czegoś szukał. Widziano to i powiadano o nim, że szuka żony. Tak też było w istocie. Krzesław chciał jeszcze jeden potężny zrobić interes i ożenić się z panną posażną. Ale jak jego ś. p. dziad Bernard, który także tak szukał żony po świecie, nie mógł jej znaleźć, tak i on także szukał jej napróżno. I jak tenże sam jego dziad oparł się wreszcie o swoje najbliższe sąsiedztwo, tak i on także odnowił starą a nawet na powinowactwie opartą w Starodziekach znajomość, i zaczął tam bywać.

Od pierwszego rozbioru zmieniły się czasy w Grodowiskach, zmieniły się także i w Starodziekach.

Po przeznaczym Tobiaszu Wapnowskim, który zmarł jeszcze przed drugim rozbiorem, nastąpił syn jego Tadeusz. Starożytnie szlacheckie rodziny w Polsce miały i zachowywały tak swoje tradycye, jak panujące rodziny; mieszkał w nich jakiś duch niby własnego kroju, który przechodząc z ojca na syna, rzadko kiedy się zmieniał. Mielśmy rodziny

przedewszystkiem rycerskie, szukające tylko w szabli zasługi i sławy, jakimi byli n. p. Potoccy; mieliśmy rodziny zajmujące się przedewszystkiem polityką i dyplomacją, jakimi byli n. p. Rzewuscy; mieliśmy rodziny bardzo starożytne, krewniące się bardzo wysoko, służące zawsze z wielkiem poświęceniem ojczyźnie, a mimo to nigdy nie łakomiące się na nagrody i dzięki, jakimi byli n. p. Krasiccy; mieliśmy rodziny przedewszystkiem pobożne, rodziny duchowne, palestranckie, spokojne albo awanturnicze, a wszystko to zwykle szło rodem aż do czasów ostatnich. Wapnowscy, acz mniej rozgłośni i sławni, nie odznacжали się nigdy bohaterską miłością ojczyzny, ale zato sławni byli po wszystkie czasy wielką zacnością i ludzkością. Takim był Tobiasz; takim i syn jego Tadeusz. W inne czasy wypadło jego życie, zaczętem trochę odmiennie się odbijają jego przymioty. Za czasów Kościuszki służył cokolwiek w wojsku; służył także trochę pod Napoleonem; ale tylko tak, dla fantazyi, dla przyzwoitości, bo wszyscy wtedy służyli. Zaczem powrócił do kraju, ożenił się dosyć bogato, i przemieszkiwał zazwyczaj we Lwowie, bo wsi nie lubił. Z wojen napoleońskich wyniósł krzyż legii honorowej, a we Lwowie został członkiem sejmowym i szambelanem austriackiego dworu. Pod względem publicznym był

niczem; ale przynajmniej w życiu prywatnem był człowiekiem zacnym, wzorowym mężem, dobrym sąsiadem i przyjacielem. Mając cokolwiek państwa w głowie, posag żony spożył w całości, do czego sądził mieć prawo, bo była to rzecz przez niego nabyta; wszakże zato z odziedziczonej po swoich ojcach fortuny ani grosza nie stracił i zostawił Starodzieki synowi bez długów i w stanie najlepszym. Ludzie tego rodzaju nie mają właściwie żadnej osobliwszej wartości; mijają jako liście na drzewie, bez śladu i bez pamiątki po sobie; ale mają zawsze tę wielką wartość, iż nic nie móglszy naprawić, nic nie zepsuli, a co odebrali po przodkach, to oddali w całości swoim następcom. W narodach, na których zgubę czyhają tysiące wrogich okoliczności, i to już wielką zasługą, — i bodaj-by się o nią wszyscy kusili! —

Jego syn Stanisław był także takim, jak jego przodkowie; ale już o wiele nieszczęśliwym od ojca. Urodził się w pierwszych latach bieżącego wieku i wychowywał się w domu. Spłynęły na niego jeszcze wszystkie staropolskie tradycye, ale już także i pojęcia nowożytnej arystokracji. Bawił potem cokolwiek w Wiedniu i cokolwiek w Paryżu, a nareszcie do Warszawy zajechał. Tam uzyskały przystęp do niego porywające wszystkich podówczas romantyczne uczucia i myśli — a pod ich

naciskiem jego galicyjskie pojęcia się znacznie przetrąły. Stanisław nie stał się przeto romantykiem w całym tego słowa znaczeniu, i nie stał się także człowiekiem przeważnie duchowym lub idealnym; ale nauczył się cenić wartość moralną człowieka i prace duchowne narodu. Z takich pierwiastków złożył się jego, że tak powiem, charakter publiczny. W gruncie rzeczy nie jest to jeszcze żaden charakter. Bo charakterem publicznym nazywamy usposobienie takie, w którym jakaś myśl, jakaś idea wszystko inne przeważa i objawia się w czynach. U niego żadna nie przeważała idea. Niektórzy z jego kolegów, usposobieni tak samo, pod wpływem wypadków wyrobili się z czasem — i poszli na prawo albo na lewo, na wskos albo na poprzek. On nigdzie nie poszedł — i został nijakim. Nie był wszakże bez pewnych znamion charakterystycznych w życiu prywatnem, i naturalnie takim był wszędzie i zawsze; nadzwyczajnie dobrego serca, nieposzlakowanie pocztowym i szlachetnym nawskrós. Z wybuchem wojny w r. 1830 Stanisław poszedł jak wszyscy, ale adjutantował przez całą kampanią. Kiedy mu się pomimo to kilka razy zdarzyło być w ogniu, był odważnym i walecznym, a nawet się pięknie odznaczył; nie mogło inaczej być, nikt o tem nie wątpi. Ale przecież nie był to już żołnierz takiego kroju,

jacy dawniej bywali. Bił się, gdy było potrzeba, był-by i zginąć potrafił bez żalu; ale przecież więcej już wierzył w dyplomacyą, niż w szablę. Był to znak, że się w nim już bardzo zatarły stare dziejowe tradycye, a z niemi razem zachwiał się także i staropolski zdrowy rozsądek; bo nie wierzyli w dyplomacyą Czarnieccy, Żółkiewscy, Potoccy i Chodkiewiczze, i dobrze bywało! — Po wojnie skończonej powrócił Stanisław do Starodzień, i zaraz się ożenił. Chwalono mu to ożenienie a nawet i zazdroszczono; bo wziął córkę zacnych rodziców, młodą i piękną, wykształconą bardzo wysoko, znającą wiele języków, mającą głębokie uczucie piękna, poczciwą, czułą a nawet idealną cokolwiek. Ale w istocie rzeczy było to złe ożenienie, bo jego żona miała nieskończoną ilość pretensyi i potrzeb, a bardzo mało posagu. Mogła tedy być najlepszą żoną dla wielu innych; ale on miał dla takiej żony albo zanadto słaby charakter, albo nanadto mały majątek. Tymczasem nie zwracano na to żadnej uwagi. Starodzieńki miały reputacyą rozgłosną, zrobioną jeszcze pracowitością ś. p. Tobiasza — i przynosiły jeszcze natenczas dość piękne dochody, ale już o wiele mniej znaczne, niżeli za życia Tobiasza. Daleko lepszą była ich reputacya, niż rzeczywistość. Państwo Stanisławowie, jak bardzo wiele szlachty

naówczas, żyli według reputacyi, a nie według rzeczywistości. Wyjeżdżali po kilkakroć za granicę, odwiedzali kąpiele, bawili przez zimę w mieście. Siedząc na wsi, prowadzili dom otwarty i bardzo gościnny. Zawsze po kilku emigrantów bawiło w ich domu, zawsze było pełno gości, zawsze kuchnia wykwintna, wina francuzkie, cukry i pasztety; zawsze wszystkie nowe książki i nuty, wszystkie dzienniki polskie i kilka francuzkich. Zawsze ekwipaże wykwintne, liberya ładna, w lecie przejażdżki, w zimie koncerty i bale. Od czasu zamknięcia salonów w Grodowiskach, nie było tak przyjemnego domu w całym tamtejszem sąsiedztwie. Bóg nie wie, zkąd nie zjeżdżali się tam goście, i mieli po co. Bo tam był taki gospodarz, którego można było do ran przykładać a nigdy się z nim dosyć nagadać; tam gospodyni miła, światła, przyjemna, całym sercem Polka, a całym swem ułożeniem Francuzka; tam się zbierały wszystkie nowiny z całej kuli ziemskiej, z nauk, z literatury, ze świata muzycznego, artystycznego a nawet politycznego; tam wreszcie najpierwej dochodziły wiadomości polskie z Paryża, podówczas takie ciekawe; tam często opierały się znamienite osobistości emigracyjne; tam nawet czasem odbywały się posiedzenia, których narady nie były bez przeważnego dla kraju znaczenia.

Dość, że nie można było mieć więcej otwartego serca i domu dla braci, nie można było żyć piękniej i pożyteczniej, nie można było w okolicznościach ówczesnych mieć więcej obywatelskiej zacności; ale też i nie można było się lepiej rujnować.

Jednak należy uważać, iż nie zrujnowały ich wcale ani książki i nuty, ani ich dom otwarty, ani ten natłok gości z całego świata; tylko to, w jaki sposób to wszystko robili i prowadzili. Rujnowała ich nie rzecz, ale jej forma; nie duch, ale ton. Wszystko to można było zrobić na miarę szlachecką bez żadnej ztąd szkody, bo Starodzieki były aż nadto wystarczającym na to majątkiem; ale nic z tego nie można było przedsięwziąć na ton elegancki i pański, bo Starodzieki nie mogły na to wystarczyć. Od czasu rozbioru Polski, od czasu zwichnięcia dawnych tradycji a niezastąpienia ich zasadami równie potężnych wpływów, zawsze i wszędzie gubią nas formy, których starodawną wiekami wypróbowaną straciwszy miarę, nie możemy w nią na żaden sposób ugodzić. Tak samemi formami gubili się także Wapnowscy, tracąc coraz bardziej dawne zapasy, podupadając na gospodarstwie i grzęznąc nawet pomału w długi. Było-by to jeszcze wszystko pozostało bez ważnych skutków, bo nie trudno było się opamiętać,

a pare lat dobrych na Starodziekach mogły wszystko naprawić; ale około roku 1843 przyszedł był Stanisławowi, jeżeli nie jego żonie, concept arcy-fatalny. Oto ich córeczka skończyła była już wtedy lat jedenaście, i za lat kilka miała być panną dorosłą; a oni jeszcze zawsze mieszkali w tym starym, zgarbionym, drewnianym dworze, który stał tutaj za czasów Tobiasza. I nie pomni na to, że taki bogaty Tobiasz w nim całe życie przemieszkał, — ani na to, że ich ojciec Tadeusz, acz taki pan i elegant, tylko go cokolwiek rozszerzył i także na nim poprzestał, — ani nawet na to, że to był jeszcze dom wcale dobry, wygodny i ciepły i bardzo nawet miłutki, zaczęli murować pałac w Starodziekach. Ej! ileż-to fortun wyszło z rąk szlacheckich przez pałace — a ile ich z powodu pałaców siedzi w długach do dzisiaj! W pewnej epoce tych tak zwanych szczęśliwych pańszczyźnianych czasów, a mianowicie pomiędzy latami 1815 a 1845, stawianie pałaców było u nas dość pospolitą chorobą. I nie była, jak mniemam, jednym jej powodem próżność i fuma, ale raczej to, że się szlachta nudziła.

Dawnemi czasy żaden szlachcic się na wsi nie nudził. Młodość przesłużył zazwyczaj w wojsku — a osiadłszy na swoim zagonie, miał sejmi i sejmy, komisye i kondescencye, sądy i

trybunały, elekcye i pospolite ruszenia, prócz tego chrzciny, imieniny, wesela, pogrzeby, co wszystko zazwyczaj z wielką się odbywało paradą. Miał więc i służby i rozrywki do syta. Toż kiedy mu się jego dom stary zgarbił i wykrzywił, najczęściej go tylko naprawił, a jeżeli już musiał stawić dom nowy, to go postawił z drzewa, obszerne, wygodnie i jak można najprędzej, bo nie wiele czasu miał na to. Nie stawiał go nawet wystawnie; bo chociaż tam kędyś powiada Sarnicki, że w dawnych czasach bywały w Polsce domy drewniane *admirandæ structuræ*, które mu nawet stają za dowód, że owoczesni nasi przodkowie *nequaquam ingenio destitutos fuisse*; przecież to bardzo mało jest podobnem do prawdy. Były to wszystko domy bardzo pomierne i tylko jakokolwiek mieszkalne. Wzory ich aż do naszych dochowały się czasów; a nawet jeszcze i dziś można je w niektórych okolicach widzieć w niezmienionej od wieków postaci.

Ale szlachcic z epoki tej, o której mowa, dziwnie na wsi się nudził. W pierwszych latach po ożenieniu o niczem jeszcze nie myślał, bo za wszystko stawiała mu miłość, która i w najciaśniejszej pomieści się klatce; lecz kiedy jego dzieci podrosły i porozchodziły się po pensjach i szkołach, kiedy on sam stał się mężem poważnym;

to wtedy zazwyczaj niezmiernie silnie zaczęła się w nim odzywać żądza jakiegoś zajęcia, jakiegoś czynu, żądza pozostawienia choć jakiegokolwiek pamiątki po sobie. A tymczasem sposobności nie było do tego żadnej. Rolnictwo nie było u nas jeszcze pod owe czasy zawodem, służb publicznych dla niego nie było, powołania innego nie miał; cóż było robić? Ażeby więc choć jakkolwiek uczynić zadość tej czczości wewnętrznej, rzucił się szlachcic na architekturę, i murował pałac w swoim majątku. A pałac zazwyczaj wielki, okazały i pełen najrozmaitszych konceptów....

Tak zrobił także Wapnowski — i około roku 1843 zaczął murować pałac, o trzydziestu pokojach, z wieżą i kolumnadą, z trebhauzem i oranżeryą, z salonami wykładanemi sztukateryą, o oknach wysokich i drzwiach pozłocistych. Do trzech lat był nareszcie ten utwór już gotów w większej połowie, a nawet posprowadzano już sprzęty z Wrocławia, dywany z Anglii, kotary z Medyolanu i Wiednia. I zjeżdżali się sąsiedzi, oglądali te dziwy i wszystkie niezmiernie chwalili; a pani Stanisławowa była niewyczerpaną w opowiadaniu, jak to wszystko będzie wyglądać, kiedy jeszcze drugie skrzydło się skończy i główna sala, nad którą wtedy dopiero pracowano. Nie potrzeba dodawać, że były to wszystko nieszczere

pochwały; bo każdy wiedział, że ten pałac pochłonał część czwartą Starodzieg, że długi podwoił, i że z tego powodu stan majątkowy Wapnowskich wprawdzie się jeszcze nie zachwiał, ale bardzo znacznie się nadwreżył. Jakoż byli poczciwi ludzie, którzy sobie postąpili z Wapnowskim otwarcie i ostrzegli go, mówiąc: Dobrze sobie pohulać, kiedy jest z czego, ale trzeba i miarę zachować. — I Stanisław się zastanowił i zamierzył sobie już na tem poprzestać. I byłoby mu może jeszcze i to zmurowanie pałacu zguby nie przyniosło, bo te wsie nasze, zwłaszcza w dobrych leżące ziemiach, to były za czasów pańszczyzny niewyczerpane źródła dochodów. Ale już wtedy nad losem szlachty wisiała straszliwa chmura zabijających przeznaczeń, — i kto tylko jeden krok miał zrobiony ku zgubie, dla tego już nie było ratunku. Niebawem nadszedł rok 1846. Ostrzeżony jakimś szczęśliwym przeczuciem wyjechał Stanisław z całą swoją rodziną do Krakowa, i tym sposobem uszedł może kalectwa a może śmierci; ale jego pałac został zniszczony haniebnie, i poniszczone zarazem wszystkie dobytki. Może nawet jeszcze i to było-by go nie potrafiło zgubić do końca; bo już wtedy całkiem otrzeźwiał, a zubożenie musiało go zniewolić do oszczędności i pracy; ale zaledwie jakokolwiek

swój pałac odrestaurował nanowo i gospodarstwo troszeczkę zapomógł, nadszedł rok 1848. Orzeczone podówczas zniesienie pańszczyzny stało się dla niego zgubą widoczną. Ale nie dosyć na tem, bo nigdy luzem nie chodzi nieszczęście. Jakoż pomimo tego trzeba było jeszcze, ażeby Pani Stanisławowa, uniesiona szlachetnym zapalem, jaki w niej obudziło zniesienie poddaństwa, udzieliła tego zapалу mężowi, — i trzeba było, ażeby oboje razem zwołali wszystkie swoje gromady, ogłosili im darowiznę wszystkich ich powinności i wydali im na to umyślnie sporządzony dokument. Najszlachetniejszy ten zapal, nietylko że gotową już dla nich zgubę jeszcze utwierdził, ale prócz tego zaparł im wszelką możność ratowania się na przyszłość.

Odtąd też zaczęły się dnie nieustających smutków i zgryzot w Starodziekach. Słabi ci ludzie nie umieli ani oszczędzić się, ani pracować; nie umieli nawet z początku pogodzić się ze swoją niedolą. Toż dopóki jeszcze było można, ratował się Stanisław nowemi długami. Lecz przyszedły czasy, w których już i to nie było podobnem. A wtedy przycisnął ich rzeczywiście biblijny płacz i zgrzytanie zębów. Mając wartość Starodziek w pamięci, zaledwie można dopuścić, do jakiej ci ludzie doprowadzili się nędzy. A przecież tak

było — i było tak wtedy w niejednym domu szlacheckim. Z każdym półroczem coraz mniej sług było w domu, mniej koni w stajni, mniej inwentarza i mniej nawet ciepła niż dawniej. I były o wiośnie ciężkie nieraz przednowki; i były dnie, w których na mięso nie było. A nadto wszystko była jeszcze zgraja lichwiarzy.... Zapewne, że kto inny na miejscu Stanisława mógł się jeszcze choć jakokolwiek ratować. Starodzięki nie były wyżej obdłużone, jak do dwóch trzecich części wartości; miały jeszcze dość znaczne lasy dębowe, miały łąki i propinacye i młyny i rozmaite gotówki. Mając taki materyał w ręku, można było zrobić jakąś operacyą stanowczą, — i albo przy małych dochodach na Starodziękach pozostać, — albo się z jakimś jednym i drugim folwarkiem z tego trzęsawiska wycofać. Ale to był-by potrafił zrobić ktoś taki, który-by miał i głowę obrotną i umiał zachować krew zimną w tak wielorakiem nieszczęściu. A tego obojga nie miał wcale Stanisław. Nadto zaś jeszcze, jak każdy szlachetny człowiek pokorny w szczęściu, był prawie dumnym w nieszczęściu; każdy brud ludzki bolał go jak ogień piekielny; każdy podstęp plugawy burzył w nim krew i wyrzucał go z równowagi na długo. Wiadomo to zaś powszechnie, jakim bywa zazwyczaj postępowanie wszyst-

kich żydowskich i chrześcijańskich lichwiarzy. Na człowieka, który się zachwiał w swych interesach, rzuca się ta zgraja obrzydła jak ptastwo drapieżne — i nie masz natenczas brudu, ani podłości, ani występku, którego-by się oni nie dopuścili, ażeby go dogryźć do reszty. Najnielitościwsi ze wszystkich katów, są zarazem najżarłoczniejsi; nie dość im na pieniądzach, na dobytках, na ziemi, oni-by pili krew swojej ofiary, wysysali-by szpik z kości, radzi-by połknąć jej duszę. Widząc takie postępowanie przeciwko sobie, — i owe zmowy haniebne, w skutek których nic nie mógł sprzedać po słusznej cenie, — i owe obrzydliwe na kłamliwych zeznaniach poopierane procesy, — twardniał z dniem każdym na duszy, upierał się przy swoim, poły ucinął, dał się odzierać, dał się zabijać — a zresztą gardził tym wiecznie ropiącym wrzodem ludzkości!

Wszakże to mu nie pomagało — i jeszcze tylko przysparzało cierpienia. Jego żona już dawno tym cierpieniom uległa; leżała w łóżku od roku; jedni lekarze wróżyli jej skira, drudzy suchoty, a żaden nie wróżył życia. On zaś sam w tych kilku leciech do niepoznania się zmienił. Dawniej taki przystojny, sławny z swych pięknych włosów i wąsów, słuszny, rumiany i nadzwyczajnie słodki i grzeczny; dziś posiwiał już bardzo, zbladł i

wyszczupłał, jak młodziak. Toż z swoją krótko ostrzyżoną czupryną, przyciętymi wąsami, z zacisniętymi usty, z dziwnie poważną dumą w całej postaci, wyglądał prawie jakby uosobienie niechęci i złośliwości, której nigdy nie znał na życiu. Ale tak go dzisiaj zmieniły czasy; jakoż tak żył, tak przesiadywał u łoża swojej cierpiącej żony, i tak się rzucał na pastwę swoim cierpieniom, które już nigdy nie miały się skończyć....

Jedynem tych nieszczęśliwych ludzi źródłem pociechy, — ale zarazem i źródłem tem głębszem zgryzoty, — była ich córka. Klotylda jej było na imię, — miała natenczas lat ośmnaście — i było to dziecko prześliczne. Była miernego wzrostu, ciemna szatynka, o czarnych oczach, stworzonych na to, ażeby wrzącym pałały ogniem, ale wśród cierpień przyćmionych mgłą niewysłowionej boleści. Twarz miała pełną, zaokrągloną cudownie, z dołkami w jagodach i dołeczkiem w bródce; jakże-by się na takiej szczeropolskiej twarzyczce wydawały dwa piękne rumieńce! Ale ich nie było; bo ból i zgryzoty zamieniły tę różę w białą lilję już zmłodu. Wszakże w cierpieniach wyrosła jej dusza i serce zmeźniało nad podziw. Bóg wie, ile tam łez wylały jej oczy, ile modlitw gorących wyszeptwały jej usta w ukryciu; ale wobec rodziców była ona jak słońce, które od świtu do nocy

nie gaśnie — a kiedy słońce zagasło, ona była im gwiazdą błyszczącą. Choć takie wiotkie z niej jeszcze było dzieciątko, umiała już dźwigać na sobie wszystkie troski domowe. Ona była niespracowanym stróżem łoża swej matki, podawała jej leki fizyczne i leki moralne, rozrywała jej umysł czytaniem książek, rozweselała jej serce nigdy nie ustającą pociechą; służyła jej jak córka i jak niewolnica; zwykle własnymi rękami prześcielała jej łóżko, i często na własnych dźwigała ją rękach, ażeby ją na jaką godzinę posadzić w krześle przy oknie. Niespracowaną była w usługach około matki i niespracowaną w usługach całego domu. Pod jej dozorem była szpiżarnia i kuchnia, pod jej zarządem całe gospodarstwo niewieście. Niezmierenie pracowite, trudne a czasem zaledwie podobne było to gospodarstwo, bo już natenczas we wszystkim nie stykały się końce. Wszędzie się dawał uczuwać brak ludzi, brak materyałów, brak środków. Czasami okazywał się niedostatek taki dotkliwy, że niepodobna mu było zaradzić. Ale przemyślna jej główka, jej pracowitość, jej wiara w pracę i w Boga, który pracę nagradza, umiały pokonać nawet niepodobieństwa. I było zawsze wszystko, co tylko być mogło; nigdy cierpiącej matce na niczem nie brakło; zawsze był jakiś znośny obiadek dla ojca, zawsze posilająca

herbatka, i zawsze jakiś groszyk w jej szkatułeczce, i zawsze jeszcze daleko cenniejsza od złota z anielskich ust jej pociecha. Złamana we dwoje boleścią i często już nieprzytomna jej matka zaledwie umiała te nieodpłacone zasługi swej córki ocenić. Leżała zazwyczaj przez większą połowę dnia w jękach, a potem sen jej zawierał powieki. Więc czasem tylko, utopiwszy w jej bladej twarzy swoje gasnące oczy, gorącemi zalewała się łzami. Płacz i cierpienie nie dawały jej słowa wymówić. Widać tylko było jej boleść, lecz trudno było zrozumieć jej wielostronne zapewne znaczenie.... Ale ojciec, przytomniejszy teraz niżeli przez całe życie, był w uwielbieniu dla tej nieocenionej dziewczyny. Widząc jej zapobiegłość i poświęcenie, był czasem tak głęboko wzruszony, że tylko ją porywał w ramiona, przyciskał do piersi i mówił: — Tylko ty jedna trzymasz mnie jeszcze przy życiu!

W chwilach innych, kiedy był myśli weselszej, dziwił się jej i mówił: — Ach! cóż też z ciebie za gospodyni! I zkądże ty bierzesz to wszystko? skąd te mięsiwa, te ciasta, ta bielizna zawsze tak czyściuteńko uprana, te lampy wiecznie płonące, te dzienniki nawet, te książki, te nuty? — I zamyślał się nad tem i kończył: — Szczęśliwy będzie ten mąż, który się z tobą ożeni; on pewno nie straci majątku i nigdy nie zejdzie na nędzę!

Lecz zato znowu miał chwile, w których zapatrzywszy się na nią, łązy jak fontanna wytryskały mu z oczu. Zrywał się wtedy, brał ją za ręce, przyciskał je do swej piersi i mówił: — Ach! dziecko moje! cóż z tobą będzie? czy jest gdzie na świecie człowiek, który-by ciebie umiał ocenić? czy weźmie ciebie z takiego ubóstwa? czy będziesz ty za nim szczęśliwą? Oh! tylko to jedno, co mi umrzeć nie da spokojnie.... co kościom moim nie da odpocznienia nawet i w grobie!

Klotylda na łązy ojca odpowiadała łzami; ale umiała go zawsze pocieszyć. I zapewniała go, że nigdy męża nie zapragnie, i zawsze tak będzie przy ojcu; że nigdy się na to żalić nie będzie, bo takie życie jest jej najmiłszem; że nigdy się nie spracuje, bo ma zdrowie wyborne, i siły i chęci i wielkie w gospodarstwie zamiłowanie. Zapewniała go nawet swoim prześlicznym dziecięcym głosem, że jej gospodarstwu zawsze się tak będzie powodzić, zawsze wszystko tak będzie, i nigdy niczego nie braknie, bo to już tak jest.... to tak musi być.... ona ma na to swoje sposoby.

I miała rzeczywiście swoje sposoby, bardzo sekretne i nadzwyczajnie dowcipne; a wszystkie zaczynały i kończyły się na panu Mateuszu. Któż był Mateusz? —

Z pomiędzy nieskończonej liczby emigrantów, którzy w tym domu po kilka tygodni, po kilka miesięcy i po kilka lat bawili, jeden tylko szczególny przywiązał się do niego z całego serca i na zawsze w nim został. Był to stary żołnierz, niewiadomego nazwiska, a na imię Mateusz. Służył on od roku 1807 w legionach, był w Hiszpanii i w wyprawie na Moskwę. Służył przez lat piętnaście potem w wojsku Konstantynowskiem, i był jednym z najulubieńszych przez wielkiego księcia żołnierzy. Ale pomimo to nie doprowadził dalej jak do rangi wachmistrza. Rozmaite się na to złożyły przyczyny; więc najpierwej jego figle, które bezustannie płatał Moskalom; — potem biały orzeł, którego zanadto często odwiedzał; — a wreszcie to, że w jego olbrzymiej dłoni nie mogła się na żaden sposób utrzymać rzecz tak mała, jak pióro. Pióro było dla niego tem, czem sprawa Polski dla Lamartina, *une chose insaisissable*. Ale za to zaraz po Grochowskiej został porucznikiem, a po Ostrołęckiej postąpił na kapitana. Jednakże ranny niebawem kartaczym odłamem w nogę, wojny zaprzestał, a pod jej koniec przywłókł się w te strony i osiadł w Starodziejkach w gościnie. W jakiś rok czy dwa lata wyleczył się z swojej rany; ale odtąd już chodził na kuli, a przynajmniej ją nosił za-

wsze przy sobie, bo mu była niezbędnie potrzebną. Był to człowiek, jak widać z lat jego służby, już dosyć stary, ale był przytem niezmiernie czerstwym i rzeźwym. Mały był i tak wysuszony jak deska; twarz miał tak zapadniętą, że się здавало, jak gdyby usta ciągle do pocałunku nstawiał; cierpiał na astmę, na reumatyzm, na kolki, i był przytem kulawym, ale pomimo to spoczynku nie znał i nienawidził. Zawsze miał jakieś zajęcie. Za dobrych czasów zajmował się tylko pasieką i sadem, a przytem łowił ptaki w samotrzask, na lep i na sidła; ale jak złe czasy nadeszły, objął komendę nad ogrodem warzywnym, nad mleczarnią pozostawioną dla domu, nad kuchnią i nad szpiżarnią. I otóż to był ten sekretny sposób Klotyldy dostarczania wszystkiego; był nim w całości nieoszacowany Mateusz. Ale co on, to miał istotnie sekretne gospodarowania sposoby. Pieniędzy nie miał — a robotników do pasieki, ogrodów i sadów potrzebował bez końca, bo tam uprawiał Bóg nie wie jakie jarzyny, sadił wielką ilość ziemniaków, i siewał nawet pszenicę i żyto. Ale miał ich zawsze dostatkiem w sposób sobie tylko właściwy; bo łowił ich jak ptaki na sidła. Kiedy się wiosna zbliżała, on zasiadał przy furcie otwartej ogrodu, która wychodziła na drogę, i jak tylko mu się jaki żebraczek nawinał, zaraz

go chwytał, mówiąc: — Chodź do mnie bracie, ja cię pożywię. — Toż jak tylko go przeprowadził przez furtę wewnątrz ogrodu, już to był jego murzyn, którego z rąk nie wypuścił. Nazbierawszy takiego hultajstwa całą czeredę, poodbierał im torby i kije, i zapędził do pracy. Dawał im wtedy jeść z kotła, który wisiał po żołniersku na kozłach, i pozwalał im sypiać przez wiosnę i lato pod drzewem, a w jesieni w słomianych budach przy ziemniakach i kukurudzy; ale robił nimi za to jak końmi, od świtu do nocy. Kiedy go czasem słuchać nie chcieli, walił kulą pomiędzy nich jak zmłócek pomiędzy snopy; naturalnie że nigdy żadnego nie trafił, ale tem utrzymywał rygor pomiędzy nimi. Tak obrobił nimi pasiekę, sady i ogrody; pozbierał grochy, fasole, pszenicę, żyta; powybierał ziemniaki, buraki i brukwie, a kiedy już to wszystko było pochowane w szpiżarni i w kopcach, każdemu oddał torbę i kij, mówiąc: — Idź, moje dziecko, w świat między ludzi. Nauczyłeś się u mnie pracować, zrobiłem z ciebie człowieka, teraz ci już chleba nie braknie. — Tych, którzy na to mruczeli, traktował kulą i jako buntowuszczyków za furtę wyrzucał; lecz byli tacy, którzy odchodzili bez myśli i nawet na przyszłą wiosnę sami do niego wracali. Tak samo gospodarował w mleczarni; krowy żywił wybornie,

ale mleczarkom nic jeść nie dawał, mówiąc: — Napij się mleka, to zdrowe; ukradnij sobie kędy ziemniaków; widzisz przecie, że cały świat żyje przemysłem; a posiej sobie lnu i konopi, pan ci da na to zagona, to będziesz miała koszulkę i fartuszek. Tak, moje dziecko, pamiętaj sama o sobie, bo ja nie mogę; szkaradne teraz są czasy, o mnie także nikt nie pamięta. — Tak także gospodarował w izbie czeladniej; prawie nic jeść czeladzi nie dawał; kwartę krup na sześcioro, bułkę chleba na wszystkich. A kiedy się który o to upomniął, mówiąc: — Z czegoż ja panie żyć będę? — Kapitan huknął na niego z moskiewska, jak piorun: — Promysłem! błaznie! tak żyje cała armia Kozaków — a was kilkunastu nie może! — I trzymali go się ludzie daleko lepiej, niżeli ekonoma i nawet samego pana, choć tamtym jakokolwiek płacono. To może się dziwnem wydawać, lecz nie powinno. Ludzie mają jeszcze do dziś dnia szczególniejsze zamiłowanie w poddaństwie — a być ciągle pod biczem i całować tę rękę, która ich bije, zdaje się być dla nich czasem osobliwszą rokoszą. Toż jeżeli w niektórych czasach mógł się kochać w niewoli naród tak oświecony wysoko, jakim jest Francya dzisiejsza, — jeżeli częstokroć wielcy i znamienicie wykształceni panowie mogą biedz na wyścigi

w służalstwo, — ażaliż dziwno, że ciemny i nieoświecony parobek nie umie się obyć bez pana? Tak gospodarując, rzecz oczywista, że kapitan miał czem zaopatrywać szpiżarnię i kuchnię, i miał nawet jeszcze i grosz gotowy, który mu przypływał za miód, za воск, za owoce i zbyteczne jarzyny. Umiał on też zbierać te grosze, bo był skąpym nad wszelkie pojęcie. Do dzisiaj jeszcze chodził w tym samym granatowym surducie, po wojskowemu skrojonym, w którym tutaj przyjechał; tę samą miał kamizelkę, pod samą szyję zapiętą, ten sam halsztuk włosieny z białą obwódką, który mu brodę piłował. Miał oprócz tego frak granatowy, ale go brał tylko trzy razy do roku, w troje świąt głównych. Ale kiedy go miał ubierać, nieszczęśliwy był ten chłopiec, który go czyścił. I nieszczęśliwy był każdy rzemieślnik u niego.

Kiedy krawca zawołał dla poczynienia naprawek, to siedział sam nad nim jak szatan nad grzeszną duszą, a z krawca pot ciekł kroplisty. Kiedy kupował skórę na buty, to tak zmęczył żyda, że się żyd wyrzekł wszelkiego zysku, byle go tylko z rąk swoich wypuścił, a stary kapitańsko się cieszył jak opętany, wszędzie tę skórę obnosił i mówił: — Patrz-no Asindzi! co to za skóra! a zgadnij co mnie kosztuje? — Każdy

mówił, przynajmniej dukata. — A kapitan na to: — A furfancie! utracysz! marnotrawniku! a sześć złotych, sześć złotych. — Toż kiedy przywołał szewca i sam z nim tę skórę przykroił, przymierzył podeszwy, dobrał branzole, aftyledry wysztukował z kawałków, i potem go w swojej izdebce do roboty zasadził, to przedewszystkiem wjechał mu swoją suchą ręką w czuprynę i ścisnął co miał siły. Szewc krzyknął gwałtu: — A co to? — A on cisnąc coraz lepiej, tak jemu mówił: — Cicho pysiu! bo to nie ze złości, ani też dla bólu, jeno dlatego, ażeby twoje szwy tak mocno trzymały, jak moja ręka za łeb cię trzyma. Rozumiesz? — Oczywiście, że szewc doskonale zrozumiał i tak przyciągał szwy, żeby kapitan chodził w jego obuwii przynajmniej dwa lata. Ale się za tę naukę nie gniewał, bo pocziwy kapitanisko wstał codzień przed świtem, napił się gorzałeczki ze szewcem, zaczął ścisnąć nos okularami, dobył książki nabożnej i zawsze z nim wszystkie godzinki odspiewał. A wieczór także przy nim zasiadał, gorzałki już nie dał, bo co nadto, tego i za wiele, lecz za to opowiadał mu ciekawe o Kilińskim powieści, i jakie to szewcy bywają w Warszawie. — Ot! u naszych starych zdarzało się także skąpstwo czasami, i rozmaite przemysły się wydarzały, które niekoniecznie były

godziwe, ale przecie to jakoś bywało inaczej! Powodem skąpstwa bywała zazwyczaj bieda, a przemysł się rodził z fantazyi, i z jednym i z drugim rzadko kiedy się nie godziła szlachetność — a przynajmniej nigdy tam tego odrażającego brudu nie było, który dla grosza zaprzedał i narodowe i osobiste sumienie. — Takim był też Mateusz. Toż jeżeli skąpił, to pewnie nie dla siebie — a jeżeli promysłem chwycił grosze, gdzie mógł, to także tylko dla drugich. Jakoż co kilka tygodni zawsze on kędyś mrugnął na ukochaną przez siebie Klotyldę, a znalazłszy się z nią na osobności, pytał basowym szeptem:

— A co tam? jest jeszcze jaki groszyk w szkatułce? — Zaczem dobywał z kieszónki kilka lub kilkanaście dukatów i dawał jej mówiąc: — A nie strąć tego. A schowaj. A nie pokazuj nikomu. A wina, a bakalii nie kupuj, bo to marności światowe. Jeżeli na sukieneczkę, na jaką dobrą książeczkę, albo na polską gazetkę, to więc nie żałuj. A gdyby-to można mieć jaką gazetkę z Paryża! Hej! hej! co też tam się dzieje z naszymi! Tuła się to biedactwo o głodzie i chłodzie pomiędzy cudze narody — a mnie tutaj jak w raju! — I płakał zacny staruszek nad bracią.

Taki-to był ten gość, który zasiadł w Starodziekach na zawsze. Jakoż trzeba to przyznać,

że jeżeli Wapnowscy tak wiele gości przyjmowali niegdyś w swym domu, jeżeli się nawet na tę gościnność otracali cokolwiek, to taka gościnność nie pozostała bez dzięki, bo hojnie im ją dziś wynagradzał Mateusz. Gdyby jego nie było, Bóg wie, co by się już było nie działo w tym domu!

Taki był stan tej rodziny, kiedy ją Krzesław zaczął odwiedzać. A odwiedzał ją zawsze wiedeńskim powozem, czterema dużymi końmi i nawet ze służbą ubraną w liberyą. Wprawdzie ten powóz pochodził widocznie z tandety, koniska jeszcze miały boki poobszarpywane w bronach, a liberya była niezmiernie wyszarzana i gruba, ale zawsze taki ekwipaż zdradzał jego intencją. Toż kiedy prócz tego zaczął bywać co dwa dni, a wkrótce prawie codziennie, intencya jego nie ulegała już żadnemu wątpieniu — a rodzina Wapnowskich znalazła się w konieczności powzięcia zawczasu jakiegoś postanowienia.

Wszystkie trzy osoby, składające tę rodzinę, pod wielu względami rozmaicie zapatrywały się na tę konkurencyą. Więc matka, która zawsze jeszcze marzyła xiążące swaty dla córki, była w gruncie rzeczy Krzesławowi przeciwną. Taki szlachcic zwyczajny i na tak małym majątku, była to wedle niej partya daleko mniej niżeli mierna. Ale zważywszy obecne okoliczności..... i

słyszawszy niemało wieści o Krzesławie zapobiegliwości, uważała ten projekt jako znośny narzeczcie, a przynajmniej nie miała zamiaru mu się sprzeciwiać. Ojciec zapatrywał się na tę sprawę trochę inaczej. On słyszał o Krzesławie daleko więcej i wiedział, że to jest partya dla Klotyldy najlichsza. On był krewnym Krzesława — i właśnie dlatego sądził go bardzo surowo, a chociaż o nim nic takiego nie wiedział, coby go w jego oczach podliło, bo krewni zazwyczaj się dowiadują o takich rzechach najpoźniej, jednak miał już powody, cenić go bardzo nizko. Ale Krzesław miał to, czego on nie miał, i złożył już tych talentów dowody, odebrał obdłużony majątek, oczyścił go i robił jeszcze fortunę. To mu imponowało. Takiego zięcia mu było potrzeba. Taki zięć był jedynym dla niego ratunkiem. Wprawdzie cierpko mu było, że Opatrzność na takiego zięcia wybrała takiego Krzesława, — przypominał sobie, w jaki to sposób jego dziad Tobiasz wyratował Krzesławowego dziada Bernarda od zguby, i taki marzył sobie ratunek, — ale.... kiedy tak podobało się Bogu, nie sądził za swoją rzecz sprzeciwiać się Jego wyrokowi, i postanowił zdać to na Klotyldę. Tymczasem Klotylda zapatrywała się na swojego pretendenta jeszcze inaczej. Ona go wprawdzie nie знаła, lecz darem Bożym, którego rzadko

która nie posiada kobieta, przeczuła jego nawskróś. Człowieka, który-by się jej wydał tak czarnym, nie widziała jeszcze na życiu. I miała wstręt od niego, wstręt głęboki i nieprzeparty. Kiedy Krzesław przyjeżdżał, jej krew tak się burzyła, jakby na widok węża, jej nerwy grały jak roztrojona arfa. Ale Klotylda miała nieledwie mężką roztropność i niewyczerpaną miłość ku swoim rodzicom. Dla nich żyć, dla nich pracować, dla nich szczęście swoje poświęcić, to było jej ideałem. Więc chociaż wysileniem najwyższem, jednak przewyciężyła ten wstręt, nigdy się z nim przed rodzicami nie zdradziła, przyjmowała Krzesława najuprzejmiej ze wszystkich, i była zdecydowaną oddać mu rękę z uśmiechem szczęścia na twarzy. Tak więc, choć w gruncie rzeczy byli mu wszyscy przeciwni, jednakże wszyscy byli za nim, bo los, bo szczęście, bo przeznaczenie na jego przechyliło się stronę. I cóż tu mówić? — Biedna Klotylda!

Tymczasem Krzesław, nie bawiąc się długo próżnemi zaloty, — rzeczą tak niepopłatną i nieintratną — istotnie dnia jednego przyjechał po słowo ostateczne. Rozmawiał chwilę z matką, potem kwadrans z Klotyldą, a nareszcie wziął ojca do osobnego salonu i oświadczył mu się o rękę córki. Ale mówił tak.... jak gdyby nic.... jak gdyby łaskę

wyświadczał.... jak człek pieniężny mówić zwykł do bankruta:

— Wiesz co, Stanisławie, twoja córka mi się podoba. Sądzę, że i ona nie ma mnie w obrzydzeniu. Więc jeżeli cię to aranżuje.... to może-by się ta rzecz dała ułożyć.

Stanisławowi, który przedewszystkiem był człowiekiem bardzo delikatnego uczucia, a teraz jeszcze tem więcej drażliwym, bardzo się ta przemowa nie podobała; ale człowiek, który brzytwy się chwyta, przecież jej nie wypuści z ręki dlatego, że kraje. Więc i Stanisław tylko z dumą mu odpowiedział:

— Ani mnie to aranżuje ani nie aranżuje.... Ale.... jeżeli Klotylda cię przyjmie, to ja nie będę miał nic przeciw temu.

— Ja już mówiłem z Klotyldą — rzekł Krzesław.

— I przyjęła?

— Dała mi rękę.

— Ha! to i ja daję, — rzekł na to cokolwiek żywiej Stanisław.

I jako był zawsze człowiekiem serca, tak się też zaraz rozczulił i sam wziął Krzesława w objęcia i mówił:

— Życzę ci szczęścia z całej duszy. I wierzę, że będziecie oboje szczęśliwi. Klotylda jest to dziewczyna nieocenionych przymiotów. Dobra,

pocziwa, skromna, cicha, niewymagająca, a do tego i gospodyni wyborna. Nasze nieszczęścia nauczyły ją gospodarstwa! — I łzy mu w oczach stanęły.

Widząc te łzy, trzeba było być głazem, żeby się nie rozczulić. Krzesław był głazem.

Jednak Wapnowski tego nie uważał, i dając folgę swojemu sercu dalej, wywnętrzał się przed nim z swoich cierpień i bólów, z swoich umartwień i zgryzot. Tak mówiąc i rozczulając się coraz bardziej, rzekł wkońcu:

— Ach! nie uwierzysz, mój bracie, jak mi się serce kraje na tę myśl, że moja córka wychodzi za mąż, nic nie biorąc ze sobą. No, ale spodziewam się przecież, że się na tem nie skończy; Starodzieki jeszcze nie całkiem przepadły, a co się z nich wyratuje, to wszystko dla niej.

Krzesław go słuchał odtąd z obojętnością zupełną, ziewając i bawiąc się grubym od zegarka łańcuszkiem, którym błyszczał z daleka jak kupczyk lub fryzyer; lecz teraz się w ten moment ożywił i rzekł:

— A czy wyratuje się coś jeszcze z Starodziek?

— Tak się spodziewam.

— Któż wyratuje? czy ty?... pytał Krzesław z ironią, — bo zdaje mi się, że Starodzieki już są wystawione na sprzedaż publiczną.

— Tak, ale to nie ma nic do rzeczy.

— Proszę cię.... bo chciał-bym mieć o tem jakieś jasne wyobrażenie. Jakżeż to myślisz?

— To tak, — mówił Wapnowski otwarcie, — ja sam stanę na licytacji, i jeżeli Starodzieki wypędzę wysoko, ha! to je puszczę! cóż robić! a jeżeli je kupię poniżej wartości, to uzyskam przez to cokolwiek spokoju, a spokój da mi ratunek.

— Ale proszę cię, — mówił Krzesław z niedowierzaniem, — przecież już do tego samego, ażeby stanąć na licytacji, trzeba mieć ze dwadzieścia i kilka tysięcy, bo Starodzieki są pewnie oszacowane wyżej dwóch kroć stu tysięcy.

— Tak, ja wiem o tem.

— No, — mówił Krzesław, — więc potem? jeżeli je kupisz....

— Jeżeli je kupię, to mając ręce rozwiązane, wyprzedam kilka folwarków, wyprzedam dębowy las, a wskutek tego utrzymam się przy samych Starodziekach, na których prócz Towarzystwa nic się nie zostanie.

Na to Krzesław wstał i zaczął mówić głosem stanowczym i suchym:

— Mój kochany, to są romanse! Ty ani dwudziestu tysięcy na wadyum mieć nie będziesz, ani Starodziek nie kupisz; a jeżeli je kupisz, to ani folwarków nie wyprzedasz, ani lasu nie sprzedasz,

ani nic nie zrobisz. Kiśniesz dziś w jednej beczce, a potem będziesz kiśł w drugiej. Mówmy otwarcie: przyjaźń przyjaźnią, a interes interesem. Dla ciebie jest jeden ratunek, a to następujący: Ty mi oddasz Klotylde a z nią Starodzieki. Zrobiwszy to, mianowicie tak, jak ja zadyktuję, wyjedziesz natychmiast za granicę i nie powrócisz, aż póki ja sam cię nie zawezwę. A kiedy wrócisz, wszystko będzie w porządku.

Usłyszawszy taką propozycją, Wapnowski zbladł jak ściana, ale udał jak gdyby nic, i mówił dalej:

— A kiedy wrócę, to cóż będzie ze mną?

— No cóż? osiadziesz przy mnie i będziesz miał u mnie wszelkie wygody. Czyż trzeba ci więcej?

— A moja żona? — pytał Stanisław, panując mężnie nad sobą.

— Twoja żona.... może żyć jeszcze dwa, trzy, a może cztery miesiące, o nią nie ma się co kłopotać.

Wapnowski odetchnął tak, jak gdyby mu pierś miała pęknąć; ale rzekł grzecznie:

— Dziękuję ci, mój Krzesławie, żeś tę rozmowę odprawił ze mną przed ślubem, a nie po ślubie, byłbyś mnie nabawił śmiertelnej zgryzoty. Teraz przebaczam ci to, a nawet szczerze dziękuję, boś mnie nauczył, do jakiego stopnia brutalstwa doprowadza was materyalizm.

Słowa te niezmiernie zadziwiły Krzesława, nie mógł ich nawet zrozumieć.

— Jakto? więc zrywasz?

— Nie zrywam, bo nie było tu jeszcze nic do zerwania. Przyjechałeś do mnie, nie po rękę mojej córki, ale po Starodzieki; ja ci Starodziek nie dam, o czem-że tu mówić?

— Ale mój Stanisławie, — zawołał na to Krzesław, — nie bądź-że dzieckiem! Przecie raz trzeba mieć rozum i zaprzestać mieszać romanse z interesami. To, co ci proponuję, jest jedynym dla ciebie ratunkiem. Nie zrobisz tego, to przepadniesz wraz z twoją córką na wieki. Szanuj-że szczęście, dopóki ci się darzy. No, dajesz rękę? Dam się jeszcze pociągnąć, dam ci z Starodziek tysiąc guldenów, no! wiesz co! żebyś nie myślał... dam ci po tysiąc pięćset co roku.

To wyczerpało już ostatnie zasoby grzeczności Stanisława, jakoż rzekł na to:

— Przepraszam cię, panie Krzesławie, ale tak nie umiem rozmawiać z żydami, że jak tylko nie muszę, zawsze się od nich usuwam.

To rzekłszy, uklonił mu się niziutko i wyszedł. I pobiegł czempredzej do pokoju swej żony, gdzie matka i córka z wrzącą niecierpliwością na niego czekały. W kilku słowach opowiedział im wszystko. Jakoż z głośnemi łzami rzucili się sobie

wszyscy troje w ramiona, dziękując Bogu za tak widoczne miłosierdzie nad nimi — i było przecież raz trochę szczęścia w tej nieszczęśliwej rodzinie.

A Krzesławowi, na taką Stanisława odpowiedź, przecież raz krew uderzyła do twarzy. Ale nie bardzo. Bo cóż to? Nie udał mu się interes, czy to pierwszy? czy ostatni? — Jakoż już całkiem zimny powrócił do domu. A jak tylko przyjechał, natychmiast się przesiadł na wózek, wyjechał z domu i bawił kędyś blisko dwóch tygodni. Wrócił, siedział całą dobę nad jakimiś papierami, i znowu wyjechał i znowu bawił dni kilka. Powróciwszy dzień jeden odpoczął, a nazajutrz tym samym powozem, temi samemi końmi i z tą samą liberyą — do Nowickiego pojechał.

Nowicki przez długi czas nie mógł się uspokoić po tych dwudziesto-tysięcznych ciągach, które wziął od Krzesława; przez cały rok wieszał psy na nim, czernił go przed całym swym domem, i nawet córki swoje tak przeciw niemu poburzył, że powtarzały przed każdym gościem: — To taki brzydki człowiek, ten Krzesław! — Ale... kiedy Krzesław tak sztucznie przyszedł do posiadania całych Grodowisk... i kiedy mu potem wypłacił gotówką jego dziesięć tysięcy... to Nowicki się uspokoił i mówił: — Nu! to tak bywa na świecie, kto nie dołożył okiem, dołoży workiem. Od czego

kto głupi? Ażeby płacił. A od czego kto mądry? Ażeby zyskiwał z głupich. A Krzesław to bardzo mądry jest człowiek. Nawet mi nie wstyd, że mu się dał chwycić. On już nie takich pochwytał! — Nikt się tak prędko nie pociesza po stratach, jak żydzi — a za nimi ci, którzy poszli w ich ślady. Więc i Nowicki, nie tylko że się uspokoił, ale i dostąpił nareszcie w ogóle tego spokoju, którego oddawna już pragnął. Przymurował do swego domu parę pokoi, umeblował je w adamaszki, pozaprowadzał lampy, miał lokaja w liberyi, jeździł powozem, jadał już nie o dwunastej tylko o drugiej — a nawet już kolacyą skasował, i pijał natomiast herbatę. Czytywał przytem gazety i książki, palił lulkę z długiego cybucha z nowym zupełnie bursztynem, i nosił czapkę z kutasem. I był zupełnie szczęśliwym.... tak nawet szczęśliwym, że tego szczęścia zazdrościli mu wszyscy sąsiedzi. Tylko jeden pan Michał, acz mu jego szczęścia nie przeczył, dodawał wszakże złośliwie i nadzwyczajnie niegrzecznie:

— Szczęśliwy — błazen!

Tak zastał go Krzesław. Bardzo się jego przyjazdem ucieszył Nowicki, i zaraz admirował jego ekwipaż, i pytał: — A co to kosztuje? — Poczem go oprowadzał po swoich salonach, każdy dywan dawał mu w rękę, mówiąc: — Ale weź-no

pan to do ręki, jakie to grube a jakie miękkie, to bardzo dużo kosztuje. A potem mu opowiadał, jak on teraz żyje. Każden z takich dorobkiewiczów, dopóki się majątku dorabia, jest co najmniej arcy-nudną figurą, częstą występłą a czasem zbrodniczą; ale kiedy już skończy swoją karierę, jest już tylko śmiesznym i musi być śmiesznym koniecznie. Tak opowiadał Krzesławowi Nowicki:

— Nu! jak ja teraz żyję! Wstaję dopiero o siódmej i piję kawę a moje córeczki mi śpiewają i grają, a mnie się zdaje, że ja jestem w niebie. Muzyka i śpiew, proszę pana, to bardzo piękne są sztuki. A potem czytam gazety; nu! to ja wiem, co się dzieje na całym świecie. A potem przechadzam się po ogrodzie; ale pan nie wie, ja teraz ogród zakładam, zaraz go panu pokażę. A potem jem sobie obiad, nu! ja mam teraz bardzo dobrego kucharza. Szkoda, żeś pan nie przyjechał na obiad. A po obiedzie spię na balzaku! to bardzo służy mojemu zdrowiu. A potem jadę moim wiedeńskim powozem na spacer, albo przyjmuję gości. Nu! u mnie teraz dóm bardzo otwarty. Wszyscy bywają. Pan hrabia X. bardzo często tu bywa.... mamy interesa ze sobą. I xiażę nawet był u mnie.... jechał do Hrabiego, nie wiedział drogi i tutaj zajechał. A potem wieczór piję herbatę i znowu mnie grają córeczki. Tak

chwała Bogu wszystko jest dobrze, tylkom nie bardzo zdrów, na wiosnę trzeba będzie pojechać do Karlsbadu....

Kiedy to mówił Nowicki, byli już obadwa w ogrodzie. Oczywiście, że to wszystko najmniej nie obchodziło Krzesława; on tylko wzdychał, on jeszcze nie skończył swojej karyery. Jakoż zamiast oglądać ogród, rzekł do Nowickiego:

— No, a cóż pan myślisz ze swojemi córkami?

— A cóż? trzeba je będzie powydawać za mąż.

— Ale dotychczas.... jeszcze nikt się nie trafia?

— Dotychczas... tak dalece... nikt jeszcze.

— A wiele pan myślisz dać każdej córce posagu?

— O! ja im dam bardzo piękne posagi. Dlaczego im nie dać? Przecie mnie na to stać. Ja im dam grube posagi — i zaraz gotowizną na rękę.

— A wiele? wiele? powiedz-no pan cyferkę.

— Nu, to jeszcze zależy od okoliczności. Jeżeli moja córka będzie szła za mąż pomiernie.... nu! to zawsze jej dam grubo, dam piętnaście tysięcy. A jeżeli lepiej, to dam i dwadzieścia.

— Co znaczy u pana pomiernie? a co lepiej?

— Pomiernie, to znaczy za młodego szlachcica, który jest na dorobku; a lepiej, to znaczy za takiego, który ma wieś.

— A zawsze za szlachcica?

— Nu zapewne. A czy każda z moich córek nie warta szlachcica?

— Dlaczego nie? I między szlachtą rozmaici są ludzie. Ale pan sam.... przecież nie jesteś szlachcicem.

— A jakto? Nowiccy są szlachta.

— To bez wątpienia. Nowiccy są szlachta i najzacniejsza, tylko pan od nich nie idziesz.

— Nu! moi rodzice byli ubodzy....

— To nic, że byli ubodzy; ale powiadają, że pański ojciec był kucharzem.

— A! chowaj Boże! mój ojciec trzymał....

— Trzymał potem arendę; — dokończył Krzesław. Wzdrachnął się na to jego dawny opiekun i rzekł trochę gniewliwie:

— A gdyby i tak! niech-by był i kucharzem! ale ja....

— Ale bo powiadają, że i pan byłeś kucharzem.

— Pfe! panie Krzesławie! do czego to wszystko prowadzi?

— To prowadzi do tego, że kiedy kto był kucharzem, to nie może mieć pretensyi wydawać córki za szlachcica — a jeżeli szlachcic ją weźmie, to mu musi dobrze zapłacić.

— Nu! to ja płacę. Dam dwadzieścia tysięcy.

— No, to jeżeli pójdzie za takiego szlachcica, który ma wieś. A jeżeli-by szła za dobrego szlachcica, który ma nie wieś, ale majątek.

- Nu! to-bym się dał jeszcze pociągnąć....
- Ale cyfry, cyfry, mój panie Nowicki, bo to nie żart, to interes....
- Doprawdy to interes? — pytał opiekun, — masz pan kogoś do porażenia?
- Mam, i potem tutaj przyjechał.
- Hm! hm! — mruzczał Nowicki, — ma majątek.... A ile wart ten majątek?
- Sto tysięcy.
- Sto tysięcy.... hm! hm! a ile długów?
- Nic, tak jak nic, Towarzystwo.
- Nu! i szparkasa?
- I szparkasa.... tylko pan nie nudź. Ileż pan dasz?
- Nu, to ja jemu dam dwadzieścia pięć tysięcy! Tylko....
- Tylko się pan zaintabulujesz, to rzecz wiadoma, No, więc dwadzieścia pięć tysięcy obcemu i nieznanemu, a ile pan dasz mnie?
- Panu? he, he, he! pan sobie żartuje...
- Mój panie! ja w interesach nigdy nie żartuję. Namyślaj się pan i prędko, bo szkoda czasu.
- Panu? hm! hm! panu? To ja-bym się bardzo cieszył.... Ja pana wychowałem... Ja z rodzicami pańskimi żyłem w przyjaźni.... To-by mnie bardzo cieszyło. Nu! to ja dam panu dwadzieścia i pięć tysięcy!

— Idź pan do kata z takim gadaniem! Hej! Jakubie! zajeżdżaj!

— No! czekaj-że pan! Ou! jaki pan gorący! Czekaj pan, pogadamy.

— Co tu długo gadać! — rzekł niby niecierpliwie Krzesław, — przecież się znamy jak łyse konie. Pan możesz dać każdej córce po czterdzieści tysięcy, a jeszcze dla Jasia zostanie czterdzieści tysięcy i Plenna.

— Nu! a co dla mnie zostanie?

— Dla pana? a czegoż pan potrzebujesz? Powóz, szlafrok, czapkę z kutasem i gazety, można mieć i przy Jasiu. A potem, co tam! Dasz pan czterdzieści tysięcy, to dobrze, idziemy zaraz do Marysi; a nie, to bywaj pan zdrów.

— A jeszcze i do Marysi!

— Albo cóż za różnica pomiędzy niemi?

— Nu! Kasia starsza i trochę słabowita, a Marysia młodsza i zdrowa jak jabłko.

— To dlatego właśnie ja chcę Marysię. Ileż pan dajesz, ale od razu; bo słowo panu daję, że ani dziesięciu minut nie czekam.

— No, wie pan co! żebyś pan wiedział, jak pragnę, ażeby mój dóm połączył się z domem pańskim, wie pan co! dam trzydzieści tysięcy.

— O! ba! czterdzieści albo nic.

— Ja nie dam.

— Wiesz pan co! — zawołał Krzesław, — ażebyś się na mnie nie skarżył.... weznę trzydzieści i sześć! ale to moje słowo ostatnie!

— Ja nie dam.

— Jakubie! zajeżdżaj! Bądź pan zdrow, panie Nowicki.

— Zaczekaj pan! — zawołał Nowicki, — o sześć tysięcy przecież się nie rozejdziemy. Ou! jaka to twarda ta młodzież dzisiejsza! A proszę pana, a widziałeś pan teraz Marysię?

— Przecież dopiero co ją widziałem.

— Nu proszeż pana! nie piękna to jest dziewczyna? a jak ona gra, jak śpiewa, a jaka ona rozumna!

— Co mi tam z jej śpiewu i gry i rozumu! ja tego nie potrzebuję! to głupstwa. Kończysz pan, czy nie?

— No, proszę pana.... to bardzo wiele.

— Słuchaj pan! żebyś nie powiadał, żeś twardy, masz! spuszczę ci jeszcze dwa tysiące.

— No! dobre za nadobne! To ja dwa podwyższę. Ale jeszcze dwa między nami. Wie pan co, dla nikogo-bym tego nie zrobił, ale czegoż-to ojciec nie robi dla dziecka? Przetnijmy te dwa na połowę!

— Niech tam pana... dawaj pan rękę! —

I uderzyli w jarmarczne ręce tak głośno, że aż wszystkie szyby się wstrzęsły. Za trzydzieści i trzy tysiące została sprzedana Marysia. I poszli zaraz do Marysi, — i rozmówili się z nią, — i Marysia była kontenta. Biedna dziewczyna pamiętała te parę tygodni, kiedy Krzesław bawił w Plennej, i pamiętała jeszcze do dziśdnia. I zdawało się jej, że i on ją jeszcze pamiętał. I podała mu rękę, z pięknym na twarzy rumieńcem. Marysia miała jeszcze rumieńce. Krzesław ich nie miał, bo mu je spaliła miedź, srebro i złoto.... Ale zamiast rumieńców miał uśmiech na twarzy, uśmiech najnaturalniejszy pod słońcem; zrobił wcale niezły interes. I Nowicki się także uśmiechał, bo i on zrobił niezły interes. A tak uśmiechali się wszyscy do siebie — i tyle było ich szczęścia.

W miesiąc potem ożenił się Krzesław z panną Maryanną Nowicką i zaraz po ślubie wziął ją do Grodowisk. Musiał się spieszyć ze ślubem, bo nie miał czasu. Jakoż zaraz nazajutrz po ślubie wyjechał z domu, — nie było go tydzień, — a kiedy powrócił, rozeszła się wieść po okolicy, że Starodzieki zostały sprzedane publicznie, i kupił je Krzesław.

* * *

Wapnowskiego wszystkie omyliły nadzieje, nie był nawet przy licytacyi. Starodzieki zostały

sprzedane poniżej wartości. Biednemu Stanisławowi mogło się z nich dostać ledwie kilkanaście tysięcy; lecz na to miał jeszcze długi niehipoteczne. Krzesławowi wydano zaraz przyznanie dziedzictwa — a Wapnowskim kazano do dni trzydziestu zrobić miejsce dla niego. Wypadek ten sprowadził na nieszczęśliwą rodzinę Wapnowskich niezgłębione zgryzoty, a tuż za nimi przyszły i nieszczęścia. Pani Stanisławowa, kiedy się dowiedziała o sprzedaży Starodzień, została tkniętą paralizem — i w kilka dni potem umarła. Silniejszym cokolwiek od niej był jej mąż, ale także nie mógł wytrzymać tego strasznego ciosu, i zapadł w nerwową gorączkę. Klotyldę tylko jej modlitwy i uproszone niemi miłosierdzie Boskie utrzymywało na nogach; ale i ją nie na długo. Kiedy bowiem w kilka dni po matki pogrzebie a wśród najcieęższej choroby ojca przyszło im się wynosić, i ona także musiała położyć się w łóżko. Ale pomimo to wynieśli się z tego majątku w dzień oznaczony. Powiadano na zaletę Krzesława, iż chciał im pozwolić pałacu w Starodzieńkach aż do wyzdrowienia; ale kapitan, który tam wtedy był wszystkim, tego dobrodziejstwa nie przyjął — i zabrawszy ojca i córkę, dobytki i sprzęty, zostawił resztę na pastwę nowo-nabywcy. Dokąd ich przeprowadził, nikt wtedy jeszcze nie

wiedział i nikt o to nie pytał; ale my się jeszcze z nimi spotkamy w latach następnych.

* * *

Tymczasem Krzesław, dokonawszy tego wielkiego dzieła, znalazł się w trudnem położeniu. Kupił obszerny majątek, a nie miał go czem zapłacić. Ale od czegoż przemysł, i handel, i przedsiębiorczość? — Jakoż najmniej się tem frasował. Odebrawszy Starodzieki w posiadanie, natychmiast do Wrocławia wyjechał. Bawił tam dwa tygodnie — i wrócił. I przywiózł ze sobą dwie niby ludzkie figury, ale tak dziwne, jakich jeszcze nie widział nikt w Grodowiskach.

Obydwie te figury były męskiego rodzaju. Więc jeden z nich był średniego wzrostu, barczysty, otyły, ze szpakowatą strzyżoną brodą a ogolonemi wąsami — i nazywał się *Herr von der Ecke*; a drugi był niski, także barczysty, z mocno garbatym nosem, poczwórnemi okulbaczonym okularami, lecz z rudą brodą a ogolonemi wąsami — i nazywał się *Herr Düsseldorfer*. Jakiego byli narodu, trudno było odgadnąć; ale kiedy ich było o to zapytać, to każdy z nich odpowiadał: — *Ich bin ein Proisse*.

Ci tedy obadwa panowie oglądali Grodowiska przez trzy dni, i oglądali je z wielką uwagą.

Opatrywali budynki, lustrowali lasy, badali ziemię — i wszystko ganili. Wszystko było złe już z natury, a co się nie dało zganić zupełnie, to było zepsutem *durch die polnische Wirthschaft*. Rej wodził w tem wszystkim *Herr Düsseldorfer*, a *Herr von der Ecke* tylko niemym był widzem. Ale i ten jeden nawymyślał się daleko więcej na Grodowiska, niżeli wszyscy Niemcy na całą Polskę. Zniecierpliwiło to nareszcie Krzesława — i przyparł ich silnie, a tak umilkli Prusacy i zamknęli się z nim w głównej sali pałacu. Daleko łatwiejszą miał z nimi sprawę, niżeli niegdyś z Nowickim; z tamtym się żarł przez trzy dni a z tymi tylko przez dwa dni. Jakoż po dwóch dniach cały ten interes ukończył — i Grodowiska zostały sprzedane. Ile wziął za nie, co wziął i jak wziął, zostało to tajemnicą na zawsze....

* * *

Tak samo także, w zamkniętej sali i za niewiadome pieniądze, została sprzedana Polska na Sejmie Grodzieńskim. A jak tam nie obeszło się bez głośnej protestacyi, bez cichych łez i głębokiego lubo niemego żalu, tak i tu także bez tego się nie obeszło. Albowiem nazajutrz rano, kiedy dawny dziedzic i obadwa nabywcy wyszli na ganek, ażeby świeżem odetchnąć powietrzem, gro-

madka chłopów się przybliżyła do ganku. Byli to sami stateczni gospodarze z Grodowiskich wiosek; przyszli, ażeby się widzieć z Krzesławem. Krzesław zestąpił ku nim ze wschodów i spytał: — Czy do mnie? czegoż żądacie?

A oni mu się pokłonili do ziemi i jeden z nich, co najstarszy i najpoważniejszy, tak mówił:

— Słyszeliśmy, że Wielmożny Pan swoją ojcowiznę sprzedajesz. Mówiąc Bogiem a prawdą, nie ma już dla nas od wielu lat dobrej doli pod waszemi rządami. Opiekunowie wasi srodze nas gnietli i odzierali; Wielmożny Pan jeszcze młody i niezaprawiony, toż i od was doznaliśmy niejednej przykrości. Ale my wam tego nie pamiętamy, a pamiętamy raczej, z jakiego idziecie rodu i jak nam było pod waszymi dziadami. Pradziad wasz, pan Kasztelan, który był strzeżnik.... do takiego ot! jakich tam dwóch stoi w ganku, i potem umarł, pocziwe było panisko. Żyli jeszcze do niedawna co go zapamiętali — i wszyscy go chwalili. Wasz dziad nieboszczyk, Panie świeć jego duszy! szpichrz nam założył, szkołkę zbudował i żył z nami jakby ze swoją własną rodziną. Ojciec wasz był surowy, słuchać go trzeba było piorunem, bo był i sam jako piorun; ale krzywdy od niego nikt tu nie doznał — a zapomogi niejeden. A matka wasza.... Wielmożny Panie! no to

i nie ma co mówić! Była to pani święta, poodnawiała kościoły, wyposażyła nanowo szkołę, założyła warsztacik dla dziewcząt — a co się tu od niej chleba a leków a rozmaitej pociechy pomiędzy nasze chaty rozeszło, trudno i wypowiedzieć. Wszyscy to byli poczciwi paniska; wszyscy tam owo leżą pod tym kościółkiem. A wy, Wielmożny Panie! chcecie zaprzedać kości i prochy swych ojców? — Ej! panie nasz, a cóż też was znagła do tego? Jeżeli wam ciężko dziś bez pańszczyzny, co też i może być, to przecie jeszcze zawsze żyją wasze gromady. Powiedzcie tylko, a pewnie wam pomożemy; przecie robić jest komu, a są też starsi, którzy potrafią nakazać. Jeżeliż was długi przygniotły, ha! to źle, panie! Nie wiemy, ażali na to co pomożemy. Ale i w tem mogli-byśmy cokolwiek dopomódz. Są u nas gospodarze tacy, co mają gotowy grosz w skrzyni; są handlarze, są i furmani, a u każdego coś się ta znajdzie. Kiedy-by o tem z nimi pogadać, to pewnie żaden wam nie poskąpi; bo i komuż pożyczyć, jeżeli nie swemu? Więc rozmyślcie to sobie panie i bądźcie pewni, że jakośmy tu ongi ustrzegli waszego sieroctwa, tak i dziś ustrzeżemy waszego państwa. A zmiłujcie się i nie zaprzედawajcie nas jakimś tam pono zawłokom! Żle nam, to prawda, bieda się wciska przez

drzwi i przez okna, ale i w biedzie nam lżej, kiedyśmy razem, jako od niepamięci bywało. Trzymaliśmy się siebie przez tyle wieków, toż i dziś się trzymajmy — a przecie Bóg nie będzie nam gniewny do końca. A tak was o to pokornie prosimy i zaręczamy, że wam radzi będziemy we wszystkim.

Ale już było po czasie. Więc Krzesław im odpowiedział krótko i węzłowato:

— Dziękuję wam za wasze dobre chęci, ale z nich korzystać nie mogę. Grodowiska już są sprzedane. Zaczem bywajcie zdrowi i miejcie mnie w dobrej pamięci.

Wiadomością tą zacni ci gospodarze srodze się zasmucili, i kłaniali się, i już chcieli odchodzić. Ale tymczasem *Herr Düsseldorf* zbliżył się do nich a za nim i *Herr von der Ecke*, a pierwszy z nich zawołał mocnym nosowym głosem:

— *Slisziest ti klop, saczekee!*

Poczem obrócił się do Krzesława i spytał:

— *Nicht wahr, Herr von Schitowsky, diese Loite haben Abschied jenommen von Ihnen?*

Krzesław to przyznał, a on rzekł:

— *Nun so will ich mich mit ihnen och een bischen besprechen.*

Poczem obrócił się do gromady i zapewne dlatego, ażeby się popisać z swoją polszczyzną,

zaczął coś do nich szwargotać. Ale dobierał najrozmaitszych głosów, tak ludzkich jak i zwierzęcych, — napróżno! Ani jego chłopci nie rozumieli, ani on chłopów! Zaczem się obrócił do swego towarzysza i rzekł:

— *Een seir dummes Volk! nicht wahr Herr von der Ecke?*

— *Een seir dummes Volk!* — powtórzył towarzysz.

— *Das bischen Sprache abjerechnet, beinah' wie een Vieh! nicht wahr Herr von der Ecke?*

— *Ich meene, lieber Herr Düsseldorfer,* — odpowiedział złośliwie zacny towarzysz, — *die Sprache mitjerechnet, doch nur een Vieh!*

Zaczem pierwszy jeszcze się raz do Krzesława obrócił i rzekł:

— *Aber Sie können versichert seyn, Herr von Schitowsky, dass wird nicht also bleeben in Zukunft. Wenn wir hier die Regierung übernehmen, ho! ho! ganz anders wird es hier seyn! In drei bis vier Jahren laden wir Sie ein uns zu besuchen, und Sie werden sich überzeugen. Denn es ist eenmal wahr: een jedes Geschäft broucht seenen Mann.*

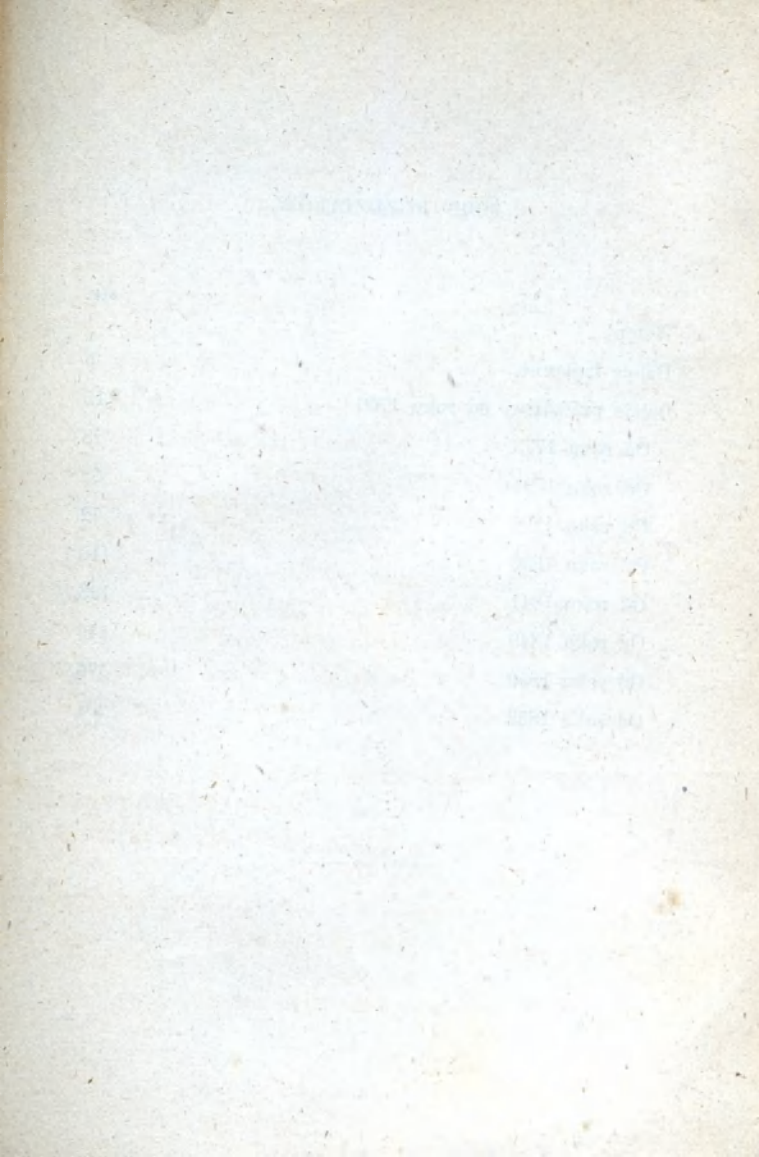
Tak jakoś wcale nowa przyszłość otwierała się przed Grodowiską gromadą. Ale oni, jak zwyczajnie lud ciemny, wcale jej nie pojęli. Jakoż odchodząc, kiwali tylko głowami i mówili sobie:

Że pan nas zaprzedał, bodaj-by sobie nieraz za to popłakał! I pewnie popłacze, bo już-by też chyba Boga nie było na niebie, gdyby nie karał tych, co takie piękne ojcowizny bez potrzeby sprzedają. Ale co tym zawłokom, to i my sami damy im radę. Żebyśmy mieli chodzić za robotą o milę, to tu nie pójdziemy. Niechaj tak skapia jak lód, kiedy go wrzuca do pieca!

W kilka dni potem Krzesław zaczął się do Starodzieńk wynosić — a tutaj pozalałtawiał jeszcze resztę swych interesów. Głównym z nich była licytacya na wszystkie niepotrzebne graty, którą sam się zajmował. Posprzedawane zostały natenczas wszystkie familijne portrety, kilka marmurowych biustów i kilkanaście gipsowych odlewów, posprowadzanych z wielkim zachodem przez jego ojca; sprzedano nawet najulubieńsze biórko jego nieboszczki matki, razem z tymi listami pisanemi przez jego dziada z Sybiru, które Dobiesław tam schował. Wtedy została także sprzedana owa szafa z familijnemi papiery, o której już wspomniano powyżej, a która dostarczyła nam treści do tej kroniki czasów dzisiejszych.

A na oczyszczonym w ten sposób placu rozpoczęli nowi przybysze swe panowanie....

Koniec tomu pierwszego.



SPIS ROZDZIAŁÓW.

	str.
Wstęp	1
Dzieje bajeczne	5
Dzieje prawdziwe od roku 1760	15
Od roku 1773	28
Od roku 1794	53
Od roku 1796	72
Od roku 1830	110
Od roku 1841	123
Od roku 1849	146
Od roku 1850	176
Od roku 1852	201
